

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend



WOLNA SOBOTA

Twardoch: Zamieniłem oszczędności na złoto

- Elitarne wojsko Putina to kryminał
- Dlaczego prawicy nie stać na swojego Urbana?

WYSOKIE OBCASY

**ŁADA
LUZINA:**

Wiedźmy
bronią Kijowa



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Robert
Bąkiewicz

KASA BÓG OJCZYZNA



RYS. KRZYSZTOF PIETRASIK NA PODST. ZDJĘCIA FOT. TOMASZ PIETRZYK / AGENCJA WYBORCZA.PL

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198



**Ewa Curie ratuje
świat**, czyli córka Marii
Sklodowskiej-Curie
we francuskiej armii



**Stalin bierze polskie
Kresy**. Jak Putin
skopiował oszustwo
Stalina z 1939 roku

Marcin Matczak:
Polska plemienność,
czyli walka na cudze
nieszczęścia ►11

Agnieszka
Kublik

Słowa Kaczyńskiego szkodliwe jak smog

Na początku września Jarosław Kaczyński oznajmił: „Trzeba w tej chwili palić wszystkim, no poza oczywiście oponami i tym podobnymi szkodliwymi rzeczami, (...) bo po prostu Polska musi być ogrzana”. Oczywiście prezes nie wytłumaczył, o jakie „podobne szkodliwe rzeczy” chodzi, rzucił tylko dobrą radę i nikt z rządu nie wyjaśnił, że rada Kaczyńskiego jest szkodliwa, co oczywiście wiele mówi o tej władzy.

Gęsty, śmierdzący dym ściągnął straż miejską, więc wystawiła mandat – 500 zł. Mężczyzna odmówił jego przyjęcia, bo – jak wytłumaczył – „prezes PiS pozwolił wszystkim palić”. Sprawa trafi do sądu, który będzie musiał teraz rozstrzygnąć nie to, czy wolno palić płytami wiórowymi, tylko czy słowa Kaczyńskiego o konieczności „palenia wszystkim” stoją ponad prawem.

Jeśli tak, to mamy nowy ustrój, w którym prezes partii rządzącej ma moc taką, że stoi ponad przepisami prawa i wedle swojego widzimisię kształtuje najważniejsze organy w państwie. Decyduje, która sprawa jest dla prokuratury, a która nie, kiedy sąd się myli, a kiedy nie, kto jest

agentem i zdrajcą, a kto bohaterem.

Już po wystawieniu mandatu za palenie płytami wiórowymi głos zabrała Anna Moskwa, szefowa resortu klimatu, która upierała się, że „na pewno prezes nie zachęcał do palenia takimi płytami”, bo takiej wypowiedzi nie słyszała, a mówił, jej zdaniem, „o tych surowcach, które mogą zastąpić węgiel”. Dodała też, że na pewno większość Polaków doskonale wie, czym można, a czym nie można palić, a jak nie wiedzą, to „można to sprawdzić”, i minister proponuje internet, telefon do inspekcji ochrony środowiska, a nawet do niej można zadzwonić, do ministerstwa i oni wytłumaczą, czym można palić.

To ja mam propozycję, by minister Moskwa na wszelki wypadek zadzwoniła do Kaczyńskiego i mu powiedziała, czym nie wolno palić w domowych piecach, bo prezes PiS najwyraźniej do internetu nie zajrzał, a jego szkodliwych słów nikt nie sprostował.

A jak informuje właśnie CBOS, jedna trzecia gospodarstw nie ma żadnych zapasów węgla, prawie tyle samo ma niewielkie zapasy, a tylko 16 proc. ma zapasy, choć nie wiadomo, czy wystarczają na sezon grzewczy. I tylko ledwie 18 proc. respondentów przyjmuje, że ma wystarczającą ilość węgla, by nie zmarznąć.

Czy Kaczyński pali się teraz ze wstydu? ●

Szkocja Spotkanie w kratkę



Brytyjski król Karol III pozdrawia tłumy na Union Street podczas wizyty w Aberdeen Town House w Szkocji. Za chwilę rozpocznie spotkanie z rodzinami, które osiedliły się w Szkocji po przybyciu z Afganistanu, Syrii i Ukrainy.

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU**
i bądź na bieżąco przez
cały weekend

CHTS33

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

Popkulturowy twardziel Film „Rambo” kończy 40 lat

Obawiam się, że USA są niesłychanie blisko tego, by wyciekiwać zstąpienia z niebios samego Rambo. Wolelibyśmy go zdecydowanie bardziej od Jezusa Chrystusa, bo to on ma o wiele więcej do zaoferowania naszej narodowej psychy – pisał w chrześcijańskim magazynie „Transformation” dziennikarz i kaznodzieja Jay Kesler. Ta gorzka obserwacja jest jak najbardziej trafna. Dwa pierwsze filmy, czyli „Rambo. Pierwsza krew” oraz „Rambo II”, uczyniły z fikcyjnego bohatera wojny w Wietnamie bohatera Ameryki – szorstkiego w obyciu, stawiającego czoła każdemu wyzwaniu, wiernemu do końca wyniesionym z pola bitwy zasadom: do zgonnemu braterstwu i karykaturalnej niemal odwadze.

John James Rambo służył w Wietnamie w elitarnych Zielonych Beretach. Więziony i torturowany uciekł, ale na zawsze już został naznaczony wojną, rozciągającymi się po całym ciele blizna-



mi i połamanym duchem. Zawładnął wyobraźnią popkulturową, przedarł się do polityki. Był jedną z ulubionych postaci Ronalda Reagana, a punkowa grupa Dead Kennedys widziała w kulcie Rambo niebezpieczną propagandę przemocy. Rambo trafił też do słowników Oxford czy Cambridge, gdzie jego imię stało się synonimem zawziętości i określenia „po trupach do celu”. ●

Łukasz Kamiński

Andrzej rysuje



Mysi wirus



Skąd wziął się omikron? Badania wskazują, że „przeskoczył” na nas z... myszy. Tak twierdzą naukowcy z instytutu w Minnesocie w USA.

Więcej ► Wyborcza.pl

FOT. SHUTTERSTOCK

W poniedziałek w „Wyborczej”

Duży Format

Jak i co ćpają nastolatki

Myślicie, że wasze dziecko nie próbuje narkotyków? W każdej szkole ponadpodstawowej są uczniowie, którzy biorą. Tyle że jedne placówki robią wszystko, by pomóc uczniowi, a inne wszystko, żeby się go pozbyć. A rodzice? Przenoszą.



Ekonomia +

To wodór nas wyzwoli

W tym roku jeszcze powalczymy o każdy metr sześcienny gazu na zimę. Ale nasze dzieci i wnuki to paliwo będą znały tylko z opowiadań starszego pokolenia. **Czytaj wywiad z Jerzym Buzkiem**

Top 3 wybrane z tygodnia
Najważniejsze wydarzenia

Wtorek

Zaćmienie
nad Polską

1 25 października – jeśli pogoda pozwoli – w całej Polsce zobaczymy głębokie zaćmienie częściowe Słońca. Największe, ponad 80 proc. tarczy Słońca, będzie widoczne nad słabo zaludnionym obszarem Syberii, ale w Polsce raczej nie zauważymy, by światło dnia przygastało. Maksymalna faza zaćmienia nastąpi u nas ok. godz. 12.20.



FOT. MARCIN ONUFRYJUK / AGENCJA WYBORCZA.PL, AXEL HEIMKEN/AP, MATERIAŁY PRASOWE

Środa

50 Cent
w Krakowie

2 Jeden z najpopularniejszych współczesnych raperów, 50 Cent, wraca do Polski. Staż na scenie rapowej czyni z niego już właściwie weterana, a sprzedażą płyt dorównuje gwiazdom popu. Koncert odbędzie się w Krakowie, 26 października, w hali Tauron Arena. Bilety od 345 zł.



Sobota

Ukraina
filmowa

3 Prawie 60 filmów, a do tego debaty, wystawy, koncert, spotkania z twórcami, warsztaty. Rozpoczyna się Ukraina! Festiwal Filmowy. Tematem przewodnim siódmej edycji będzie hasło „Między wojną a nadzieją”, a otworzy ją „107 matek” w reż. Pétera Kerekesa. Festiwal potrwa do 29 października w Kinotece w Warszawie i na platformie: vod.warszawa.pl



Cytat dnia

Nie idźcie tą drogą! Prawdziwa demokracja polega na tym, że słuchacie ludzi, a nie wyobrażacie sobie, że tylko wy będziecie decydowali o tym, kto naprawdę będzie rządził w poszczególnych krajach



PATRYK JAKI
europoseł Solidarnej Polski,
podczas przemówienia w Parlamencie Europejskim

Za: wPolityce.pl

Czy Trumpa dopadnie sprawiedliwość

Ameryka, poligon polskiej przyszłości

Co jest gorsze – pozostawienie przestępstw rządzących bez konsekwencji czy ściganie ich kosztem dalszego rozpalania wojny domowej

Jarkowiec



Trump jest jak Houdini, magik zdolny uciec z każdej opresji – pisze „New Yorker” w podsumowaniu przesłuchań przed komisją wyjaśniającą okoliczności ataku na Kapitol 6 stycznia 2021 r.

Panel Izby Reprezentantów złożony z siedmiorga demokratów i dwójga zbuntowanych republikanów zakończył najważniejszy etap prac: przepytano ponad tysiąc świadków, również z otoczenia byłego prezydenta.

Trump wiedział, że przegrał wybory – wynika z zeznań. Sztab był przgotowany na porażkę. Jeszcze przed głosowaniem dogadano taktykę kwestionowania wyników. Doradcy, którzy się sprzeciwiali, byli odsuwani, nieraz przy akompaniamentcie talerzy rzuconych przez szefa w ścianę. 6 stycznia 2021 r. Trump świadomie podburzał tłum kłamstwami o fałszerstwach. Miał informacje, że politycy zamknęci w budynku Kongresu znaleźli się w sytuacji zagrożenia życia. Nic z tym nie zrobił. Oglądał przebieg wypadków w telewizji. Z ponad 20 godzin publicznych przesłuchań najbardziej w pamięć zapadł fragment filmu, w którym Roger Stone, przyjaciel i doradca Trumpa, tuż przed wyborami 2020 r. mówi: „Pieprzyć głosowanie. Przejdźmy od razu do przemocy”.

Ostatniego dnia obrad członkowie jednogłośnie postanowili wezwać Trumpa. Akt symboliczny, tak jak – w dużej mierze – wszystkie ich dzia-

łania. Komisja nie jest sądem ani prokuraturą. Z jej ustaleń nie wynika nic poza wiedzą. Z wyjątkiem kilku wystrzałowych szczegółów to, co opowiadali świadkowie, było wcześniej znane.

Czy w takim razie byłego prezydenta kiedykolwiek dopadnie sprawiedliwość? Spośród niezliczonych postępowań, jakie toczą się przeciw niemu w całym kraju, najpoważniejsze są cztery. Prokuratorzy w Georgii badają, czy Trump próbował sfalszować wyniki głosowania prezydenckiego na terenie stanu. „Musimy znaleźć 11 780 głosów” – mówi prezydent w zarejestrowanej rozmowie telefonicznej z republikaniskim członkiem władz stanowych Bradem Raffenspergerem. Tytuł brakowało Trumpowi do wygranej w Georgii. Gdyby udało się udowodnić jego świadome działanie na rzecz fałszerstwa, mógłby dostać wyrok.

W Nowym Jorku zespół stanowej prokurator generalnej Letitia James zbiera dowody na przestępstwa gospodarcze, jakich dopuścił się Trump, zanim został prezydentem. Chodzi o wyłudzenia pożyczek i oszustwa podatkowe, za które można trafić za kraty.

Departament Sprawiedliwości prowadzi dochodzenie zbieżne z pracami komisji Izby Reprezentantów – próbuje ustalić winnych napaści na Kapitol. Były prezydent jest jednym z podejrzanych.

Śledztwo, które może najbardziej zaszkodzić byłej głowie państwa, dotyczy ściśle tajnych dokumentów. Departament Sprawiedliwości sprawdza, co działo się z teczkami, które Trump wywoził do posiadłości Mar-a-Lago na Florydzie. W czasie sierpniowego przeszukiwania śledczy przejęli ponad 11 tys. dokumentów, niektóre ze stemplem

„Top Secret”. Sprawa może zahaczać o przestępstwa dotyczące szpiegostwa i bezpieczeństwa narodowego, za które grozi odsiadka.

Nie zapominajmy jednak, że Trump jest Houdinim. Prawnicy są sceptyczni co do szans postawienia go w stan oskarżenia i skazania. Prokuratorzy federalni, którzy mogliby do tego doprowadzić, nie zaangażują się, bo sprawa jest polityczna.

Ich skrupuły streszcza pytanie, które prędzej czy później zadamy sobie również w Polsce: co jest gorsze – pozostawienie przestępstw bez konse-

Trump nadaje ton wszystkim debatom, Demokraci nie potrafią postrzegać polityki inaczej niż przez pryzmat jego postaci

kwencji czy ściganie ich kosztem dalszego podpalania społeczeństwa pozostającego w stanie zimnej wojny domowej? Niedawno Trump groził, że jeśli zostaną mu postawione zarzuty, „będą problemy, jakich ten kraj jeszcze nie widział”. Paradoks: podburzanie do przemocy, za co Trump powinien dostać wyrok, powoduje strach i wstrzymuje wydawanie wyroków.

Na początku czerwca, kiedy komisja Izby rozpoczynała pracę, pozytywną ocenę wystawiało Trumpowi 41,9 proc. badanych Amerykanów. Dziś: 40,4 proc. Różnica w granicach błędów. Na innych frontach też bez zmian: Trump jest zdecydowanym faworytem wyborców Republikanów do no-

minacji w wyścigu prezydenckim; sondaże dają mu szansę pokonania Bidena. Choć został wyrzucony z największych portali społecznościowych, nadal nadaje ton debacie po prawej stronie. Właśnie ukazała się kolejna książka o jego władzy. Nowe rewelacje: były prezydent miał zwyczaj spuszczać dokumenty w toalecie.

A Trump robi swoje – jeździ na wiecach i pcha swoich ludzi do władzy. „Washington Post” wyliczył, że 8 listopada w wyborach do Kongresu i władz stanowych wystartuje 291 kandydatów Republikanów, którzy nie uznają wyników wyborów z 2020 r. 171 z nich startuje w okręgach, gdzie ich wygrana jest w zasadzie przesądzona. Oznacza to, że kłamstwo wyborcze zakotwiczy się w instytucjach. Rzuci się też cieniem na kampanię prezydencką 2024. Nawet jeśli Trump nie zamieszka ponownie w Białym Domu, zniszczenia, jakich dokonał w demokracji, są trwałe.

Wiele wskazuje na to, że za trzy tygodnie Republikanie odzyskają większość w Izbie Reprezentantów. Komisja do sprawy ataku na Kapitol przestanie istnieć. Ani Trumpowi, ani nikomu z jego otoczenia nie zostaną postawione zarzuty. Za to sądy w całym kraju postawiły już w stan oskarżenia niemal tysiąc uczestników szturmów. Najwyższy jak dotąd wyrok zapadł w Teksasie. Guy Reffitt, 49-letni ojciec trójki dzieci, pracownik fizyczny, dostał siedem lat. W procesie zeznawał jego syn. Opowiadał, że tata został opętany przez Trumpa – wystąpienia prezydenta wprowadzały Reffitta w stan uniesienia, jakby przemawiał do niego bóg. Syn poprosił, aby w ramach kary ojciec został wysłany na leczenie psychiatryczne. ● **Maciej Jarkowiec**

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Z MARATEM GABIDULLINEM*, JEDNYM Z DOWÓDCÓW PUTINOWSKIEJ GRUPY WAGNERA, KTÓRY NAPISAŁ KSIĄŻKĘ POTĘPIAJĄCĄ ROSYJSKI REŻIM, ROZMAWIA WIKTORIA BIELIASZYN

Zanim trafił pan do Grupy Wagnera, zdobył pan wykształcenie wojskowe, służył w wojskach powietrznodesantowych, marzył, jak pan mówił, o takiej karierze. Dlaczego?

– Urodziłem się w Związku Radzieckim, więc od dziecka uczono mnie, że obrońca ojczyzny to szanowany zawód, bo naród powinien być przygotowany na napad. Narracja się nie zmieniła, władze nam wpajają, że otaczają nas wrogowie. Jako nastolatek chciałem zostać pilotem, oglądałem radzieckie filmy, romantyzowałem armię do tego stopnia, że po szkole zdecydowałem się studiować w szkole wojsk powietrznodesantowych. Nie dostałem się za pierwszym razem i rok przepracowałem w uczelnianym laboratorium, by zwiększyć swoje szanse przy powtórnej rekrutacji. Skończyłem te studia, potem praca w wojsku...

Nie zagrzał pan tam długo miejsca.

– Pięć lat, ale mi nie szło. Byłem dowódcą plutonu powietrznodesantowego, z czasem awansowałem, ale dobijała mnie rutyna, szukałem innych bodźców, bardziej angażowałem się w sport niż pracę. Po rozpadzie ZSRR stwierdziłem, że trzeba jednak coś osiągnąć w armii, zostałem zastępcą dowódcy kompanii rozpoznawczej. Nieźle zarabiałem, było dobrze, póki przez przypadek mnie nie zwolniono.

Dlaczego przez przypadek?

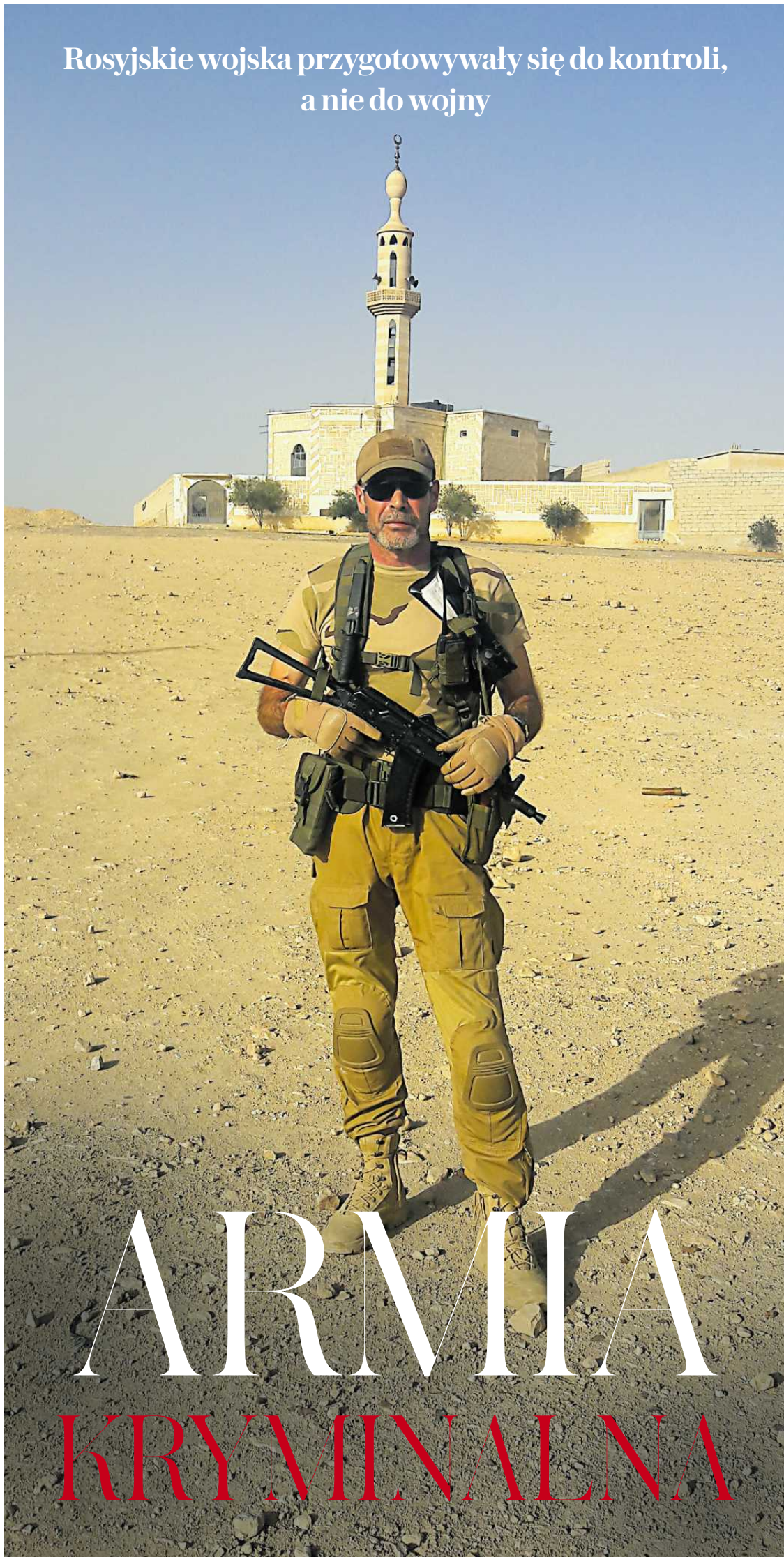
– Biurokracja. Mój przyjaciel poradził mi, żebym złożył wniosek o przeniesienie do innej jednostki. By to zrobić, konieczne było oficjalne zwolnienie się z pracy. Tyle że wniosek o przeniesienie rzekomo zaginął, a mnie, jak wielu innych, rzeczywiście zwolnili. Na nic protesty, próby odkręcenia, choć podczas „audiencji” w Moskwie usłyszałem, że mam się nie martwić, bo praca dla mnie się znajdzie. Kiedy dostałem raport o zwolnieniu, zrozumiałem, że to tylko takie gadanie, a obietnice nic nie znaczą. Miałem wrażenie, że wyrzucili mnie za burtę.

Co pan wtedy myślał o przyszłości kraju?

– Nie rozumiałem sytuacji, nie miałem potrzeby, by się tym wszystkim zainteresować. Płynąłem z prądem. Myślałem, że będzie, co ma być. Nie czułem, że mam jakikolwiek wpływ na to, co się dzieje. Z jednej strony wkurzały mnie nasze władze, to, że poziom życia tak mocno spadł, że prawie każdy miał problemy z wypłatami, z jedzeniem, z pieniędzmi. Ale dzisiaj rozumiem, że rozpad ZSRR dał mi i wielu innym ludziom możliwość rozwoju. Szkoda, że z niej nie skorzystałem.

Co było dalej?

– Miałem depresję, nie wiedziałem, czym się zająć, w kraju panowała swego rodzaju kapitalistyczna wojna domowa, w któ-



rej ludzie, przede wszystkim tzw. kryminalne autorytety, walczyli o przejęcie państwowych firm i dóbr. Cały biznes rządził się prawami kryminalnymi. Pamiętką tych czasów są całe aleje cmentarne, zwłaszcza w dużych miastach. Kraj był bandycki, każdego dnia w porachunkach ginęli ludzie.

Pan również się do tego przyczynił.

– Powiem tak: w latach 90. wszedłem w konflikt z jednym z „kryminalnych autorytetów”, zastępcą. Nie będę się wdawać

w szczegóły, niech pani wystarczy, że w efekcie go zabiłem. Najpierw strzelił on, później ja. Trafilem.

To był pierwszy raz, kiedy zabił pan człowieka?

– Nie, wcześniej, kiedy służyłem w armii, brałem udział w kilku specjalnych operacjach wojskowych.

Wtrącono pana do więzienia, ale na krótko.

– Na trzy lata, m.in. ze względu na to, kim był człowiek, którego zabiłem, ale też ze względu na to, że

sąd umorzył dodatkowe zarzuty, z których miało wynikać, że działałem w zorganizowanej grupie. Śledztwo trwało trzy lata, przez cały czas siedziałem wtedy w więzieniu. Zwolnili mnie na sali sądowej.

Jak to doświadczenie wpłynęło na pańskie życie?

– W więzieniu dużo myślałem, czytałem wszystko, co wpadło mi w ręce, czyli i klasykę, i lżejszą beletrystykę. Zacząłem nawet uczyć się angielskiego. Kiedy mnie wypuścili, przez jakiś czas

udało mi się żyć zgodnie z zasadami, które sam sobie narzuciłem, zgodnie z prawem. Szybko jednak straciłem balans. Nie miałem celu w życiu, czułem się zagubiony, nie wiedziałem, czego chcę. Pracowałem m.in. w ochronie, w służbach bezpieczeństwa, ale nudziło mnie to. Nie miałem szacunku do większości swoich klientów, wśród których przeważali biznesmeni.

Dlaczego?

– Patrząc na nich, słuchając tego, co mówią, i widząc, jak działają, zdawałem sobie sprawę, jakie życie jest niesprawiedliwe. Zrozumiałem, że by osiągnąć sukces i bogactwo, niekoniecznie trzeba być mądrym czy zdolnym. Otaczali mnie bogaci prostacy. Podkreślałem, że nie wszyscy tacy byli, ale wielu. Nie mogę wymienić, kogo z nich szanuję do dziś, ale jest kilka takich nazwisk. Jedna z tych osób siedzi teraz w więzieniu w Krasnojarsku, ale zanim się w nim znalazła, pracowała nie tylko dla siebie, ale też by wzbogacić swój region i miasto. To rzadkie w Rosji.

Jak znalazł się pan w Grupie Wagnera?

– W 2015 r. zadzwonił do mnie przyjaciel. Powiedział, że ma dla mnie fuchę i że nie tylko będę mógł zarobić, lecz także robić to, co umiem, czyli służyć w swego rodzaju „alternatywnej armii”. Nie zadawałem specjalnie pytań, ale ta propozycja dała mi nadzieję. Spakowałem się, pojechałem do Krasnodaru, a tam na poligonie GRU w pobliżu Molkina było już kilka grup i jednostek ze swoimi dowódcami. Przeszedłem wszystkie etapy rekrutacji, szkolenie i dostałem pracę.

Jako szeregowiec?

– Początkowo tak. Byłem szeregowcem w tzw. międzynarodowym plutonie, którego dowódcą był Serb. Z czasem dosłużyłem się stopnia dowódcy kompanii rozpoznawczej. Teoretycznie naszym zadaniem było wychodzenie na zwiady, obserwowanie wojsk wroga, wykrywanie pozycji, ale de facto byliśmy na pierwszej linii ognia, wysyłali nas przed jednostki szturmowe.

Kto jeszcze tam wtedy służył?

– Kilku Serbów i obywateli jednego z krajów byłej Jugosławii oraz ludzie ze Wspólnoty Niepodległych Państw. Z czasem jednak zaczęto przyjmować tylko Rosjan, bo z obywatelami innych państw, a raczej ich władzami, było za dużo problemów, także w sytuacji, kiedy dany człowiek ginął w boju.

Jakie wrażenie na panu zrobili ludzie z Grupy Wagnera?

– Podobała mi się ich prostolinijność. Nikt niczego nie upiększał. Od razu na wstępie usłyszeliśmy: „Chłopaki, jesteście przeznaczeni na wojnę. Przygotujcie się na wszystko. Na śmierć też”.

Jednym z etapów rekrutacji było badanie wariografem. Nie od razu zdałem ten test, bo kiedy zapytano mnie, czy mam kontakt z osobami ze świata kryminalnego, maszyna zaczęła szaleć. Wyjaśniłem, że to nie tak, że jestem z nimi w bliskich relacjach, ale też nie będę przechodzić na drugą stronę ulicy, jeśli spotkam dawnych znajomych.

To byłby problem? Przecież Jewgienij Prigożyn, zwany także „kucharzem Putina”, który niedawno oficjalnie przyznał, że to on stworzył Grupę Wagnera, jest recydywistą.

– Gdyby to był dla niego problem, moje wyjaśnienie by nie wystarczyło. Szybko się przekonałem, że moja karalność nie ma znaczenia, bo wśród rekrutowanych są osoby, które też mają kryminalną przeszłość. Większość jednak stanowią byli wojskowi.

Decydując się na dołączenie do Grupy Wagnera, miał pan świadomość, że dołącza do organizacji, która – nawet zgodnie z rosyjskim prawem – jest nielegalna?

– Nie jestem głupi. Przyjechałem na wojskowy poligon szkoleniowy, dostałem broń, przygotowywaliśmy się do działań wojennych. Od razu jasne było, że nigdy nie mogłoby się to wydarzyć, gdyby nie „krysha” państwa.

Grupa od lat opisywana jest jako „prywatna firma wojskowa” finansowana przez Jewgienija Prigożyna.

– Brednie. Od zawsze finansuje ją państwo, a konkretniej – nieświadomi podatnicy. W czasie, kiedy pracowałem w korpusie dowodzenia, widziałem wiele dokumentów. Prigożyna nie byłoby stać na utrzymanie tylu osób, a teraz jest ich ok. 5 tys. To grupa funkcjonująca równolegle z armią. Już na pierwszym szkoleniu cała broń, którą otrzymaliśmy, dostarczona była przez rosyjskie ministerstwo obrony, podobnie jak reszta wyposażenia.

W jakim celu Rosja wykorzystuje najemników?

– Zależy od sytuacji. W Ukrainie to kwestia prawna i logistyczna: o wiele łatwiej jest szybko rozmieścić na jej terenie wagnerowców, czyli gotowe do ataku bataliony profesjonalistów. W Syrii chodziło o okłamanie Rosjan, stworzenie iluzji, że zwyciężyliśmy w tej wojnie, ponosząc niewysoką cenę.

Ile zarabia rosyjski najemnik?

– Poza strefą działań wojennych otrzymuje ok. 180 tys. rubli miesięcznie (15 tys. zł), na froncie 240 tys. rubli miesięcznie (19 tys. zł). To były bardzo dobre pieniądze, większość nie byłaby w stanie ich zarobić w normalnej pracy, zwłaszcza jeśli nie mieszkają w Moskwie czy Petersburgu. Wielu z nich nie ma też wykształcenia albo umiejętności czy znajomości, które są równie ważne.

Jak zareagowali pana bliscy?

– Ucieszyli się. Mieli nadzieję, że wyjdą na prostą, pokonam depresję, znów zasnę. Przez moment tak było.

W książce opisuje pan, że pierwszą „delegację” dostał pan do Ługańska.

– Byłem tam latem 2015 r. Odniosłem wrażenie, że wysłano nas, by na nowo rozniecić ogień wojny. Prowokacje, napaści na oddziały SBU, ostrzały terytoriów dokonywane zarówno przez nich, jak i armię, tzw. LRL.

Mój oddział nie brał udziału w działaniach bojowych. Ochranialiśmy szpitale, obserwowaliśmy teren, szczerze powiedziawszy, byliśmy mało użyteczni. Nasz

dowódca, Serb, robił wszystko, byle tylko nie ryzykować. Dzisiaj w pewnym sensie jestem mu za to wdzięczny, choć wtedy myślałem, że ta praca nie ma sensu.

Bo?

– Wmawiano nam, że Europa i Ameryka tam walczą, zagrażają nam, ale tego nie zobaczyłem. Co więcej, miałem wtedy wrażenie, że strona ukraińska nie odpowiada na nasze ataki, bo zwyczajnie boi się eskalacji konfliktu. Patrzyłem na to i dochodziło do mnie, że lokalna ludność to mimowolni zakładnicy uzbrojonych bandytów, którzy nie są w stanie nawet za bardzo wyjaśnić, co rzekomo złego zrobili im Ukraińcy.

Pan wierzył kremłowskiej propagandzie?

– Początkowo tak. Wierzyłem, że „kolektywny Zachód” nam zagraża, że te ziemie powinny wrócić do Rosji, ale po delegacji do Ługańska zacząłem mocno w to wszystko wątpić. Dotarło do mnie, że propaganda kłamie, a przedstawiany przez nią świat to odbicie w krzywym zwierciadle. Dopiero wtedy zrozumiałem, że to Rosja uzbroiła po zęby te regiony i „opółczyńców”. Czulem się związany z Ukrainą i te bajki o rzekomym zagrożeniu do mnie nie przemawiały. Chciałem się nawet zwolnić.

Mimo to nie zrezygnował pan z „pracy”.

– Wtedy zaczęła się misja w Syrii. Powiedzieli nam, że jedziemy walczyć z tzw. Państwem Islamskim. Tutaj nie miałem żadnych wątpliwości. Po pierwsze, bo to tzw. Państwo Islamskie, a po drugie, bo to obcy kraj, obcy naród, z którym nie jestem w żaden sposób związany.

Walczyć z obcymi, zabijać ich jest łatwiej niż swoich?

– Tak. Nie ma wątpliwości. Ukraina wchodziła kiedyś w skład kraju, w którym się urodziłem i wyrosłem. Ukraińcy są dla mnie jak bracia i nigdy nawet przez myśl mi nie przeszło, by móc z nimi walczyć. Wiem jednak, że rosyjskie władze zdecydowały się na to szaleństwo, bo walcząc o wolność Ukraina mogła stać się przykładem do naśladowania dla Rosjan. To, co się dzieje dzisiaj w Ukrainie, nie mieści mi się w głowie.

A to, co się działo w Syrii, się mieściło? Wiedział pan wtedy, o co właściwie walczy? Czy rzeczywiście wierzył pan, że to walka o interesy państwa, czy główną rolę odgrywały pieniądze?

– Pieniądze były ważne. Trzeba też wiedzieć, że najemnicy to ludzie, którzy są przeznaczeni do udziału w wojnie. Podpisują umowę, dostają pieniądze za swoją pracę. Nie ma tam jednej ideologii, każdy sam określa, o co walczy i dlaczego. Co do Syrii, to początkowo karmiono nas narracją, z której wynikało, że jeśli nie pokonamy tzw. Państwa Islamskiego, to rozszerzy ono swoją strefę wpływu, dotrze aż do rosyjskich granic.

Początkowo wierzyliśmy również, że należy bronić dobrego chłopaka, jakim miał być Baszar al-Asad, dowodzący swoją rzekomo bohaterską armią i walczą-

cy nie tylko z najeźdźcą, ale też ze światowym imperializmem. Z czasem zrozumiałem, że armia Asada to nie bohaterowie, tylko zwyczajni szabrownicy.

Żałował pan?

– Sęk w tym, że nie mam wątpliwości co do tego, że trzeba było walczyć z tzw. Państwem Islamskim. To rak zagrażający naszej cywilizacji, organizacja terrorystyczna. Nie ma prawa istnieć. To z nimi mieliśmy do czynienia w Palmirze.

Tylko że w 2018 r. zaczął się nowy etap, a razem z nim już nie walka z terrorystami, tylko np. zacystka Ghuty. Owszem, byli tam bojownicy z Frontu al-Nusry i Al-Kaidy, ale byli też bojownicy Wolnej Armii Syryjskiej. Opozycja, a nie džihadyści. Tam zdałem sobie sprawę, że zabijając mieszkańców Syrii, walczymy w gruncie rzeczy o władzę Baszara al-

W Rosji nie da się znaleźć pracy, która nie polegałaby na zabijaniu ludzi?

– Najemnikowi trudno wrócić do normalnego życia. Po wielu miesiącach, a czasami i latach walk wielu z nich nie jest w stanie się asymilować w społeczeństwie. Po latach pracy w takiej strukturze nie potrafisz odnaleźć się w „pokojowym” świecie, nie umiesz się w nim utrzymać.

Służył pan wcześniej w armii rosyjskiej. To, co zaprezentowała w Ukrainie, pana zaskoczyło?

– Jeżeli chodzi o przygotowanie bojowe, to zupełnie nie. Mnie zaskoczył sam fakt, że Rosja napadła na Ukrainę.

Porównuję dzisiaj armię radziecką i rosyjską. Trzeba przyznać, że radziecka nie była idealna, ale miała jakąś gotowość bojową. Rosyjska armia nie jest współczesna, nie ma ludzi, któ-

udziału w jakiegokolwiek wojnie, bo w czasie obowiązkowej służby nikt specjalnie niczego ich nie uczył.

– W Grupie Wagnera to nie do pomyslenia. Każdy dzień zaczyna się od ćwiczeń, studiowania taktyki, nauki strzelania. Myślę, że armii nawet nie śniła się liczba zaopatrzenia wojskowego, jakie wykorzystywaliśmy do przygotowywania. Kiedy patrzę na dowództwo rosyjskiej armii, to widzę, że nie mają smykalki wojennej. Traktują armię jak pracę, którą muszą odbębnić, by dostać pensję. Napatrzyłem się na nich w Syrii. Nigdy nie mówili o taktyce, strategii, nie dyskutowali o możliwych rozwiązaniach i scenariuszach, tylko omawiali, jakie dodatki dostaną do wynagrodzenia. Rosyjska armia przygotowywała się do kontroli, ale nie do wojny.

Widzi pan analogie między sposobem prowadzenia wojny w Syrii a w Ukrainie?

– Nie, to dwie zupełnie różne wojny. Rosyjska armia nie ma żadnego doświadczenia stamtąd, które mogłaby wykorzystać, bo wszystko osiągnęli najemnicy. Mianowanie na nowego dowódcę generała Siergieja Surowikina, rzekomo ze względu na jego syryjskie doświadczenie, jest śmieszne. To beztalencie zależne od Prigożyna, który nim steruje. Wszystkie przypisywane mu sukcesy to praca najemników.

Wśród „sukcesów” Surowikina wymienia się m.in. równanie miast z ziemią i ataki na ludność cywilną. To samo widzimy dzisiaj w Ukrainie.

– Jeśli chodzi o zniszczenia, to walki w miastach zawsze prowadzą do ogromnych strat. Gdybym był dowódcą, nie wysyłałbym w takiej sytuacji do walki wokół punktu zapalnego piechoty, tylko czołg i artylerię. To wewnętrzności wojny. Nieprzyjemne, ale wpisują się w sztukę wojenną.

A zbrodnie wojenne przeciwko ludności cywilnej?

– W tej wojnie pierwsze zarzuty wobec wagnerowców pojawiły się po Buczy. Chciałbym podkreślić, że na tym odcinku frontu ich tam w ogóle nie było. Wątpię, że to Grupa Wagnera dopuszczała się tych zbrodni.

A nie kieruje się pan teraz zasadą, że koszula bliższa ciału?

– Nie, ja mam podstawy, by tak twierdzić. Wagnerowcy są zajęci wojną na pierwszej linii frontu. Kontakt z cywilami mają bardzo ograniczony. W Grupie Wagnera dominują też ludzie zrównoważeni psychicznie, z doświadczeniem, dojrzałi. Nie ma wśród nich zdegenerowanych albo zwichrowanych psychicznie osób. Zewnętrzny czynnik stresowy, który w takich momentach działa na ludzi, nie dotyczy ich w taki sposób, by móc sprowokować do takich sytuacji.

Niezależna „Nowaja Gazieta” ustaliła, że nagranie, które ukazało się kilka lat temu w internecie, pokazujące czterech wagnerowców znęcających się nad syryjskim dezerterskim, jest prawdziwe.

– Tak. Tych konkretnych ludzi nie знаłem. Czerem debilom, sady- stom kierownictwo pozwoliło na

Dzisiejsi wojskowi rosyjscy nie wiedzą, jak przygotować armię, interesują ich pieniądze

-Asada. Zostaliśmy wciągnięci w wojnę domową. Zacząłem zadawać sobie pytanie: co my właściwie robimy w Syrii? I po co?

Co panu otworzyło oczy?

– To był proces, nie moment. Jedną z jego składowych stała się próba zajęcia pola gazowego Conoco, które kontrolowali Kurdowie. Nie udało nam się. Jeszcze przed rozpoczęciem ofensywy rozpętało się piekło. Wszędzie był ogień, rakiety, ostrzeliwano nas też z helikopterów. Wszystko płonęło. Amerykanie nas znokautowali, straciliśmy wielu ludzi. Ja sam zostałem ranny, chociaż lekko, miałem szczęście. Pamiętam, że zacząłem się wtedy po raz pierwszy zastanawiać, dlaczego wrzucili nas prosto w ogień.

Twierdzi pan, że próbowano pana zwerbować na Ukrainę, ale odmówił pan ze względu na swoje uczucia względem tego kraju, o których już mówiliśmy. A pańscy towarzysze?

– Większość moich kolegów płynie z prądem. Chodzi im o pieniądze. Nie spotkałem jeszcze człowieka, który powiedziałby mi, że walczy tam, bo ma poczucie misji. Wszyscy mówią: „Bracie, potrzebujemy kasy”. Ci, którzy powtarzają bajki propagandy, robią to, by jakoś się usprawiedliwić, ale w to nie wierzą.

Pan jest ich w stanie zrozumieć?

– Wojna przeciwko Ukrainie to zbrodnia. Nigdy nie mógłbym wziąć w niej udziału. Co do kolegów, z jednej strony jestem w stanie wczuć się w ich sytuację, rozumiem, że trzeba utrzymać rodzinę, nakarmić dzieci itd., z drugiej – myślę, że nie należy robić tego w taki sposób, bo wszystko straci sens.

rzy w czasach radzieckich tworzyli armię zdolną do walki. Dzisiejsi wojskowi, nawet jeśli mają wysokie stopnie, często nigdy nie zajmowali się tym, czym powinni, nie mają doświadczenia. Nie wiedzą, jak przygotować armię, interesują ich przede wszystkim pieniądze, przyzwyczajeni są do podlizywania i tego, że ich podwładni, niezależnie od poglądów, kładą uszy po sobie. Na awans mogą liczyć nie ludzie, którzy coś osiągnęli, ale ci, którzy mają pieniądze lub układy. Żołnierze nie mają odpowiednich nawyków, nie potrafią obsługiwać sprzętu, bo nikt ich niczego nie uczy.

Jak to się ma do Grupy Wagnera?

– Tam jest znacznie mniej biurokracji i klarownych zasad. Wagner zatrudnia najemników, którzy nie są przyzwyczajeni do posłuszeństwa, bo tylko wtedy, kiedy mają swobodę, są w stanie skutecznie działać. Tworzą ją ludzie, którzy są nastawieni na wojnę, ale nie ze względów ideologicznych.

Dowódcy doskonale wiedzą, co zrobić, by przygotować swoich ludzi do walk. W odróżnieniu od generałów rosyjskiej armii to dowódcy, których mózgi nie zostały zalane tłuszczem, m.in. dlatego że większość z nich zakończyła karierę w wojsku na średnim, przejściowym etapie, kiedy nie jesteś już najniższ w hierarchii, ale daleko ci do bardzo wysokich stopni.

Służąc w Grupie Wagnera, miał pan poczucie bezkarności?

– Wszystko zależy od wewnętrznych zasad danego człowieka. Ja nie miałem.

Żołnierze rosyjskiej armii opowiadali mi, że zupełnie nie czuli się przygotowani do

take bestialstwo, by zastraszyć ludzi. Nie mieści mi się to w głowie.

Swego czasu mówił pan dużo o postępującej w Grupie Wagnera degradacji.

– Bo w pewnym momencie wagnerowców zaczęto traktować jak niewolników. W czasach mojej bytności w niej, do 2017 r., tworzyli ją gladiatorzy, dzisiaj to niewolnicy. Ci ludzie nie mają własnego zdania, nie mają należnych kompetencji. Weterani, z którymi walczyłem w tych samych szeregach, mówią dzisiaj przed wyjazdem w „delegację”, że dadzą radę, przeżyją. Za moich czasów mówiło się o zwycięstwie. Nie pomaga też wewnętrzna Służba Bezpieczeństwa, która w ostatnich latach zaczęła przejmować coraz większą kontrolę, wywierać nacisk, przestawiać się w destrukcyjny, represyjny aparat, którego celem było wieczne pilnowanie nas, m.in. po to, by żadne informacje o naszej działalności nie wyszły na zewnątrz. Paradoksalnie o Grupie Wagnera więcej wiedzą ludzie na Zachodzie niż w Rosji.

W czasie pracy w strukturach Grupy Wagnera był pan asystentem Jewgienija Prigożyna. Rosyjscy opozycjoniści mówią o nim „morderca z licencją na zabijanie otrzymaną od Putina”.

– To zdecydowany, brutalny i bezwzględny człowiek – lekką ręką jest w stanie wysłać swoich ludzi na ubój, ale jeśli tylko może im pomóc, robi to, nie bacząc na koszty. Jasne, w przypadku Grupy Wagnera to oczywiście pieniądze z państwowego budżetu, ale przecież on decyduje, jak zostaną wydane. Kiedy zostałem ranny, leczono mnie w dobrej prywatnej klinice. Dostałem odszkodowanie. Inni byli traktowani tak samo. Prigożyn sprowadza ciała poległych, by każdy był pochowany w ojczyźnie. Wyplaca rodzinom odszkodowania.

To nie zmienia faktu, że biuro Prigożyna nazywam „królestwem strachu”. Ludzie bali się tam choćby szeptać. Kiedy był na miejscu, wielu mówiło, że trzęsą im się ręce, nogi. Prigożyn nie rozmawia normalnie z ludźmi. Często krzyczy, mówi wulgaryzmami. Za naruszenie jego zasad, formowanych w dużej mierze po to, by móc wywierać presję psychologiczną, można wylecieć. A ludzie nie chcą stracić pracy.

Na czym polegają jego zasady?

– Trzeba pamiętać, że Jewgienij Prigożyn siedział w więzieniu dłużej niż ja. Nie da się po czymś takim w pełni wrócić do normalnego życia. Dlatego jest ostry. Ci, którzy walczą, mają zakaz posiadania telefonu albo konta w sieciach społecznościowych, bo kierownictwu zależy, by ludzie oduczili się myśleć. Im mniej informacji, tym mniejsza szansa na sformułowanie się opinii.

Mówił pan, że Prigożyn pilnuje, by społeczeństwo nie wiedziało o Grupie Wagnera. A pan nie dość, że napisał o niej książkę, to jeszcze mi o tym opowiada.

– Prigożyn od lat z pogardą odnosi się do armii, do ministerstwa obrony. Kiedy napisałem książkę, jeszcze w trakcie swojej bytności w Grupie Wagnera, pokazałem mu ją. Szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że otworzę mu w ten sposób oczy, pokażę, jak okłamuje go jego bliskie otoczenie, jak

Wariograf oszalał, gdy spytano mnie, czy mam kontakt ze światem kryminalnym

kradną jego pieniądze. Myślałem, że skłonię go do wprowadzenia reform.

Udało się?

– Nie, on o tym wszystkim wiedział. Jemu w gruncie rzeczy zależało na tym, by tę strukturę przekształcić w oddział wojennych niewolników.

Książka w tamtej formie spodobała mu się, ale teraz jest ostrzejsza. Opoowiedziałem w niej prawdę, opisałem nasze osiągnięcia, ale też historię formowania się ruchu najemniczego. Pokazałem, że wiele zwycięstw Rosja odniosła dzięki nam, a nie armii. Wtedy, w 2017 r., powie-dział mi, że należy ją wydać, ale dopiero w 2022 r. Dzisiaj myślę, że ta data mogła nie być przypadkowa. Prigożyn nie spełnił swojego marzenia: nie został królem Donbasu w 2014 r., a przez cały czas do tego dążył. Myślę, że ze względu na swoje koneksje wiedział, kiedy Rosja napadnie na Ukrainę i czym się to wszystko może skończyć.

Rosyjski żołnierz Paweł Filatiew, który walczył w Ukrainie, napisał po odejściu z armii książkę o wojnie w ramach psychoterapii.

– O mnie też tak można powiedzieć. W 2016 r. zostałem ciężko ranny w Palmirze, tuż za mną wybuchł granat, odłamki trafiły mnie w głowę, plecy. Ledwo przeżyłem. W szpitalu usunięto mi nerkę, śledzionę, część jelita. Kiedy tylko odzyskałem trochę sił, na tyle, by móc pisać, wziąłem w ręce notes. Chciałem opowiedzieć Rosjanom, czym była wojna w Syrii, bo nasza propaganda kłamie, całkowicie skaża obraz rzeczywistości. Ludziom wydaje się, że przy minimalnych stratach udało się zwyciężyć ISIS, a to wszystko dzięki zasługom wspaniałych generałów. O poległych najemnikach się nie mówi.

Zależało mi na tym, by uświadomić Rosjanom, że nasze władze wykorzystują najemników. Od zawsze, choć twierdzą, że podobne rzeczy dzieją się tylko na Zachodzie. Pisałem, żeby nie zapomnieć.

Niektórzy wychodzą z założenia, że pewnych rzeczy lepiej nie pamiętać.

– Ale rzeczy, które były złe. Ja walczyłem przeciwko ISIS, nie dopuszczałem się zbrodni wojennych. Tam, gdzie byłem, cywili już nie było. Braliśmy puste wsie i miasteczka. Z Palmiry ludność cywilna wyje-

chała, z Ghuty mieszkańców ewakuowano, za zabójstwo „kryminalnego autorytetu” odsiedziałem...

Co jeszcze chciał pan przekazać Rosjanom?

– Że nie jesteśmy żadnym narodem wybranym. Nie jesteśmy lepsi, bo jesteśmy Rosjanami, wyznajemy prawosławie i państwo narzuca nam tradycyjne wartości. To wszystko wmawiają nam władze, by nas oglupić, trzymać w szachu.

Jak to możliwe, że ta książka ukazała się w Rosji?

– Dzisiaj o mojej książce jest głośniejsze, bo – jak mi się wydaje – w świetle ostatnich wydarzeń Prigożyn może ją nawet doceniać, choć brzmi to dość paradoksalnie. Ale przypominam, że w Rosji ukazała się okrojona wersja, w dodatku wydało ją małe wydawnictwo z Syberii. Początkowo próbowali na mnie naciskać, bym tego nie robił. I rzeczywiście, wstrzymałem się. Ale teraz już nie mogę. Grupa Wagnera nie może istnieć w takiej formie, w jakiej widzimy ją dzisiaj. To straszny twór naszego systemu, sekta, szara masa, którą kierują ludzie powiązani z władzami.

Czyli nie ma pan powodów do niepokoju?

– W latach 90. w Rosji było powiedzenie: „Nie boję się już ani noża, ani pistoletu”. Chociaż wiem, że moja dzisiejsza działalność sprawia, że jestem na ich celowniku. Mój strach się rozciągnął. Trzeba też rozumieć, że to nie jest tak, że najemnicy walczą w Grupie Wagnera, bo kieruje nimi strach. Nigdy nie miałem poczucia, że ci ludzie mogą mi coś zrobić, zabić mnie, bo nie chcę dłużej z nimi być.

Dlaczego pan odszedł z Grupy Wagnera?

– Nie mogłem patrzeć na postępującą degradację i zaostrzające się wewnątrz organizacji represje. Straciłem poczucie bezpieczeństwa po tym, jak wewnętrzna Służba Bezpieczeństwa mnie przeszukała. Począ-

kowo nie chcieli pozwolić mi odejść, mówili, że operacja specjalna jeszcze się nie skończyła i trzeba zaczekać. Byłem wtedy w delegacji w Syrii. Złamałem więc zasady: po prostu się upiłem, więc nie mieli innego wyjścia. Musieli mnie wyrzucić.

O czym świadczy rekrutowanie do Grupy Wagnera więźniów, którzy mają walczyć w Ukrainie?

– O braku ludzi. Prigożyn potrzebuje jak najwięcej „żywej siły”, przy czym nie chce przerzucać na Ukrainę doświadczonych wagnerowców walczących za granicą: w Libii, Syrii, Republice Środkowoafrykańskiej, bo to tam o wiele bardziej potrzebni są mu ludzie, którzy potrafią walczyć. W Ukrainie chodzi o zorganizowaną, posłuszną masę ludzi.

Jak pan widzi przyszłość swoją i Rosji?

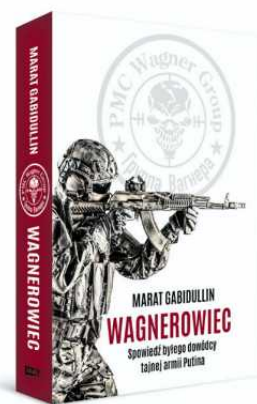
– Chciałbym móc do niej kiedyś wrócić. I bardzo chciałbym, by szła w tym kierunku co Ukraina, czyli rozwoju, samostanowienia, demokracji, bo ja nigdy nie miałem wątpliwości co do niezależności tego państwa. Teraz jestem we Francji. Musiałem wyjechać, bo od początku sprzeciwiałem się rosyjskiej napaści na Ukrainę. Podejmując decyzję o napaści na Ukrainę, Putin zrobił krok w przepaść. Ta wojna jest prawdziwą katastrofą dla naszego kraju. ●



FOT. MARIE BARLOIS

*Marat Gabidullin

• były najemnik Grupy Wagnera, walczył w obwodzie ługańskim, Syrii i Libii. Był także asystentem Jewgienija Prigożyna, biznesmena z bliskiego otoczenia Władimira Putina, twórcy Grupy Wagnera. Jest pierwszą osobą z Grupy, która pod swoim nazwiskiem ujawniła kulisy działania „prywatnej firmy wojskowej”. Mieszka we Francji.



Teraz wygodniej!

Za prenumeratę wyborcza.pl zapłacisz z rachunkiem za telefon

Zeskanuj kod, zobacz, jakie to proste
prenumerata.wyborcza.pl



Usługa dostępna u operatorów:



DBydgoszcz, kilka lat temu: przez centrum idzie pochód narodowców. Protestują przeciw przyjęciu imigrantów. Na czele mężczyzna z megafonem. Trudno go przeoczyć: wyższy od większości o półtorej głowy, silnie zarysowana szczęka, obcisły golf podkreślający muskulaturę, na ramieniu zielona opaska z falangą. „Chcemy repatrianta zamiast imigranta!”, „Tu jest Polska, a nie Polin!” – skanduje, a za nim tłum. Lokalni narodowcy patrzą z podziwem na – jak go nazwali – „wielkiego z Warszawy”.

Ale Robert Bąkiewicz, przewodniczący Stowarzyszenia Marsz Niepodległości (dalej SMN), nie jest warszawiakiem. Pochodzi z Pruszkowa. Prawie całe życie spędził w gorszej części miasta, o której mówi się tu „za torami”. To podzielony na Gąsin i Żbików teren przemysłowy – brzydka, parterowa zabudowa, magazyny, drogi nieutwardzone – latem kurz, zimą błoto, nocami ciemności. To ze Żbikowa wywodzą się słynni pruszkowscy gangsterzy. Bąkiewicz do mafii nie należał; sam przyznaje, że był „zwykłym dresiarzem”. Ale gangusów znał, niektórych z podstawówki numer 10. Jak oni lubił wypić, powąchać, gaznąć się szybką bryką do Warszawy.

– Tonąłem w świecie zepsucia, materii, pogoni za zabawą i kasą – wspomina*. – Wydawało mi się, że to jest to, do czego dążyliśmy. Że po to obaliliśmy komunę, by nareszcie można było konsumować życie. Obserwacja gangsterów pruszkowskich też pokazywała, że złem i bezkarnością można utorować sobie całkiem fajne życie...

Rocznik ’76, mama pochodzi ze wsi Reguły położonej między Pruszkowem a Ursusem, większość życia zajmowała się domem. Ojciec za komuny pracował na etacie, potem był drobnym przedsiębiorcą. Syna wychowywał surowo: „jako dziecko wciąż pamiętałem, gdzie pasek wisi”, „dostałem lanie, gdy się należało”.

– W latach 80., kiedy w telewizji pokazywali konferencje Urbana, tata zaczynał kłąć. Mnie się to podobało. Byłem z niego dumny. Okrągły Stół był dla ojca sukcesem: teraz mamy wolność i będzie jak na Zachodzie. Dla rodziców Zachód był piękny, cukierkowy. Ja myślałem podobnie. Jednak czytałem też książki o Indianach, o powstaniu Pontiaaka, lubiłem filmy historyczne: z wypiekami na twarzy oglądałem obronę Poczty Gdańskiej, Westerplatte, „Hubala”. Podziwiałem ludzi walczących do końca, XX-wiecznych rycerzy. A jednocześnie mi się wydawało, że współczesny rycerz to ktoś taki, co przeklina i pluje – mówi.

Wczesne lata 90. spędził w ogólniaku im. Tomasz Zana – po lepszej stronie torów, tam gdzie urzędy, park Potulickich, asfalt, bloki i kamienice. Grał w piłkę nożną w okręgowym, a potem czwartoligowym Zniczu Pruszków – w ataku, tak jak dekadę później, w tym samym klubie, jego imiennik Lewandowski.

Były trener Ryszard Dumała słabo Bąkiewicza pamięta: – Jako piłkarz niczym się nie wyróżniał, chłopak, jakich wielu. Z tendencją do lobuzowania. Poglądów politycznych nie wygłaszał, pobożny też raczej nie był. Jedni nosili na piersiach krzyżyki, medaliki, inni żegnali się przed murawą – u niego tego nie było.



JESTEM DOŚWIADCZONYM BIZNESMENEM

**Sześć lat po bankructwie Robert Bąkiewicz
ma 5 tys. pensji plus 4 miliony rządowych dotacji**

PIOTR GLUCHOWSKI

FOT. PAWEŁ WODZIŃSKI/EAST NEWS

Rodzicom zależało, by poszedł na studia. Uniwersytet? Za wysokie progi. Skończyło się na stołecznej Wyższej Szkole Handlowej, czyli Uczelni Łazarskiego. Udzielając w 2017 r. wywiadu współtworzonemu przez siebie serwisowi Media Narodowe (250 tys. subskrybentów), Bąkiewicz nie za bardzo pamiętał, co studiował: – Na pewno handel, też handel zagraniczny, no... ekonomię po prostu. Przerwał naukę w połowie lat 90. i zatrudnił się u ojca.

Ożenił się z młodszą o cztery lata Sylwią, którą znał jeszcze z podstawówki. Latem 1998 r. oboje zarejestrowali działalność budowlaną. Pierwsza firma, SiR BUD (od imion Sylwia i Robert), miała siedzibę w rodzinnej murowance przy ul. Przechodniej. Zakres działalności: od „rozbiórki obiektów budowlanych” przez „montaż instalacji wod.-kan. i gazowych” do „sprzedaży hurtowej dywanów”. W rzeczywistości spółka zatrudniała grupkę Polaków i Ukraińców, którzy za pięć złotych na godzinę robili wylewki betonowe, tzw. szlichty, i kładli tynki gipsowe, a potem je malowali.

SiR BUD załapał się na boom 1998-2008 (do pęknięcia bańki hipotecznej), firma ledwo nadążała z realizacją zleceń. Współpracowała z największymi stołecznymi deweloperami. Prócz tego Bąkiewicz brał kredyty i otwierał składy budowlane, m.in. w Błoniu i Sokołowie. Sprzedawał styropian, piasek, kostkę betonową, wełnę mineralną, ziemię ogrodową. Po roku 2005 zaczął budować w Pruszkowie własny magazyn-biurowiec, po „dobrej” stronie torów, przy Staszica i tzw. Skwerku.

Gdy w 2018 r. startował na prezydenta miasta, opisał ten okres tak: – Rzuciłem się w wir działalności gospodarczej i zachłsnąłem światem. Nikt mi nie podpowiedział, że mamy polskie wartości i nie musimy wszystkiego ściągać z Zachodu. Namietnie gonilem za materializmem, ale nie mogłem go dogonić i jakieś 8-10 lat temu zrozumiałem, że kraj nie funkcjonuje dobrze.

W rozmowie z reżyserem filmu „Historia Roja” i dziennikarzem TV Republika Jerzym Zalewskim (Media Narodowe, 2017) doprecyzował: – Dziś widzę, że chciałem tylko kasy, lecz całkowicie straciłem i sferę duchową, i sferę rodzinną, nagle wszystko

wać, co jest prawdą, co fałszem... Nabierałem wewnętrznego przekonania, że trzeba coś zrobić. Bo w telewizorze oglądałem rzeczy, których dziesięć lat wcześniej nikt by nie śmiał pokazać: szczególnie ten homoseksualizm narzucony w serialach, w jakichś produkcjach, wszędzie afirmowany...

Ten sam wątek pojawia się w rozmowie z Magdaleną Rigamonti („DGP”, 2017): – Jak idę ulicami Warszawy, to widzę zniewieściałych mężczyzn. (...) Gdyby doszło do jakiegoś konfliktu, wszyscy by pouciekali. A ja, gdybym miał syna, to chciałbym, by umiał strzelać. Córki też się uczą. [Teraz się o nie martwię], bo jadąc ze mną autem, muszą widzieć reklamy, a na nich dwóch pederastów. Nie wiem, czy te 27 lat Polski w systemie demoliberalnym nie spowodowało większego spustoszenia niż 50 lat komunizmu...

Zalewskiemu tłumaczył, jak dzięki czytaniu i zwróceniu się ku Bogu „zaczął się stabilizować”:

– Zrozumiałem, że pieniądze nie mają wartości, jeśli się nie ma idei, miłości i wiary... Zacząłem czytać „Polskę Niepodległą” [tygodnik wydawany razem z „Warszawską Gazetą” przez spółkę FreeDomMedia], wróciłem do tego, co mnie fascynowało w młodości, gdy chłonałem walkę Polaków i Indian. Wróciłem do duszy rycerskiej.

Ta opowieść o duchowym nawróceniu materialisty jest – niestety – kreacją. Fakty odnajduję w archiwach IX i X Wydziału Gospodarczego Sądu Rejonowego dla m.st. Warszawy (siedziba przy Czerniakowskiej). Już w 2007 i 2008 r. na kontakt zatrudniającego w szczycie 60 pracowników SiR BUD-u pojawiły się zaległości. Wówczas Robert i Sylwia podzielili firmę i zarejestrowali obie w mieszkaniu na warszawskiej Pradze. Spisali też intercyzę – ustanowili rozdzielność majątkową. Odtąd Bąkiewicz miał SiR BUD, a jego żona S-BUD z tym samym adresem i podobnym logo.

– To ograny numer, dziś stosowany rzadko, kiedyś popularny – tłumaczy mi przedsiębiorca, który w latach 90. prowadził działalność w branży opalowej i też miał dwie spółki o podobnych nazwach. – Masz długi na starych zleceniach, ale zdobywałeś wciąż nowe i nie chcesz, by nowe pieniądze wsiąkły w starą spółkę, gdzie węższy komornik. A jednocześnie klient zna

sze problemy niż rozpamiętywanie tragedii w Smoleńsku. Żonglerka dokumentami SiR BUD-u i S-BUD-u przestała wystarczać – nowa spółka też zaczęła grzęznąć. Jak ustalili dziennikarze portalu Frontstory.pl, dłużnik zastawił, co się da – od domu na Przechodniej po rodzinną nieruchomości w Regulach, zamknął składy w Sokołowie i Błoniu, zwolnił pracowników. Zarejestrował przy Staszica trzecią firmę – również budowlaną – o nazwie Inter-S. Ta początkowo nawet zarabiała. Aby się zabezpieczyć, na dzień przed sylwestrem 2010 r. oboje z Sylwią wniesli o rozwód bez orzekania o winie, a na początku lutego 2011 r. – o upadłość likwidacyjną SiR BUD-u. Nieruchomość przy Przechodniej przepisali na córkę – wówczas ośmiolatkę. Dziś mają czworo dzieci, z których trójka przyszła na świat po rozwodzie. Biurowiec-magazyn przy skwerku został przejęty za długi i mieści się tam inna firma budowlana.

Bąkiewicz w Mediach Narodowych: – Gdy zaczęło mi iść trochę gorzej, rodzice nam pomagali. Jestem też wdzięczny żonie, że jednak przy mnie wytrzymała.

Przed sądem gospodarczym: – Mam nieuregulowane przede wszystkim zobowiązania wobec banków, nie pamiętam kwoty, bo narastają odsetki, [lecz] myślę, że suma z kredytów wynosi około pięć milionów złotych [z akt wynika, że ponad sześć]. Alimentów na córki nie płacę, ponieważ nie mam z czego i zawarłem z żoną ustne porozumienie, że dopiero jak moja sytuacja finansowa się ureguluje, będę płacił.

Pytanie sądu: – Z czego się pan utrzymuje?

– Z prac dorywczych, z których uzyskuję po 700-800 złotych miesięcznie.

– Czemu przypisuje pan niepowodzenie w prowadzeniu działalności gospodarczej?

– Sądze, że nieznanomości prawa. Moralnie nie mam sobie nic do zarzucenia.

20 stycznia 2016 r. wydział gospodarczy dla spraw upadłościowych, który zarejestrował ponad 150 (!) zgłoszeń od wierzycieli pruszkowskich spółek Roberta i Sylwii (jednym z większych był bank BPH), postanowił „umorzyć w całości niezaspokojone zobowiązania upadłego w postępowaniu R. Bąkiewicza”. Podobnie będzie z firmą Inter-S.

nej stronie tak się przedstawił: „Jestem doświadczonym biznesmenem i menedżerem. Przez 11 lat z powodzeniem prowadziłem własną działalność gospodarczą w sektorze budowlanym. Po przejęciu sektora przez zagraniczne koncerny, w czasach rządu Platformy Obywatelskiej, zostałem zmuszony do zamknięcia firmy”.

Gdy cytuję ostatnie zdanie jednemu z wierzycieli Bąkiewicza (również z branży budowlanej) słyszę najpierw stek przekleństw, a potem zdziwienie, że ktoś, kto „nie potrafił zapłacić faktury” i zostawił po sobie setki długów, kreuje się teraz na obrońcę moralności, tradycyjnych wartości i w ogóle – na polityka.

Początkiem nowej kariery – teraz politycznej – jest nieformalna grupa młodych prawników Narodowy Pruszków. Spotykają się na strzelnicy, słuchają kapel z „narodowej sceny”, włosy strzygą krótko, protestują przeciwko planom przyjęcia uchodźców. Mają baner z przekreślonym meczetem.

Bąkiewicz: – Przy Pruszkowie jest mniejsza miejscowość, nazywa się Moszna. Tam byli uchodźcy z Czeczenii i ludzie po zmroku bali się wyjść na ulice. O tym się nie mówiło, problemy były ścisane albo ukrywane. Przez kogo? Przez instytucje państwowe. Teraz w Dębaku [5 km od Pruszkowa] jest wielu Czeczeńców. Mam w tym ośrodku znajomego. On mówi, że cywilizacje się nie asymilują. W Polsce tak było przed wojną – 80 proc. Żydów w ogóle nie mówiło po polsku.

Wie to ze szpalt „Polski Niepodległej”, gdzie czyta o Janie Mosdorfie, Romanie Dmowskim, Bolesławie Piaseckim. Wstępuje do ONR-u, gdzie jego szefową jest Dorota Smosarska, młodsza o 10 lat wuefistka ze szkoły dla chłopców Sternik Pruszków stworzonej przez ultrakatolicką organizację Opus Dei. Smosarska to wówczas mistrzyni Polski w podnoszeniu ciężarów (kategoria Masters), członkini Brygady Mazowieckiej ONR i liderka sekcji kobiecej Ruchu Narodowego. Także przyszła kandydatka na europosłankę (2014) i posłankę (2019, lista Konfederacji). Swoje poglądy streszcza w serwisie Salon24.pl: po pierwsze „Norymberga” dla komuny i ostateczna dekomunizacja przestrzeni publicznej; po drugie rozwód z „genderową” Unią Europejską; po trzecie przywrócenie kary śmierci i łatwy dostęp do broni; dalej – delegalizacja pornobiznesu, całkowity zakaz aborcji i koniec z in vitro; dla imigrantów – szlaban; dla homoseksualistów – leczenie.

Bąkiewicz: – Jak o tym usłyszałem, pomyślałem: „Boże! Gdybyśmy tylko umieli to wszystkim przekazać, wtedy większość Polaków zaraz pójdzie z nami!”. Zostałem nacionalistą dwa lata przed czterdziestką. Miałem wyrzuty sumienia, że tak późno. Czemu nie do PiS-u? Bo PiS się z tymi układa, z tymi układa... Wcześniej Platforma, dziś oni – dwie strony tego samego medalu. Ruch Narodowy jest bardziej jednoznaczny.

Na czym ta jednoznaczność polega?

– Nam chodzi o militaryzację polskiego narodu, system hierarchiczny. Też o zniszczenie demokracji. Jesteśmy przeciwnikami demoliberalizmu. Przecież to jest jeden z najgłupszych systemów, jakie stworzył człowiek!

Od 2015 r. Bąkiewicz haruje w ONR, we wrześniu – dwa tygodnie po deklaracji premier Ewy Kopacz o przyjęciu „dziesięciu-dwunastu tysięcy uchodźców” – współorganizuje w Warszawie wielką manifestację „Polacy przeciw imigrantom”. Dzięki jego pruszkowskim jeszcze znajomościom z kibicami Legii, z członkami Klubów „Polski Niepodległej” i „Gazety Polskiej” oraz mazowieckimi organizacjami nacionalistów w rodzaju Narodowego Pruszkowa ściąga na plac Defilad ponad 10 tys. osób – stawia się Brygada Mazowiecka, aktywiści Ruchu Narodowego, „legioniści”, a do tego wynawcy teorii Wielkiej Lechii, czciciele „żołnierzy wyklętych” i Piotr Rybak z Wrocławia, który

850 tys. od Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej, 3 mln z Funduszu Patriotycznego, 1,5 miliona z „jednego procenta”, darowizn, licytacji „obiadu z Bąkiewiczem” czy „kawy i zwiedzania Sejmu z Winnickim”, 350 tysięcy ze zbiórek na ochronę różnych marszów

zaczęło się rozjeżdżać... Wychowali mnie rodzice w świecie, gdzie prawda była prawdą, fałsz – fałszem. Kiedy dziadek zawierał umowę na targu, kupując cokolwiek od chłopca, to obaj podawali grabę i było załatwione. A teraz trzeba pisać tomy umów, by nie być oszukany. Znaleźliśmy się w świecie subiektywizmu strasznego i relatywizmu. Piramida postawiona na piasku zaczęła się walić. W tych latach 2010-11 zacząłem szukać Boga, zacząłem się szczerze modlić.

Zalewski: – Można powiedzieć, że należysz do tych, których ożywiła śmierć ofiar Smoleńska.

Bąkiewicz: – Zobaczyłem film Anity Gargas [o „zamachu”], zacząłem siedzieć po nocach w internecie, sprawdzać, porówny-

wać właśnie jako, powiedzmy, ten SiR BUD. Więc cicho powołujesz S-BUD i nowy kontrahent nic nie zauważa. Masz przecież to samo biuro, tych samych pracowników, te same numery telefonów i te same maszyny. Tylko już w nowej spółce. A w starej zostaje cały syf, z którym się spokojnie wozisz aż do upadłości – wyjaśnia.

Bąkiewicz przed sądem podczas sprawy upadłościowej (2015-16): – Poważniejsze kłopoty finansowe zacząłem mieć w 2009 r., kiedy [podstawowej] zobowiązania regulowałem już z opóźnieniem. Z czasem kumulowały się wierzytelności w stosunku do mnie z powodu (...) trudności finansowych firm, z którymi współpracowałem.

Z protokołów sądowych wynika jasno, że w roku 2010 Bąkiewicz miał więk-

– Umorzenie powoduje, że upadły nie ma obowiązku spłaty zobowiązań – wyjaśnia sędzia Patrycja Czyżewska, rzeczniczka prasowa do spraw gospodarczych stołecznego sądu okręgowego. – Wierzyciele na tym oczywiście tracą, ponieważ ich roszczenia zostają niezaspokojone. Dalej mogą się co najwyżej domagać zwrotu pieniędzy od członków zarządu upadłego przedsiębiorstwa w osobnym postępowaniu – dodaje.

Nie znalazłem śladów, by któryś z wierzycieli ścigał Roberta czy Sylwią. Gdy ogłoszenie o bankructwie SiR BUD-u ukazało się w Monitorze Sądowym i Gospodarczym (nr 30/4915, pozycja 3324), upadły budowlaniec był już działaczem Ruchu Narodowego Roberta Winnickiego i szefem SMN. Na oficjal-

za dwa miesiące spali tam kukłę Żyda. Przed czołem pochodu furgonetka-platforma, a na niej Bąkiewicz, który podaje przez megafon hasła do skandowania: „Cała Polska śpiewa z nami, wypierdalać z Arabami!”, „Nie islamska, nie laicka, tylko Polska katolicka!” i „Ole, ole... islam pierdołę!”. Jednocześnie przestrzega, by nie dać się sprowokować „ukrytym agentom CBS”, nie blokować torów tramwajowych itd. Jego sprawność zostaje dostrzeżona, przez kolejne miesiące w całej Polsce przewodzi lokalnym marszom antyimigranckim – jak ten w Bydgoszczy. Skutecznie pilnuje dyscypliny, groźna mina i właściwa postura wiele tutaj znaczą.

Na początku kwietnia 2016 r. w Białymstoku ONR organizuje przemarsz z okazji własnej rocznicy. Po mszy w archikatedrze, którą odprawia ks. Jacek Międlar, ubrani na czarno narodowcy niosą w czterech kolumnach flagi biało-czerwone z orłami i zielone z falangami, skandując: „Raz sierpem, raz młotem czerwoną hotełę!”, „My Europę obronimy, islamistów nie wpuszczymy”, a także „A na drzewach za miast liści będą wisieć syjoniści!”. I oczywiście: „Śmierć wrogom ojczyzny!”. Bąkiewicz – z megafonem w dłoni – dba o rytm i szyk. Po imprezie ogólnopolskie serwisy po raz pierwszy piszą o nim z nazwiska, bo do prokuratury wpływa zawiadomienie z Ośrodka Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych (dalej OMZRIK). Jego szef Rafał Gawel (wkrótce skazany za oszustwa azylant w Norwegii) oświadcza, że ma babcię Żydówkę i czuje się syjonistą, więc hasło o „wieszaniu za miast liści” go dotyka – stąd donos. Sprawa kończy się skazaniem za „mowę nienawiści” dwóch uczestników marszu. Bąkiewicz był wśród oskarżonych, ale uniknął kary.

Po raz kolejny telewizyjne „Wiadomości” pokazują Bąkiewicza 28 sierpnia 2016 r., gdy zjawia się na gdańskim pogrzebie Danuty Siedzikówny „Inki”. Pod Bazyliką Mariacką jego ekipa (ONR-owcy i wszechpolacy) ściera się z kilkunastuosobową grupką Komitetu Obrony Demokracji. Jeden z kodziarzy, Radomir Szumelda, zostaje niegroźnie zraniony i musi go – wraz z resztą antypisowskich aktywistów – wyprowadzić policja. Trzy dni później ONR organizuje w Warszawie konferencję prasową, na której Bąkiewicz z dwójką młodszych narodowców zapowiada doniesienie do prokuratury w związku z zakłócaniem gdańskiej uroczystości religijnej przez Mateusza Kijowskiego, Szumeldę i pozostałych. KOD odpowiada doniesieniem w drugą stronę. Obie sprawy skończą się umorzeniami oraz kilkoma pozwami cywilnymi.

**Prawie całe życie spędził w gorszej części miasta, „za torami”.
Brzydka, parterowa zabudowa, magazyny, drogi nieutwardzone
– latem kurz, zimą błoto, nocami ciemności.
To stąd wywodzą się słynni pruszkowscy gangsterzy**

11 listopada 2016 Bąkiewicz pierwszy raz idzie na czele 75-tysięcznego Marszu Niepodległości pod hasłem „Polska bastionem Europy”. Jest już szefem mazowieckiego ONR, pnie się w świeżo zarejestrowanym jako partia Ruchu Narodowym. Działa w grupie organizującej partyjną telewizję internetową i portal, który przyjmie nazwę Media Narodowe (dalej MN). W eleganckim płaszczu ozdobionym opaską-falangą przemawia z podwyższenia nad placem Defilad. To nie jest przemówienie ideowe – te wygłoszą ważniejsi od niego, np. sekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta RP Wojciech Kolarski, który odczyta pozdrowienia od Andrzeja Dudy. Bąkiewicz jedynie nawołuje do spokoju, dyscypliny i przestrzegania zaleceń policji, „bo wrogowie tylko czekają na jakieś prowokacje!”.

Wkrótce zostaje formalnym szefem paramilitarnej Straży Marszu Niepodległości. Na tę funkcję wyznacza go kierownik główny ONR, wrocławianin Aleksander Krejckant. I Robert świetnie się sprawdza. Wcześniej na marszach nagminnie zdarzały się burdy (spalenie wozu TVN i bijatyka z anarchistami Antify w 2011 r., ranni policjanci w 2013 r., bitwa z policją na rondzie Waszyngtona w 2014 r.), pod jego kierownictwem Straż utrzymuje wzorowy porządek. Bąkiewicz potrafi usadzić każdego niesfornego i nie musi nawet używać pięści. Stanie się dzięki temu znany, a z jego usług będzie korzystać cała szeroko pojęta strona narodowa.

W 2018 r. dochodzi do rozłamu w ONR. Kierownik główny Tomasz Dorosz, następca Krejckanta, odchodzi do Ruchu Narodowego. Razem z nim organizację opuszcza świeżo dokooptowany do zarządu głównego Bąkiewicz. Wcześniej, jako prezes SMN, inicjuje zbiórkę pieniędzy na wyekwipowanie Straży, na łączność, nagłośnienie, ulotki. Donatorzy zostawiają namiary na siebie, dzięki czemu powstaje potężna baza danych, którą teraz Bąkiewicz zabiera ze sobą (wraz z całymi Mediami Narodowymi) do partii Winnickiego.

Przyczynny rozvodu tłumaczy subskrybentom kanału: zaczęło się od „dziecinnnych kłótni na publicznych profilach

w portalach społecznościowych i różnych uszczypliwości” wymienianych między narodowcami z Wrocławia, Poznania i Szczecina a tymi z Warszawy i okolic. Skończyło się (sytuacja podobna do przedwojennej) podziałem na ogólnopolski ONR i mazowiecki ONR-ABC.

Jedna oenerowska gałąź zarzuca drugiej, że chce zdradzić sprawę i przejść do Pawła Kukiza. W odpowiedzi padają zarzuty o „sprzedanie się” Konfederacji w zamian za miejsca na listach w wyborach samorządowych. Bąkiewicz nikogo o takie miejsce nie musi prosić: zebrał własny komitet – Porozumienie Narodowo-Patriotyczne Pruszków (PN-PP) i startuje z poparciem Ruchu Narodowego na prezydenta miasta. Na mityngu u jego boku stoi prezes RN i poseł Konfederacji Winnicki, a na wózku inwalidzkim siedzi działacz antyaborcyjny i przyszły kandydat Kukiza do europarlamentu – częściowo sparaliżowany doktor teologii Bawer Aondo-Akaa. Kolejnym ekspertem Bąkiewicza jest mecenas Stefan Hambura, który – jak głosi program PN-PP – „będzie zajmował się sprawami roszczeń kierowanymi w stosunku do Niemiec przez samorząd i mieszkańców Pruszkowa”.

Kandydat na prezydenta mniej uwagi poświęca sprawom miejskim, a więcej ogólnopolskim: – Postanowiłem się zaangażować, bo dzieci są dla mnie najważniejsze – zaczyna mowę do kilkudziesięciu pruszkowian. – Rodzina jest najważniejsza i obowiązki ojca. Tymczasem czytam, że według światowej organizacji zdrowia już od czwartego roku życia należy instruować co do masturbacji... Ja jako przyszły prezydent Pruszkowa będę zabiegał o to, by grupy propagujące takie okropności nie miały dostępu do naszych dzieci... Następna sprawa to napływ imigrantów; w Pruszkowie też widzimy coraz więcej obcokrajowców, wrota na Azję i Afrykę są przez Prawo i Sprawiedliwość otwierane na oścież, a przecież deklaracje PiS były inne i dzięki tym i innym deklaracjom ta partia wygrała. Tymczasem dziś mamy próbę wprowadzenia multikulturalizmu, co doprowadzi do chaosu, do zamachów jak na Zachodzie, do zderzenia cywilizacji...

Siedzący obok ciemnoskóry Bawer, syn Polki i Nigeryjczyka, potakuje.

Po zebraniu dziennikarz Polskiego Radia 24 pyta o punkt programu kandydata: wyemitowanie przez Pruszków lokalnej waluty, za którą można by nabywać towary i usługi jedynie w granicach miasteczka. Bąkiewicz odpowiada z uśmiechem: – Zastanawiałem się z moimi ekspertami, jak pomóc przedsiębiorcom na rynku lokalnym, i to jest rozwiązanie, które pomoże stworzyć pewne warunki poza systemem monetarnym dla małych i średnich przedsiębiorców z Pruszkowa. Wiem, że w Otwocku też planuje się powołanie funta otwockiego... przepraszam, marki otwockiej. To jest rozwiązanie znane na świecie, które komuś nieorientowanemu w temacie wydaje się na pozór hmmm... odkrywcze, ale to funkcjonuje.

W pierwszej turze komitet Bąkiewicza zbiera najmniejszą liczbę głosów wśród pięciu startujących – 1180. Do drugiej trzeba ponad 20 tys. Robert się nie zraża – ma już nowe zadania. Prowadzi Marsz Powstania Warszawskiego, jego podkomendni ochraniają stołeczne obchody upamiętniające rzezie na Wołyniu, ich szef powołuje komitet obywatelskiej inicjatywy ustawodawczej „Stop 447” (taki numer ma uchwalona w 2017 r. przez Senat USA mówiąca m.in. o uregulowaniu stanu prawnego majątków po ofiarach Holocaustu). W związku z tym Bąkiewicz zbiera podpisy pod projektem „ustawy broniącej polskie mienie przed nielegalnymi roszczeniami środowisk żydowskich”. Dzięki bazie danych i stolikom wystawionym na Marszu Niepodległości 2019 w niespełna cztery miesiące zbiera 200 tys. podpisów, więc projekt trafi do Sejmu. Jego projekt przewiduje karę od 3 do 5 lat więzienia dla osób, które „podejmują jakiegokolwiek działania zmierzające do zaspokojenia” roszczeń.

– Wyplata pieniędzy Żydom sprawi, że państwo polskie de facto przestanie istnieć – tłumaczy PAP. – Być może będzie polska flaga, hymn, ale naszym majątkiem będą dysponować organizacje żydowskie.

Marszałek Sejmu Elżbieta Witek powinna teraz skierować projekt do pierwszego czytania, a Bąkiewiczowi przysługuje prawo zareklamowania dokumentu posłom na sali plenarnej, z czego ochoczo skorzysta.

Jest 25 listopada 2019 r., dwa tygodnie wcześniej przez stolicę przeszedł dziesiąty Marsz Niepodległości. Manifestowało około 100 tys. osób, największa z flag miała dwa kilometry. Straż Bąkiewicza po raz kolejny się spisała – incydentów nie było. Teraz, w sali Domu Dziennikarza przy ul. Foksal, odbywa się spotkanie promujące



ARCYDZIEŁA DLA KRÓLA?

RUBENS, VAN DYCK, TENIERS II
ZE ZBIORÓW DULWICH PICTURE GALLERY

9.09 – 1.12.2022

PODCHORAŻÓWKA, MUZEUM ŁAZIENKI KRÓLEWSKIE

książkę Wojciecha Sumlińskiego „Powrót do Jedwabnego”. Przyszło ponad 600 osób, część stoi w korytarzu, część na schodach, niektórzy przed wejściem. Kolejne 30 tys. ogląda streaming z imprezy. Sumliński zostaje powitany odśpiewaniem hymnu na stojąco, po czym zebrani odmawiają „Ojcze nasz...”.

Autor jest byłym dziennikarzem „Życia” z kropką i „Gazety Polskiej”, trzykrotnie był oskarżany o plagiat. W „Powrocie...” udowadnia, że za zbrodnię jedwabieńską odpowiadają wyłącznie Niemcy – jeden z nich podpalił stodołę, strzelając z rakietnicy, o czym świadczy m.in. układ odkrytych zwłok. Książka sprzedaje się fantastycznie, będzie miała trzy wydania rok po roku. Obok Sumlińskiego za stołem siedzą dr Ewa Kurek, historyczka i autorka książki „Jedwabne – anatomia kłamstwa”, Marcin Rola, szef internetowej telewizji wRealu (ponad pół miliona subskrybentów), Jarosław „Majami” Pieczonka, były policjant i demaskator „platformersko-przestępczego układu gdańskiego”, oraz Tomasz Budzyński, emerytowany major ABW, szef delegatury lubelskiej za „pierwszego PiS-u”, dziś ekspert od służb specjalnych i spisków.

W trakcie spotkania do siedzących na scenie dołącza Bąkiewicz z przypiętym do garnituru olbrzymim złotym znakiem „Stop 447”. Ewa Kurek tłumaczy właśnie zebranym, czym jest „dwużydzian Polaka” (określenie ukute przez młodopolskiego poetę Andrzeja Niemojewskiego), gdy Sumliński odbiera jej mikrofon i drżącym głosem ogłasza: – Dostałem SMS-a, że jest bardzo dużo policji na zewnątrz i powinna być tam kamera, bo dzieją się podobno bardzo złe rzeczy, Straż Marszu Niepodległości jest atakowana przez, cytuję, lewactwo. Więc są prowokatorzy i dobrze by było nad tym zapanować.

Mikrofon przejmuje Bąkiewicz: – Dostałem meldunek, że na dole są dwie posłanki z Partii Razem i przygotowywana jest prowokacja. Dlatego apeluję o spokój i spokojne wychodzenie, kiedy tu skończymy. Zachowujmy się, jak na Polaków przystało. Ja już, panie Wojciechu, poprosiłem, żeby koledzy zabezpieczyli tam na dole, jak trzeba, żeby czegoś nie było.

Po spotkaniu strażnicy Bąkiewicza oddzielają wychodzących z książkami czytelników Sumlińskiego od grupki lewicowych demonstrantów protestujących przeciwko „antysemickiej imprezie”. Policja interweniować nie musi.

– Zdyscyplinowana grupa silnorekich, których można telefonicznie wezwać, a do tego nie trzeba im płacić, to najlepsze, co „Bąku” sprezentował naszemu szeroko rozumianemu środowisku – mówi mi Donata, członkini Klubu „Gazety Polskiej” i szalikówka Legii. – Jego strażnicy są zdecydowani, lecz opanowani, znają się na przepisach porządkowych, wszystkie interwencje nagrywają telefonami, pełny profesjonalizm. Nie zdarzyło, by któryś przekroczył prawo.

Dzięki tej małej, ale pozostającej w gotowości armii szef SMN poznaje filmowców, polityków, dziennikarzy i większość gwiazd prawej strony. Z częścią jest na ty. Jego facebookowy fanpage ma ponad 40 tys. obserwujących, podobną grupę zgromadził na Twitterze. Zapraszają go bracia Karnowscy (do telewizji wPolsce) i Michał Rachoń (do „#Jedziemy!” w TVP Info). Szef SMN wygłasza autorytatywne sądy o stosunkach zagranicznych i perspektywach rozwoju kraju, recenzuje polityków: – Postawa Tuska i opozycji sprzyja działalności Kremla (...). Oni robią wszystko, by w Polsce narastał chaos i podziały. Rzucenie Tuska na front wschodni przez Niemców [było przemysłane, ponieważ] ten polityk stawia się zawsze po stronie wrogów Polski. Ja jestem wobec PiS-u niezależny, [lecz] kto w tej chwili nie wspiera rządu, jest przeciwnikiem państwa polskiego, wewnętrznym wrogiem, jest agenturą wpływu.

W Sejmie Bąkiewicz występuje 15 kwietnia 2020. Cel: przekonać posłów do poparcia obywatelskiej ustawy „Stop 447”. Założył szyty na miarę stalowy garnitur, do tego wrzosowy krawat i poszetkę w tym samym kolorze. – Przychodząc dzisiaj tutaj, zastanawiałem się, czy wy, posłowie, macie sumienia. Bo na ulicy, a ja przyszedłem z ulicy, mówią, że nie macie sumień. Czy mienie po zmarłych obywatelach polskich mamy oddawać obywatelom amerykańskim?! Czy wy zawsze

my! Zachęcam wszystkich do Straży Narodowej! Będziemy bronić każdego kościoła, każdej dzielnicy, każdej wioski! (...) Jesteśmy wyposażeni w różnice, we własne ręce, sznury, gaz łzawiący. Być może będziemy mieli środki ochrony osobistej. To rzeczy, które zgodnie z polskim prawem możemy posiadać, żeby zabezpieczyć własne życie i zdrowie oraz mienie, czyli najświętszy sakrament. Ja z tego miejsca mówię satanistycznej lewicy, że miecz sprawiedliwości już nad wami wisi, tchórze!

FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER



Bąkiewicz: Zrozumiałem, że pieniądze nie mają wartości, jeśli się nie ma idei, miłości i wiary. Wróciłem do tego, co mnie fascynowało w młodości, gdy chłonałem walkę Polaków i Indian. Wróciłem do duszy rycerskiej

mówicie, że jak ktoś wam w twarz pluje, to deszcz pada? To głosowanie będzie testem na waszą polskość!

Prawa strona sali bije brawo, lecz na 453 obecnych aż 420 opowiada się przeciw drugiemu czytaniu. Za projektem „Bąka” głosuje dziesięcioro Konfederatów, siedmioro od Kukiza (w tym on sam), cztery osoby ze Zjednoczonej Prawicy i – o dziwo – kilka z Koalicji Obywatelskiej. Poseł Arkadiusz Mularczyk (PiS) tłumaczy przed kamerami, że problem mienia pożydowskiego w Polsce „faktycznie nie istnieje”: – Straszanie polskiego społeczeństwa Żydami przez pana Bąkiewicza jest nieodpowiedzialne.

Projekt utyka w komisji sprawiedliwości i praw człowieka, lecz Bąkiewicz znów się nie zraża. Na bazie liczącego teraz około 200 członków SMN powołał już Roty Niepodległości, organizację pożytku publicznego, której można przekazywać jeden procent podatku. Zdaniem mojej informatorki Donaty początkowo zyski nie były oszałamiające: coś około 100 tys. rocznie. Będzie jednak lepiej. Okazja nadarza się razem z wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego zaostrzającym prawo aborcyjne. Jesienią 2020 r. na ulice wychodzą tysiące kobiet. Część protestuje przed kościołami, zdarzają się profanacje i brzydkie napisy na ścianach. Jarosław Kaczyński wzywa do „obrony świątyni”. Nic lepszego nie mogło się Robertowi trafić. Pod koniec października przemianowuje Straż Marszu Niepodległości na Straż Narodową (dalej SN).

– Środowiska lewicowe mówią, że to jest wojna, i ja się tu z nimi zgadzam – oświadcza w serwisie Karnowskich. – To wojna i my do tej wojny niniejszym przystępujemy!

Członkowie SN stają przed kościołami. Kobiety, które sprytnie minęły blokady, wylapują w nawach, ciągną na zewnątrz, czasem po podłodze. Bąkiewicz – na oczach telewizyjnych kamer i biernej policji – spycha ze schodów bazyliki Świętego Krzyża na Krakowskim Przedmieściu Angelikę Domańską, aktywistkę Zielonych, która próbowała rozrzucić pod ołtarzem ulotki „Nie daję na tacę”. Dziewczynę zabiera karetka. Serwis MN informuje: „Kobieta w sposób skrajnie agresywny rzuciła się w kierunku strażników świątyni. Nervową próbował uspokoić Robert Bąkiewicz, który delikatnie chwycił ją za ramię, jednak kobieta w sposób teatralny, schodząc ze schodów kościoła, zaczęła się przewracać i symulować, jakoby została pobita przez prezesa i towarzyszących mu członków Straży Narodowej”.

– Stałam na schodach z plakatem Strajku Kobiet i piorunem, który podał mi jakiś chłopak, i w tym momencie zaatakowała mnie dziewczyna w niebieskim polarze – mówi mi Domańska. – Wyrwała mi ten plakat, a ja się złapałam barierki i wtedy doskoczył potężny mężczyzna, jak się okazało – Bąkiewicz. Zrzucił mnie ze schodów wraz z innym facetem. Następne, co pamiętam, to nogi i buty policji.

Akcja pod bazyliką przynosi Bąkiewiczowi niewielkie kłopoty (Domańska złożyła prywatny akt oskarżenia, ale wciąż nie ma nawet terminu pierwszej wokandy) oraz wymierne korzyści: Straż Narodowa ochrania II. Marsz Niepodległości, Męską Drogę Krzyżową, Męski Różaniec i ogólnopolski Marsz Żołnierzy Wyklętych. Na te zadania pozyskuje ze zbiorów publicz-

nych ponad 350 tysięcy złotych. Prócz tego Bąkiewicz staje się beneficjentem powołanego przez rząd Funduszu Patriotycznego (dalej FP), którego roczny budżet wynosi 30 mln. Dziesiątą część tej sumy w ubiegłym roku otrzymały łącznie SMN (1 mln 300 tys.) i SN (1 mln 700 tys.). Narodowcy kupili m.in. wypasiony sprzęt nagłośnieniowy, dzięki któremu w październiku zeszłego roku zagłuszał wiec Tuska na placu Zamkowym i przemawiając na nim uczestniczkę powstania warszawskiego Wandę Traczyk-Stawską, która rzuciła w stronę Bąkiewicza słynne: „Milcz, głupi chłopie!”.

Kolejne 1,5 mln zgarnęły Roty Marszu Niepodległości – jak wynika z ostatniego upublicznionego sprawozdania (za rok 2020), na ich konto wpłynęło w ciągu 12 miesięcy ponad 300 tys. z „jednego procenta”, ponad 700 tys. z darowizn, reszta ze zbiorów i tzw. innych źródeł, np. licytacji „obiadu z Bąkiewiczem” albo „kawy i zwiedzania Sejmu z Winnickim”.

W ubiegłym roku dzięki rządowej dotacji organizacja Bąkiewicza kupiła ośrodek wypoczynkowy w Mazowieckim Parku Krajobrazowym. Na prawie 10 tys. m kw., wśród zieleni, będą się odbywały ćwiczenia i szkolenia SN. W lipcu Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej (czapa nad FP, którą kieruje były senator PiS-u, współtwórca polityki historycznej rządu i orędownik tradycji ONR-u prof. Jan Żaryn) rozstrzygnął konkurs „Wolność po polsku – edycja 2022” i przyznał na „modernizację

ośrodka” pod Otwockiem 450 tys. Kolejne 400 tys. „Bąku” dostał w tym samym konkursie na „rozwój bezpieczeństwa i możliwości organizacyjnych” SMN. Artur Warchołowski, reporter TVN, wyliczył w czerwcu, że wszystkie organizacje Bąkiewicza przytuliły w ciągu poprzednich 12 miesięcy 4 mln państwowych dotacji, w tym ćwierć miliona „na pomoc Ukrainie”. Teraz Robert ubiega się o następne 4 mln na „dofinansowanie budowy Centrum Niepodległości w Warszawie”. Ma to być „ośrodek konsolidacji organizacji o charakterze patriotycznym (...), przestrzeń do dialogu i działań służących zwiększeniu w społeczeństwie poczucia dumy z bycia Polakiem”.

I jeszcze wisienka na finansowym torcie: jak ustalili autorzy Frontstory.pl, „Bąku” pobiera także co miesiąc 5 tys. brutto jako dziennikarz Mediów Narodowych. Po niedawnej przeprowadzce redakcja mieści się na piątym piętrze eleganckiego wieżowca przy ul. Słomińskiego na Muranowie, jest dobrze wyposażona i szykuje się do uruchomienia transmisji naziemnej.

– To będzie pierwsza telewizja patriotyczna, która przejdzie z YouTube’a na ekrany w państwa domach – cieszy się przyszły prezes MN TV.

Sześć lat po ogłoszeniu bankructwa SiR BUD-u Bąkiewicz znów jest bogaty. I do tego wpływowy. ●

* Robert Bąkiewicz nie odpowiedział na prośbę o rozmowę. Jego wypowiedzi pochodzą głównie z wywiadów udzielonych Magdalenie Rigamonti („DGP”, luty 2017) i Jerzemu Zalewskiemu (Media Narodowe, sierpień 2017). Imię informatorki zmieniłem.

BORN IN THE USA

Istnieje nieśmiertelność bez Nobla

Jeśli kultura obrazkowa rządzi, jakim cudem rok w rok sprzedaje się 650 mln drukowanych książek?

Maciej Jarkowicz

Gdy w 1901 r. francuski poeta Sully Prudhomme dostał pierwszego w historii Nobla w dziedzinie literatury, tylko co piąty człowiek na świecie potrafił pisać i czytać. W USA wydawano w tamtym czasie 9 tys. książek rocznie. Dziś wydaje się 300 tys., a ostrożny szacunek globalny wynosi 4 mln. Rok w rok na całym świecie sprzedaje się 650 mln książek w formie drukowanej. Kryzys czytelnictwa i dyktat kultury obrazkowej – nad czym lament podnoszą niektórzy – to fejki.

Żyjemy w erze słowa pisanego. Czytają i piszą wszyscy. Opublikowanie tekstu i dotarcie z nim do czytelników nigdy nie było prostsze. Miliardy recenzentów oceniają miliardy pisarzy. Prawdopodobnie pod tą publikacją jakiś grafoman napisze, że autor jest grafomanem. Młodzi wolą pisać, niż rozmawiać – znam dwudziestolatków, do których trudno się dodzwonić, ale jak do nich napiszę, momentalnie odpiszą. Pisanie jest ostatnią rzeczą, którą miliony ludzi robią przed zaśnięciem i pierwszą po obudzeniu.

Z nieskończoności napisanych słów rok w rok kilkoro Szwedów, o których prawie nikt nic nie wie, wskazuje te najbardziej wartościowe. Później przez 50 lat ukrywają w sejfie dokumenty wskazujące, jakich pisarzy nominowali i dla czego dokonali takiego, a nie innego wyboru. Jakimś cudem ich osąd rozpała emocje na całej planecie.

W tym roku przed przyznaniem literackiego Nobla toczyła się kampania, by otrzymał go Salman Rushdie. Sztandar ponieśli francuski filozof Bernard-Henri Lévy i naczelny „New Yorkera” David Remnick. Przekonywali, że autor „Szatańskich wersetów” obłożony fatwą, który w sierpniu na spotkaniu z czytelnikami został zaatakowany nożem, ogniskuje najważniejsze wątki współczesności. Fanatyzm. Terroryzm. Wolność słowa. Rushdie według Lévy’ego i Remnicka przekracza literaturę. Nagroda za odwagę, z jaką stawil czoła wyklęciu, za walkę o swobodę wypowiedzi, za którą omal nie oddał życia, byłaby dla świata inspiracją.

Tolstoj, Joyce, Proust, Czechow, Woolf, Kafka, Orwell, Lorca, Lem – to tylko kilkoro spośród pisarzy, którzy nigdy nie dostali Nobla, a – w mniej lub bardziej powszechnej opinii – powinni. Nie przeszkodziło im to inspirować koleje pokolenia. Z kolei liczni z tych, którzy zostali Noblem obdarowani – w mniej lub bardziej powszechnej opinii – nigdy na niego nie zasłużyli. Takie wyliczanki to jednak pole minowe. Remnick na przykład w swoim tekście o Noblu dla Rushdiego pośród Nobli chybionych wymienia ten dla Reymonta. Ewidentnie nie czytał „Chłopów” w oryginale. W bliższych nam czasach najwięcej kontrowersji wzbudziła nagroda dla Austriaka Petera Handkego (2019). W swoich książkach kwestionował ludobójstwo w Srebrenicy, przemawiał na pogrzebie zbrodniarza Slobodana Miloszevicia. Zaprotestowały dziesiątki organizacji i artystów. Pisano o „aroganczkiej naiwności” autora i „etycznej ślepotie” Akademii Szwedzkiej. Handke miał też jednak armię obrońców, a pośród nich największego literackiego gwiazdora Karla Knausgärda („nie ma bardziej oczywistego laureata”) czy Olgę Tokarczuk („za każdym wyborem i sytuacją stoją skomplikowane motywy”). Argumentowano, aby od-

dzielić dzieło od poglądów twórcy. Handke wybitnym pisarzem jest. Ma prawo pisać, co mu się podoba.

Fundując nagrodę, Alfred Nobel chciał, by przyznawano ją za „wybitne dzieła o tendencjach idealistycznych”. Pozornie wszystko zależy więc od tego, jakie ideały podziela kilkoro rzeczonych Szwedów. Kiedyś za świętość uznawali Kościół, państwo i rodzinę (Bjørnson, Kipling, Heyse). W czasie zimnej wojny zauważyli pisarzy zza żelaznej kurtyny (Solżenicyn, Miłosz). Ale każdy przykład rzekomej noblowskiej tendencji można obalić kontrprzykładem. Dziś Nobla dostaje Handke, jutro może go dostać autor „Łaskawych” Jonathan Littell, który nazywa Handkego dupkiem. Akademia jest niepokorna. Dlatego gdy Lévy i Remnick opublikowali teksty o Rushdie, można było mieć pewność, że Rushdie Nobla nie dostanie. Nagroda przypadła Francuzce Annie Ernaux, która we wspomnieniowej prozie porusza m.in. tematy wykorzystywania seksualnego i aborcji. Od polityki uciec się nie da. Literatura jest polityką.

W 2014 r. Handke nazwał Nobla cyrkiem. Gdy kilka lat później go dostał, powiedział, że „poczuł się wolny”, a decyzja Akademii „świadczy o odwadze”. Każdy pisarz chce Nobla, nawet jeśli mówi, że nie chce. Philip Roth twierdził, że ma to gdzieś, a jego Sztokholmem jest rodzinny Newark, ale znajomi wiedzieli, że rok w rok obgryza paznokcie. Miał ponoć ulubioną ławkę w Central Parku, na której co roku dochodził do siebie po wiadomości, że znów go nie docenili (gdy umarł, „Washington Post” napisał, że Nobla nie trzeba już przyznawać). Hemingway był wściekły, że najpierw dali go Faulknerowi. Doris Lessing, najstarsza laureatka, dowiedziała się o wygranej od dziennikarzy, gdy wysiadła z taksówki z synem, który w jednej ręce trzymał karczochę, a w drugiej worek cebuli.

– Chryste – powiedziała zrezygnowana – od 30 lat to samo, nie ma się czym podniecać (przez dekady zbierała inne wyróżnienia).

Ale nagrodę przyjęła, noblowską mowę wygłosiła. Nobel jest wielki, bo był pierwszą globalną nagrodą za literaturę, bo otrzymały go dziesiątki wielkich pisarzy, bo daje stempel nieśmiertelności. I milion dolarów.

Jedynym, który go nie przyjął, był Sartre. Za bardzo się zastanawiał, czym jest literatura, by pod koniec życia i tak dojść do wniosku, że świata nią nie zmieni. „A ja nie wiem i nie wiem i trzymam się tego jak zbawiennej poręczy” – tak Wisława Szymborska odpowiadała na pytanie, co to jest poezja.

Literatura jest opowieścią. Można się na niej oprzeć. Można ją rozwlec jak Proust albo skondensować:

Kobieta –
Jak gorąca jej skóra
którą zakrywa.*

300 lat temu Nobla nie było. Japońskiemu poecie Dama Sute-jo do nieśmiertelności nie był potrzebny. ●

*Haiku Dama Sute-jo w przekładzie Czesława Miłosza

„Rewolwer obok Biblii. W co wierzy Ameryka”, Maciej Jarkowicz, Agora, 2021



Michniki, Broniarze, Lisy i Matczaki

Funkcjonariusze mediów pisowskich to mistrzowie przejścia z liczby pojedynczej na mnogą.

Marcin Matczak*

Tomasz Lis trafił niestety do szpitala po kolejnym udarze, a reakcje dały mi do myślenia. Rozmaici tropiciele zła natychmiast po informacji o nieszczęściu redaktora wskazali jego przyczynę: wrogowie przemęczania się obarczyli winą kult zapierdolu, wrogowie PiS obarczyli winą PiS.

Choć moralność każe człowieka traktować jako cel, a nie narzędzie realizacji własnych celów, w tym przypadku było inaczej: człowieka i jego chorobę wykorzystano, by ktoś mógł realizować swoją polityczną czy światopoglądową agendę. Zdarzyła się gratka – news, którego można użyć jako argumentu, że miało się rację. Jest przecież faktem powszechnie znanym, że tylko pracujący 16 godzin na dobę dostają udaru, a nie dotyka on nigdy bezrobotnych. I jasne jest, że skoków ciśnienia dostaje tylko zwolennik PO, a PiS-owiec siedzący w spółce skarbu państwa ma zawsze na ręce 120 na 80.

To, jak ludzie wykorzystują czyjeś nieszczęście do walki światopoglądowej, sporo mówi o polskiej tendencji do plemienności. Ta się niebezpiecznie zaostrza i nie przebiera w środkach, by wykazać wyższość jednego plemienia nad drugim. W efekcie społeczeństwo nam się dzieli i zamyka w szczelnych bańkach. Tkwią w nich ludzie, którzy myślą o świecie podobnie i podobnie nienawidzą tych, którzy myślą inaczej. Jasne jest także, że ta plemienność zagraża demokracji. Historia uczy, że ludzie przebywających w bańkach łatwiej napuścić na siebie i zachęcić, by w przeciwnikach nie widzieli człowieka, ale groźne zwierzę. Plemienność i dehumanizacja idą bowiem ręką w rękę.

Symetrysta powie, że ta plemienność ma dwa końce i że wykluczanie z polskości czy nawet ludzkości zdarza się i zwolennikom, i przeciwnikom PiS. Jest jednak kluczowa różnica. Po stronie opozycji zdarzają się tego rodzaju ekscesy, na przykład zachęcanie mieszkańców Podkarpacia, by znaleźli sobie nowy kraj, jeśli chcą głosować na Dudę. Po stronie zwolenników rządu plemienność i wykluczanie ze wspólnoty przyjmują jednak wymiar urzędowy.

Niedoścignionym wzorem w tej kwestii jest Dawid Wildstein. To człowiek, który z hejtu uczynił sobie pracę i został doceniony – hejtuje i wyklucza nie jako prywatny Wildstein, ale jako Wildstein publiczny, pełniący ważne funkcje w mediach rządowych. Polecam ćwiczenie: sprawdźcie, jakie jest najbardziej ulubione słowo Wildsteina na Twitterze. Wejdźcie na jego profil, kliknijcie „szukaj” i wpiszcie „idioci”, „kretyni”, „świnie” oraz „tępi”. Liczenie zajmie wiele czasu, a wysćig będzie bardzo wyrównany.

Gdy przeanalizuje się dziesięć tak wybranych wypowiedzi Wildsteina, wyłania się dość powtarzalna struktura: „1. Ktoś z opozycji coś zrobił, powiedział albo napisał. 2. To świństwo, kretynizm i idiotyzm (zdaniem Wildsteina). 3. Z te-

go wniosok, że cała opozycja to tępe świnie, kretyni i idioci”. Konkluzja: „oni są już trwale niezdolni do życia w demokracji”. Wildstein, jak wielu funkcjonariuszy mediów PiS-owskich, to mistrz przejścia z liczby pojedynczej na mnogą.

Przypisywanie odpowiedzialności zbiorowej ma tradycję w propagandzie komunistycznej i antysemickiej. Jej najlepszym (albo najgorszym) przykładem jest stosowana w głębokim PRL, a powracająca obecnie w propagandzie PiS maniera używania nazwisk znienawidzonych osób w liczbie mnogiej: kiedyś „Michniki”, teraz „Broniarze”, „Lisy” czy „Matczaki”. Gdy ktoś tak mówi, zacierają różnice indywidualne i wysyła członkom plemienia jasny sygnał: po drugiej stronie nie ma ludzi, są tylko klony. Da się ich powrzucać do jednego worka (byłoby nie dołu), bo dawno zatracili osobność.

Za przykładem Wildsteina podążają inni. Podlizujący się władzy prawnik pisze o „unijczykach polskiego pochodzenia”, ochoczo powtarzając przekaz okładki sponsorowanego przez rząd czasopisma. Ma nadzieję, że ktoś ważny doceni to wyznanie wiary: oto istnieją prawdziwi Polacy (popierający PiS w wywołanej przezeń awanturze z Unią) i Polacy tylko udający Polaków, wspierani przez „polskojęzyczne” media, a więc także farbowane. Tak dokonuje się powolna, realizowana z premedytacją zbrodnia na spójności społecznej, którą wielu z uśmiechem poświęca dla swojego politycznego i osobistego zysku.

Po stronie opozycji jest o wiele mniej przekonania, że z grzechu jednego wynika potępienie wszystkich. Nie spotkałem się przykładowo z rozumowaniem, że z tego, iż jeden PiS-owiec podejrzewany jest o pedofilię, wynika, że wszyscy pisowcy ślinią się na widok dzieci. Ale z tego, że ktoś jeździ bez uprawnień albo po alkoholu i jednocześnie wspiera opozycję, wynika jasno, że opozycja jako całość to tępe, zdemoralizowane świnie. Co więcej, wynika z tego od razu, że za te występki nie spotka ich kara, bo układ „ręką rękę myje” jest tak szczelny, że nawet bohaterski prokurator Ziobro go nie rozbije. I bezzilny będzie musiał patrzeć, jak sąd robi z tymi ludźmi, co chce.

W przypadku występków PiS tego problemu nie ma, bo ich sprawy, jak sprawa podejrzeń o pedofilię, raczej do sądu nie trafiają. Mycie rąkczek odbywa się w tym przypadku dużo wcześniej, czyli na poziomie upolitycznionej prokuratury. Ta prokuratura zresztą potwierdza podział świata na czarny i biały – pisowcy są bez skazy, bo prokurator się nim nie interesuje, a opozycją i owszem. A skoro prokurator się interesuje, coś na rzeczy być musi.

Wróćmy jednak do sprawy redaktora Lisa, któremu życzę zdrowia, spokoju oraz tego, by w trakcie rekonwalescencji Real zawsze wygrywał z Barceloną. Oburzony komentarzami w jego sprawie, zacząłem się zastanawiać, na co powinienem chorować i umrzeć, żeby nie dać pożywki przeciwnikom. Bo jeśli choroba w Polsce nie może już być apolityczna, to tym bardziej śmierć apolityczna nie będzie.

Choroby kardiologiczne odpadają. Powiedzą, że z tego pieniactwa szlag mnie trafił. Wątroba także, bo wyjdzie na to, że żółć mnie załala albo alkohol. Ciężkie powikłania po chorobach wenerycznych – prezent dla PiS oczywisty. Najlepiej byłoby umrzeć z nudów, ale to chyba nikomu w Polsce nie grozi. I nie wypada umrzeć ze strachu, to też oczywiste.

Wygląda na to, że na złość PiS trzeba jednak żyć. ●

***Marcin Matczak** – ur. w 1976 r., specjalista od teorii i filozofii prawa, profesor UW

FOT. ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Z PISARZEM **SZCZEPANEM
TWARDOCHEM**
ROZMAWIA **PAWEŁ GOŹLIŃSKI**

Żeby zaspokoić oczekiwania Szanownej Publiczności związane z wywiadem ze Szczepanem Twardochem i od razu mieć to z głowy, powiedz, na co obecnie jesteś wkurwiony?

– Nie wiem, na nic specjalnego.

Czyżby?

– Na nic i na wszystko, jak zwykle, tylko jakoś mniej się tym emocjonuję, no i mój wkurw w związku z gwałtownie się zmieniającą perspektywą geopolityczną przestał mieć większe znaczenie. Żyję intensywnie tym, co się dzieje w Ukrainie. Siedzę na rosyjskim i ukraińskim Telegramie i kiedy czytam, że Ukraińcy odbili Łyman albo rozwalili most Kerczeński, to zwyczajnie i nadzwyczajnie się z tego cieszę.

Nie tylko newsy, ale i geografia zaczęła być ekscytująca. Przed wojną wiedziałem, gdzie leży Odessa. A teraz Łyman, Izium, Hulajpole. Nagle kwadrat 20 na 20 kilometrów wokół Awdijiwki staje się najważniejszym miejscem na ziemi.

– Mam też wrażenie, że tradycyjne media straciły na ważności, przynajmniej dla mnie. Istotne informacje zwykle pojawiają się w nich dobie po tym, jak przeczytałem o nich na tych wszystkich Telegramach. W polskiej prasie nie szukam więc newsów, tylko opinii, wywiadów ze specjalistami, analiz.

Czytasz więc generalów?

– Niekoniecznie. Od dziecka jakoś się interesowałem militariami, kupowałem te wszystkie osprey i czytywałem regularnie pisma typu „Nowa Technika Wojskowa” czy „Raport”, pisywałem nawet felietony do magazynu „Strzał”, którego naczelnym był wtedy mój kolega z liceum Remigiusz Wilk, dziś rzecznik prasowy WB Group, producenta m.in. używanych z powodzeniem w Ukrainie dronów Warmate. Było to w każdym razie bardzo ezoteryczne środowisko, z wysokim progiem wejścia, jak ktoś nie wiedział, czym różnił się PzKpfw IV Ausführung H od PzKpfw IV Ausführung J, to w ogóle nie miał czego tam szukać, taka gruba nerdoza dość, no i teraz okazuje się, że te wszystkie nerdy to fachowcy dysponujący niezwykle przydatną wiedzą, również jeśli chodzi o działalność analityczną i prowadzenie białego wywiadu.

Też wróciły mi dawne zainteresowania i sprawdzam listy uzbrojenia, które Niemcy dostarczają Ukraińcom, a potem wkurzam się, dlaczego nie ma na niej leopardów. A tak przy okazji wkurzenia, zastanawiałem się, co może wkurzać w twojej nowej powieści.

– W „Cholodzie”? Nie mam pojęcia, dlaczego coś miałoby w nim wkurzać.

Na przykład detalicznie opisane morderstwo polskich oficerów przez Kozaków z Konarmii Budionnego w czasie sowiecko-polskiej wojny 1920 roku.

– Dlaczego miałyby to kogokolwiek wkurzyć? Przecież to wszystko na historycznych źródłach i zapiskach oparte.

Powiedzą: wzniesła polsko-ukraińskie resentymenty, a nie czas ku temu. Będzie inba.

– Jakie polsko-ukraińskie? Przecież to nie są ukraińscy Kozacy, bo sicz zaporoską zlikwidowała Katarzyna Wielka i w XX wieku w formie zorganizowanej ukraińskich Kozaków już raczej nie było. W „Cholodzie” u boku Widucha walczą Kozacy dońscy i kubańscy, wiesz, ci od Stieńki Razina, czy jak z „Cichego Donu” Szołochowa, którzy zawsze byli najbardziej zajadłymi rosyjskimi patriotami – teraz zresztą pozostałości po tak zwanym wojsku dońskim, wskrzeszane pod koniec lat dziewięćdziesiątych przez generała Lebedzia, zorganizowały się w ochotnicze bataliony i od 2014 roku walczą w Ukra-

POZA GRANICAMI JEZYKA



**Wymyśliłem sobie ludek,
który ucieka od, powiedzmy, dwóch tysięcy lat,
coraz dalej od Zachodu, od cywilizacji
w absurdalnym pragnieniu zachowania własnej tożsamości**

inie, oczywiście po rosyjskiej stronie. Poza tym, gdybym ja, pisząc, zaczął się zastanawiać, na jaki temat może wybuchnąć inba, i zaczął się samocenzurować, to powinieniem po prostu zawrzeć gębę i nic nie mówić, a nie zamierzam.

Jak Konrad Widuch, bohater i narrator większej części „Cholodu”, który ucisza się i po polsku, i po śląsku, i po niemiecku, i po rosyjsku, ale nie potrafi się powstrzymać i opowiada dalej.

– Jak masz młotek w ręku, to wszystko wygląda jak gwóźdź. Więc jeśli chcesz zrobić awanturę w internecie, bo kogoś tam nie lubisz, to i tak zrobisz, niezależnie od tego, co ten ów napisał czy nie napisał.

I pisząc, nie zadajesz sobie pytania, jaki będzie w czytelniku efekt tego pisania?

– Szczerze mówiąc, nawet gdybym chciał sobie zadawać takie pytanie, to i tak by nic nie zmieniło, bo moja kontrola nad procesem pisania jest dość ograniczona.

Żartujesz. Raczej miałem cię za autora do bólu świadomego warsztatu, kontrolującego swoją opowieść, redagującego samego siebie.

– Przeciwnie, bardzo niewiele zmieniam w tym, co już napisałem. Moja redakcja własnych książek odbywa się gdzieś na poziomie akapitu i zdania, językowo, nigdy na poziomie struktury fabularnej, ta powstaje sama i nigdy jej nie zmieniam. Zawsze istnieje dla mnie tylko jedna droga, którą mogę coś opowiedzieć. Jeśli nią nie pójdę, to nie pójdę żadną inną – i to jest raczej poza moją świadomą kontrolą, intuicyjne raczej.

Ale przecież kiedy siadasz do pisania, to chyba wiesz, kto będzie opowiadał i co.

– Jasne, zwykle przygotowuję też bardzo szczegółowe konspekty, tylko niekoniecznie się ich trzymam. Bo nagle okazuje się, że ta jedyna droga, po której potrafię iść, wiedzie mnie w inną, niespodziewaną stronę. Kiedy piszę, sama opowieść, jej bohaterowie, świat przedstawiony bardzo szybko nabierają dla mnie wewnętrznej, nieuchronnej logiki, która jest niezależna i silniejsza ode mnie. Mogę więc już pisać tylko w zgodzie z nią. A to nie pozostawia miejsca na rozważanie, czy ktoś się za jakiś element tego świata obrazi, czy będzie awantura, czy nie będzie.

Ta logika: myślisz, że ona tkwi w języku, jego regułach, które narzucają nam modele, wzorce, jakieś scenariusze, w ramach których jesteśmy w stanie opowiedzieć bohaterów i ich świat? Że podążamy zawsze tam, gdzie prowadzi nas język i dość twarde reguły narracji?

– Nie, nie sądzę, żeby to była tylko kwestia języka. Nawet jeśli mówimy o opowieści, która staje się książką, i oczywiście powstaje w języku, to nie uważam, że zaczyna się ona i kończy w ramach jego reguł. Nasze myślenie nie ogranicza się do języka. Wiele procesów myślowych zachodzi w nas poniżej jego poziomu, poniżej poziomu świadomości, oczywiście nie we freudowskim znaczeniu, bo nasza wiedza o fizjologii mózgu dawno już to przekroczyła.

Iain McGilchrist, psychiatra, filozof i specjalista od neurofizjologii, napisał wspólną z książką „The Master and His Emissary”, lokującą się gdzieś na przecięciu wiedzy o neurofizjologii, psychologii i epistemologii – o tym, jak działa mózg, jak dwie półkule mózgu w nieustannej wymianie tworzą poszczególne obszary naszej rzeczywistości. Także o tym, że bardzo wiele z naszego oglądu świata budowane jest niejako obok i mimo języka, jakby zaprzeczając Wittgensteinowskiemu przekonaniu o tym, że granice języka wyznaczają granice świata. McGilchrist przypomina też pogląd Juliana Jaynesa, niekoniecznie się z nim zgadzając, który z kolei w swojej książce o umyśle bikameralnym przekonywał, iż świadomość – tutaj upraszczam oczywiście – wyrażana w języku jest być może tylko produktem ubocznym naszych myślowych procesów, rozgrywających się poniżej jej poziomu.

Wydaje mi się, że tak jest z moim pisaniem – to, co ważne, dzieje się poniżej poziomu języka, nie potrafię więc siłą rzeczy tego nazwać ani wyrazić i całą sztuką jest pisanie w taki sposób, aby język stał się medium dla tego, co w języku niewyrażalne. Ja przynajmniej tak właśnie rozumiem sens zawodu, który wykonuję. Piszę intuicyjnie, nie mam wypracowanego literackiego warsztatu i nie chcę mieć żadnego świadomego zestawu narzędzi. Rozgrywa się więc to wszystko przede wszystkim w emocjach, rozumianych jakoś najszerzej, jako wszystko to, co w nas jest obok i mimo języka.

Jakoś nie wierzę. W „Pokorze” przeczłogaleś swojego bohatera przez skłębione wydarzenia tuż po I wojnie, postawiłeś go przed lawiną tożsamościowych dylematów, a jednak dzięki precyzyjnej i zaskakująco prostej strukturze opartej w gruncie rzeczy na jednym pytaniu – czy Alojz Pokora ponownie spotka Agnes? – udało ci się to wszystko uporządkować i pomieścić. To wszystko nie wygląda na zestaw emocji plus intuicja.

– Znasz taki dowcip o scenarzyście, który budzi się pewnej nocy przekonany, że ma genialny pomysł? Ponieważ jest człowiekiem mądrym i doświadczonym zawsze trzyma przy łóżku notes i ołówek. Więc budzi się, notuje ów pomysł i spokojnie zasypia. Rano wstaje, podekscytowany otwiera notes i czyta: „Chłopak spotyka dziewczynę i się zakochują”.

To, że piszę intuicyjnie, nie znaczy, że nie używam inteligencji i pisarskiego doświadczenia. Że nie rozumiem tego, co się dzieje ze mną i z tym, co piszę. Po dwudziestu latach uprawiania tego zawodu, nawet jeśli nie potrafię nazwać narzędzi czy metod, którymi się posługuję, to jednak wiem, że emocje w opowieści muszą wędrować po sinusoidzie, że nie możesz cały czas trzymać czytelnika w nieustannym napięciu, że czasami potrzebny jest comic relief, bo jak chcesz mówić o rzeczach poważnych, ważnych i strasznych, to musisz od czasu do czasu czytelnika rozbawić, zanim znów ściśniesz go za gardło. Ale to naprawdę elementarz. Najważniejsze i tak jest to, co nie wiem jak działa: zakłęcie emocji, które ja sam przeżywam, w taki sposób, żeby czytelnik je potem przeżył z równą intensywnością.

Coś jednak musisz o swoim warsztacie wiedzieć, skoro w „Chłodzie” sobie trochę z pomocą swojego bohatera pokpiwasz. Konrad Widuch, Ślązak, którym historia rzuca od Pilichowic po Ocean Arktyczny, ciągle się karci i przywołuje do porządku, gdy w swojej opowieści krąży i popada w dygresje.

– Pewnie, że kpię tu z samego siebie, bo wiem, jak bardzo mój styl opowiadania jest dygresyjny. Zawsze lubilem dopowiadać w gruncie rzeczy mało istotne dla fabuły dzieje postaci drugo- czy trzecioplanowych, sprawiać, że opowieść zaczyna się rozwijać w taki fraktalny sposób, jak życie. Dopiero w „Pokorze” nakazałem sobie zachować dyscyplinę narracji. Dlatego w tej powieści nie ma niczego, co nie istnieje poza wiedzą i świadomością Alojza Pokory. Teraz wiem, że umiem tak pisać. To mi wystarczy. Więc w „Chłodzie” wracam do odrobinę dygresyjnego stylu, natomiast pozostaje on równie zdyscyplinowany jak w „Pokorze” – cały świat przedstawiony mieści się w świadomości narratora.

Jeszcze jeden autoironiczny motyw: Widuch swoją opowieść adresuje do nienazwanej z imienia „czytelniczki”. W pewnym momencie ona wylania się zza kulis i jak to było chociażby w „Morfinie”, próbuje przejąć kontrolę nad narracją. Pojawia się charakterystyczny dla ciebie – trudno go nazwać – nieczłowieczy, przekraczający ludzkie granice i normy narrator. Ale to tylko chwila – Widuch, boleśnie ludzki i niedoskonały, odzyskuje szybko kontrolę nad swoją opowieścią.

– Nie, to nie tak jak w „Morfinie”, to po prostu cienie szaleństwa Konrada Widucha,

nie zaś istniejąca obiektywnie w świecie przedstawionym czarna bogini. W „Chłodzie” pojawia się jednak inny „nadnarrator”, który spina klamrą całą historię. Ja nim jestem. A właściwie „ja”, który wyruszam na Spitsbergen i w dość niezwykłych okolicznościach wchodzę w posiadanie zapisków Widucha.

Powiedziałem, że ta opowieść o mnie spina „Chłod”, ale tak naprawdę wcale go nie spina.

Celowo nie odpowiadam na większość pytań, jakie sam zadaję – co łączy „Szczepana Twardocha” z powieści z Konradem Widuchem, czy Konrad Widuch naprawdę istniał, tożsamość Borghild Moen? Chciałem czytelnika z tymi pytaniami zostawić.

A już myślałem, że będziesz szedł w zaparte, że będziesz próbował mnie przekonać, że wszystko, co przeżyłeś na Spitsbergenie, to najprawdziwsza prawda.

– Nawet miałem taki pomysł przez chwilę, żeby zrobić z tego minihappening, ale potem pomyślałem, że kogo miałbym oszukiwać i po co. Żaden ze mnie happener. Przecież ten „ja” z „Chłodu” jest po prostu literackim motywem, moim hommage dla klasycznej figury narracyjnej, w której opowieść właściwą poprzedzić musi pewnego rodzaju wstęp, zamykający historię w pewnych ramach. Chociażby w „Jądrze ciemności” Conrada. Przecież zanim dotrzesz do właściwej opowieści, zanim dopłyniesz z Marlowem do Konga, zanim zobaczysz Kurtza, masz ten wstęp o tym, jak narra-

Mój bohater bywa okrutny i tak jak sam jest krzywdzony, krzywdzi. Ludzie w strasznych okolicznościach robią straszne rzeczy, ale czy przestają być przez to ludźmi?

tor z przyjaciółmi siedzi na pokładzie jachtu „Nellie” i w końcu, w końcu Marlow zaczyna opowiadać. No i ja w mojej powieści zrobiłem to samo, umieszczając samego siebie w tej roli elementu pośredniczącego między czytelnikiem a opowieścią.

Jest w „Chłodzie” więcej takich holdów.

– Pewnie. Początek jest przecież trawestacją jednego z pierwszych zdań „Moby Dicka”, tego wspaniałego wyznania o tym, że człowiek wyrusza na morze, bo nie jest już w stanie znieść życia na lądzie. Na początku miała być to w ogóle w jeszcze większym stopniu powieść marynistyczna, właśnie w duchu Conrada i Melville’a.

Wciąż jest, biorąc pod uwagę miłosną wręcz precyzję twoich opisów żeglarskiego wyposażenia, technik, kataklizmów.

– Zawsze piszę o rzeczach, które lubię i na których się znam. A jak już piszę o czymś, na czym się nie znam, to muszę to gruntownie poznać, żeby zbudować pozór kompetencji. A że żeglarstwo od lat praktykuję, więc takiego pozorów nie musiałem budować. I nie musiałem się specjalnie przygotowywać. To opowieść – w jej współczesnej warstwie – oparta na moim własnym doświadczeniu. Bez kilkunastu podróży na Spitsbergen, od 2006 roku poczynając, też nie wziąłbym się do pisania o Arktyce.

A w warstwie – powiedzmy – historycznej źródła są znacznie bardziej zakręcone. Zacznijmy od literatury łagrowej. A właściwie od tego, że choć twój bohater ma za sobą doświadczenie łagru, to w książce omijasz je, nawet nie chcesz używać słów: łagier, gulag...

– Bo po prostu nie chciałem pisać literatury łagrowej.

Widuch mówi, że w obozie siedzieli z nim też intelektualiści, więc oni – jeśli uda im się wyjść cało – lepiej opiszą to doświadczenie. Ale wygląda mi to na wymówkę.

– To nie wymówka. Siłą literatury łagrowej, od Solżenicyna po Szalamowa, jest po prostu zapis autentycznego przeżycia. Swoją drogą, Solżenicyn do „Opowiadań kołymskich” Szalamowa nie ma nawet startu.

Zgoda.

– Więc nie chciałem na siłę przepisywać tego, co zostało już genialnie zrobione. Nie z jakichś względów moralnych, że nie wolno, bo ja generalnie wierzę, że w literaturze można wszystko. Ale to nie jest moja historia. Jednak potrzebowałem tego odcłowieczającego kontekstu – miejsca, z którego mój bohater ucieknie i trafi do zupełnie innego świata, innej rzeczywistości. A przeczytawszy właściwie całą literaturę łagrową, i to nie do tej książki, tylko już dawno temu, zdałem sobie sprawę, że mój bohater musi zwać bardzo szybko, zanim ten system nie wyssie z niego siłę, nie wykończy go.

Opowieść o ucieczce to właściwie jedyna opcja nie tylko dla twojego bohatera, ale również dla ciebie jako autora. Nic innego w tym czasie nie da się z bohaterem zrobić, jeśli nie chce mu się pozwolić umrzeć.

– Mógłby jeszcze awansować w łagrowej hierarchii, by przetrwać. Tak jak Naftali Frenkel, nepman, który aresztowany trafił na Solówki i jeszcze jako zek zaczął doradzać naczałstwu w sprawie organizacji obozu, po czym awansował w końcu na komendanta tegoż obozu. Wyliczył, ile kalorii potrzebują, żeby przetrwać, i stworzył sys-

damentalne. Nie lubię zmyślać, lubię pracować z faktami – konstruując „Chłod”, skrzystałem więc z dobrodziejstw indoeuropeistyki, od archaicznego już dziś i nie lubianego raczej Dumézila po Mallory’ego „The Horse, the Wheel, and Language” i tak dalej. Zwykle biorę sobie takie rzeczy za punkt honoru, chociaż wcale nie zakładałam, że będą widoczne dla czytelnika – po prostu taka jest moja metoda, ja tego potrzebuję. Na przykład kiedy pisałem „Wieczny Grunwald”, przyjąłem założenie, że w żadnym z dialogów, które tworzyłem w XIV- i XV-wiecznej polszczyźnie, nie pojawi się ani jedno słowo, którego bym nie znalazł w źródłach. Trudność polegała na tym, że bardzo szczupłych. Teraz postanowiłem sobie, że w całej antropologii Chłodu nie będzie żadnego zmyślenia. Że to będzie kolaż, ale kolaż z rzeczy, które znajdują potwierdzenie w bogatych przeciw źródłach. Język Chłodców jest aproksymacją tego, jak mógł brzmieć język protobałtosłowiański, z czasów językowej wspólnoty słowiańsko-bałtyckiej. Wszystkie ich obyczaje, rytuały, struktura społeczna są oparte na próbach rekonstrukcji tego, jak mogło wyglądać życie społeczności praindoeuropejskich. Na to z kolei narzuciłem cały filtr syberyjskiego szamanizmu, bo zresztą, jak wiemy już od Eliadego, szamanizm nie był też obcy Indoeuropejczykom, którzy przecież są po prostu jednym z ludów Eurazji. Wszystkie rytuały Chłodu też mają swoje realne wzorce. Pamiętasz, po co Chłodcy kupują kłacz?

Żeby kandydaci na chłodzkich królów, rżęis, z nimi współżyli.

– Potem te kłacz zabijano, gotowano z nich wywar, w którym rżęis się kąpał, a cała wspólnota pila ten doprawiony ludzkim brudem rosół. No i jest to zasadniczo obyczaj celtycki. Wszystkie kwestie związane z rolą grzybów halucynogennych, czyli przede wszystkim popularnych ostatnio na Instagramie *Amanita muscaria*, też są oparte na źródłach, nawet picie moczu szamana, który je zażył i działa jak filtr – pijący moczu odurzają się, ale bez skutków ubocznych. Zaś poza Chłodem istniejące, chociaż umierające dziś kultury Jukagirów czy Koriaków starałem się opisać tak wiernie, jak to tylko możliwe, łącznie z językami czy pieśniami. To wiązanie różnych antropologicznych nici sprawiało mi, wiesz albo nie wiesz, wielką przyjemność.

Znam te przyjemności. Wkręcałem się w kultury Jakutów, Niwchów i Ajnów, pisząc o innym katorżniku, tylko wcześniejszym niż twój Widuch, Bronisławie Piłsudskim. Bawiły mnie obsesje XIX-wiecznych antropologów poszukiwania źródeł, wiara w zagubione gdzieś na Sachalinie plemiona Izraela i „czyste”, „niezbrukane” rasy. Ty przerzuciłeś tę wiarę na samych Chłodców, którzy żyją rozpięci między pragnieniem zachowania w krystalicznie czystej formie swojej kultury i obyczaju a realiami. Bo okazuje się, że właściwie wszystko skądś, od kogoś pożyczyli. Nawet na poziomie kuchni.

– Wymyśliłem to tak, że Wesunas, gospodarz Widucha w Chłodzie i miejscowy wódz, strzeże tej wiary w wyjątkowość i osobność Chłodców, a jego żona Auszra nieustannie ironicznie podważa to jego przekonanie – i bardzo słusznie, bo też wszelkie rojenia o etnicznej czystości są zawsze tylko tym właśnie, rojeniami.

Mocną pozycję ma ta kobieta. To uwspółcześniający motyw?

– Nie, w żadnym wypadku. Indoeuropejskie tradycje są patriarchalne, ale też ta dynamika między płciami przyjmuje w nich przecież bardzo różne formy. Tak było również na Syberii, pozycja kobiety wśród Jukagirów była zupełnie inna niż u Koriaków, inaczej wyglądała u Czukczów. Nawet jeśli języki Koriaków i Czukczów są blisko spowinowaczone i wzajemnie zrozumiałe, to jednak na przykład ich obyczajowość seksualna była zupełnie inna. Więc Chłodcy mieli bardzo różne wzorce dookoła.

Że czerpiesz ze swojego własnego spits-bergeńskiego doświadczenia, napisałeś wprost. A na ile wpływ na kształt „Chołodu” miały twoje podróże po Rosji?

– Gdybym tam nie był, tobym „Chołodu” nie napisał. Nie chodzi mi tylko o pamięć krajobrazu czy ludzi. To moje podróżowanie po Rosji było jakoś formacyjne, być może dlatego, że byłem młody, biedny, więc jeżdżąc po tej Rosji marszrutkami, w placartnych wagonach, nocując w śpiworze na dworcach, byłem bardzo blisko jakiejś podstawowej substancji życia. Jestem pierwszym rocznikiem, który nie uczył się rosyjskiego w szkole, więc jadąc do Rosji, nie znalazłem nawet cyrylicy, nie potrafiłem odczytać nazw miast, przez które przejeżdżałem. Ale podróżując, zacząłem się uczyć języka i choć do dziś nie mówię po rosyjsku, to po rosyjsku czytam i rozumiem. A to daje mi możliwość chociażby korzystania ze źródeł niedostępnych w innych językach.

Kulminacją „Chołodu” – przynajmniej dla mnie – jest scena, która po prostu musiała w nim się znaleźć. Bo jeśli bohater trafia do odizolowanej społeczności i stopniowo w nią wrasta, to w końcu muszą się pojawić też jacyś inni „zwiastuni cywilizacji”. A wtedy bohater – czy to będzie Old Shatterhand, twój Widuch czy Broniś Piłsudski – musi stanąć w obronie swoich nowych bliskich. Widuch próbuje więc przestrzec Chołodców przed Rosją i Rosjanami. I nie chodzi tu już o zachowanie jakiejś kulturowej czystości, ale o przetrwanie. Powiedz, czy wielką oskarżycielską mowę Widucha przeciwko Rosji podyktowało ci już doświadczenie tamtych dawnych podróży, czy też to, czym Rosja teraz się stała.

– Rosja wcale się nie zmieniła i moje postrzeganie Rosji też się nie zmieniło. Kiedy w lutym wojna w Ukrainie wybuchła z całą mocą, największym zaskoczeniem dla mnie było to, że nie jestem zaskoczony. Że uruchomiły się we mnie procedury, emocjonalne i intelektualne, których istnienia nawet nie podejrzewałem. Na przykład jedną z pierwszych rzeczy, jakie zrobiłem po 24 lutego, było wyjęcie wszystkich moich oszczędności i zamiana ich na złoto. W ogóle tego nie analizowałem, było to dla mnie jakoś oczywiste – jest wojna, to kupuję złoto.

Już wiesz, skąd ten odruch?

– To kwestia rodzinnej pamięci. Mój dziadek Jorg Draga w ciągu swojego życia tyle razy widział, jak papierowy pieniądz z dnia na dzień staje się nic niewartym kawałkiem papieru, że wierzył tylko w złoto.

Ale najważniejsze jest to, że wychowałem się w świecie, który wiedział, co to znaczy Rosja, który cały czas się bał, że ona wróci, w świecie mojej rodzinnej pamięci historycznej. Na Śląsku kampania wrześniowa skończyła się po trzech dniach, a potem była już tylko wielka proniemiecka demonstracja w Katowicach, że oto „świat wraca do normalności”, więc dopiero w styczniu 1945 roku wdarła się tam wojna. A jak już się wdarła, to bardzo głęboko, w całej swojej najstraszliwszej substancji. Mój dziadek był naocznym świadkiem masakry w Przyszowicach 27 stycznia 1945 roku. Moja prababcia ukrywała swoje córki na strychu i wyszła wtedy do rosyjskich żołnierzy, którzy szukali kobiet, żeby ich nie znaleźli, i została zgwałcona. Więc nie potrzebowałem wojny w Ukrainie, żeby wiedzieć, co się dzieje, kiedy przychodzi Rosja.

Tym bardziej nie rozumiem, po co się do niej pchalesz.

– Nie miałem ochoty jechać do Paryża, bo po co? Nasi rodzice jeździli do Paryża, po 1989 roku całe ich pokolenie zachłysnęło się Zachodem. Ja chciałem inaczej, gdzie indziej. Więc ruszyłem do Rosji, a jak już się w niej znalazłem, to mnie zwyczajnie zafascynowała. I nie przestaje mnie fascynować.

A mi ta fascynacja coraz bardziej przechodziła. Kiedy jeździłem po Sachalinie śladami Piłsudskiego i przyglądałem się potwornym skutkom rosyjskiego kolonializmu i imperializmu, tej rozwałkowanej przez komunizm etnicznej substancji i codzienności, o której mieszkańcy wyspy mówili „była tiumra i jest tiumra”, miałem dość.

– Ale ja przez fascynację nie rozumiem miłości. Nigdy nie byłem w Rosji zakochany. Jestem raczej zafascynowany tym, jak ona jest przerażająca.

Pewnie dlatego – choć to dość ukryty sygnał – kazaleś siedzieć Widuchowi w więzieniu z Lwem, synem Anny Achmatowej i Nikolaja Gumilowa?

– Tak, Lew Gumilow jest dla mnie szczególnie interesujący, jako chociażby nauczyciel Dugina i twórca nowoczesnej konceptualizacji Rosji jako bytu stepowego, azjatyckiego, nie europejskiego, Rosji jako spadkobiercy raczej Wielkiej Ordy, nie Bizancjum i Trzeciego Rzymu, a może raczej pewnego rodzaju eklektycznego połączenia tych azjatyckich i europejskich wątków. „Śladami cywilizacji wielkiego stepu” Gumilowa to w ogóle wspaniała, fascynująca i jakoś przerażająca książka. Z drugiej stro-

ny jednak, nie byłem szczególnie zadurzony w rosyjskiej literaturze.

Chociaż Babla w „Cholodzie” można wyczuć na kilometr.

– Pewnie, to też jakiś tam kolejny hold, w końcu Widuch mógłby być gdziekolwiek indziej w tym 1920 roku, a jest, gdzie jest – chociaż pisząc o Konarmii, korzystałem raczej ze źródeł, nie z Babla. Poza tym, czy ten Babel jest rosyjski, czy raczej antyrosyjski? Sam nie wiem. Już nie umniejszam jego wielkości. Czytałem oczywiście to, co przeczytać należy, ale nigdy nie był dla mnie jakimś wielkim intelektualnym przeżyciem Dostojewski, a tym bardziej Tolstoj. Potworna nuda, nic w nim nie znalazłem dla siebie. Co innego XX wiek. Łajdak Szolochow, czy ktokolwiek „Cichy Don” napisał, wspomniany już Szalamow, wielki jurodiwyj Wieniedikt Jerofiejew, wspaniały ironista Siergiej Dowłatow i ci czytani bardziej perwersyjnie, Eduard Limonow czy Zachar Prilepin.

No, no. Limonow, twórca partii narodowo-bolszewickiej, fan Stalina i zwolennik „serbskich metod”. Nie żyje od dwóch lat, ale mogą sobie wyobrazić, co by dzisiaj pisał. Za to Prilepin – szkoda słów, to zwyczajny sukinsyn.

– Jakiś czas temu bym zaprzeczył, że nie wiem, czy to zwyczajny skurwysyn, bo nie znam człowieka. Bez wątpienia jest to zjadły wieloruski nacjonalista, nacbol, wróg demokracji i liberalizmu, a więc wróg Europy, Polski i Ukrainy i z tego powodu nie życzę mu dobrze, ale nie czulem potrzeby aby od razu przekreślać go na poziomie moralnym, nawet po wybuchu wojny. Nasi wrogowie są ludźmi jak my, nie każdy wróg jest łajdakiem. Tak powiedziałbym do momentu, w którym przeczytałem na jego telegramie, jak Prilepin zareagował na oskarżenia o to, iż rosyjscy żołnierze wyposażeni są w viagry, by gwałcić ukraińskie kobiety. Otóż napisał, że rosyjski żołnierz żadnej viagry nie potrzebuje i jak będzie miał coś tam zrobić, to poradzi sobie bez tabletek. To było jedyne, co uznał za stosowne sprostować. No więc rzeczywiście jest to chyba paskudny skurwysyn. Pisarzem jest jednak wielkim, jego „Klasztor” jest genialną powieścią. Za to jego ostatnia wydana u nas powieść „Niektórzy nie pójdą do piekła” z czasów, kiedy walczył z Ukraińcami w Donbasie, jest po prostu paskudnie minoderyjna. Prilepin trochę w niej zgrywa twardziela, trochę pozuje na takiego warrior poet, który walczy, a potem zadumany tworzy, do tego te przechwałki, jak to spotkał Kusturicę, Monikę Bellucci. No, życzę mu bliskiego spotka-

nia z jakimś ukraińskimi specjalsami, niemniej „Klasztor” to arcydzieło.

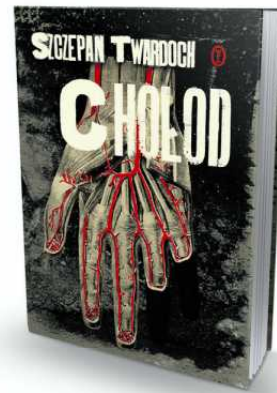
Swoją drogą, zaprzecza on temu, co mówiłeś o niemożliwości napisania dobrej literatury łagrowej, która nie jest literaturą świadectwa.

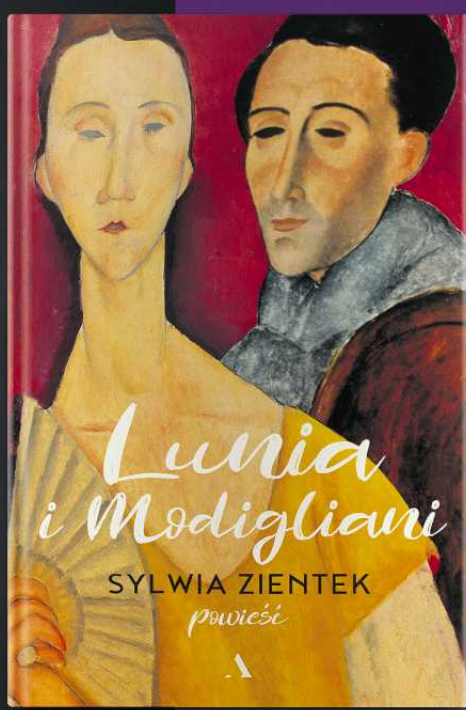
– Można Prilepinowi policzyć to, że to jednak powieść bardzo osobista, zanurzona w pamięci rodzinnej. A ja nie mam w rodzinnej pamięci wspomnienia łagrów. Mam w niej pierwszą wojnę światową w niemieckiej armii, służbę w Wehrmachcie na froncie zarówno wschodnim, jak i zachodnim, mam śmierć mojego pradziadka w Mautausen, mam rosyjskie zbrodnie i gwałty 1945 roku, ale łagrów nie.

A twój bohater ma pracę w kopalni, służy w cesarskiej flocie, rewolucję w Berlinie, wojnę polsko-bolszewicką, wielką czystkę, z której próbuje ocalić żonę i córki, łagier, ucieczkę, Chołod, kolejną ucieczkę. I pytanie, które do niego powraca: czy w tym wszystkim, co mu się przydarza, pozostał jeszcze człowiekiem?

– Oczywiście, że bywa okrutny i tak jak sam jest krzywdzony, krzywdzi. Ludzie w strasznych okolicznościach robią straszne rzeczy, ale czy przestają być przez to ludźmi? Pewnie niektórzy przestają, inni nie przestają. W Widuchu ludzka do końca zostaje myśl o żonie i córkach, o których losie wie mniej niż czytelnik. Czy udało im się uciec, ocalić? Wiem, że brzmi to jak banał. Ale jak inaczej to skomentować? Właśnie dlatego piszę powieści, żeby mówić o rzeczach, o których nie potrafię opowiedzieć językiem dyskursywnym. To jest właśnie to schodzenie poniżej języka, ta wartość, która w opowieści znajduje się poza słowami, obok słów. ●

Szczepan Twardoch „**Chołod**”, Wydawnictwo Literackie. Premiera 26 października



Historia

skomplikowanej relacji polskiej emigrantki i wielkiego artysty

Paryż podczas I wojny światowej. Lunia Czechowska poznaje Amedeo Modiglianiego, ekscentrycznego, rokującego malarza. Zostaje jego muzą, przyjaciółką i powiernicą. Jest gotowa podporządkować swoje życie jednemu celowi: by świat dostrzegł w nim genialnego artystę. **OPARTA NA FAKTACH POWIEŚĆ AUTORKI BESTSELLEROWYCH „POLEK NA MONTPARNASSIE”.**

PREMIERA 26.10

Chiński syndrom Rosji

Gdyby było to możliwe, byłbym za przyjęciem do NATO wszystkich Rosjan, którzy się sprzeciwiają putinowskiemu reżimowi, a co dopiero Ukrainy!

Ziemowit Szczerek



W Polsce poza niektórymi i naprawdę rzadko spotykanymi środowiskami panuje w sprawie ukraińskiej powszechna zgoda: Rosję trzeba zgnieść, z Rosją trzeba wygrać i – tego już się nie mówi zbyt głośno – jeśli uda się to zrobić ukraińskimi rękami i zachodnią, w tym naszą, bronią, to dobrze. Okej, być może zimą ponarzekamy na kaloryfery, ale to warto tego, żeby ten cholerny odwieczny wschodni demon w końcu się odczepił na dobre. Bez Rosji Europa Środkowa rozwija się szalenie szybko i bardziej harmonijnie, „po zachodniemu”.

Ale co musi się stać, żeby Rosja odczepi-
 ła się na dobre? Jak tak naprawdę moż-
 na z Rosją wygrać tymi ukraińskimi rękami
 i zachodnią bronią? Tu pojawiają się
 różne opcje. A to rozpad Federacji Rosyjskiej
 na podmioty federacji, na większe ob-
 szary typu Syberia, Kubań; a to pucz w Mo-
 skwie. Co poza tym? Podpisanie kapitulacji
 to trudna sprawa i kto wie, czy aby moż-
 liwe dopiero po jakiejś formie wymiany
 atomowej. A dalej? Może reformy w Rosji
 na wzór ponastizowskich Niemiec. Rzecz
 w tym, że droga do tych rozwiązań wyda-
 je się wyboista i nieprzewidywalna. A pla-
 ny inwazji na Moskwę czy Petersburg, które
 zapewne istnieją na wszelki wypadek
 w natowskich wojskowych sztabach, wy-
 dają się dziś tak nierealne, że nikt właści-
 wie o nich nie mówi. Nawet jeśli, sądząc po
 kompromitacji rosyjskiej taktyki wojennej,
 mogłyby się okazać prostsze, niż to się wy-
 daje, to pozostają tak ogromnym ryzykiem,
 że nawet rozfantazjowana debata publicz-
 na na ten temat milczy.

I milczy na ten temat nawet Elon Musk, człowiek, który uparł się, że będzie naczelnym wizjonerem świata, człowiekiem z wielkiej przyszłości realizującym kosmiczne plany, planującym podbój i kolonizację Marsa.

Cóż, jego plan pokoju w Ukrainie wygląda mało wizjonersko. Musk, który wypożyczył na początku inwazji Ukrainę w system Starlink, który bardzo pomógł ukrzepić ukraińską obronę, nie jest w stanie wyobrazić sobie takiego zwycięstwa nad Rosją, które miałyby sens. Zarówno jemu, jak i sporej części Zachodu propozycja pokoju między Rosją a Ukrainą, którą złożył na Twitterze, może wydawać się rozsądną, bo – jak się wydaje – jest „kompromisowa”. Przypomnijmy: Musk proponuje „przeprowadzić ponownie wybory w zaanektowanych regionach pod nadzorem ONZ. Jeśli Rosja przegra – wychodzi”. Postuluje jeszcze włączenie Krymu do Rosji, bo był jej częścią od 1783 r., zapewnienie Krymowi dostaw wody i neutralny status Ukrainy.

Wśród tych wszystkich opcji chyba tylko zapewnienie Krymowi dostępu do wody nie budzi wątpliwości. Tu jasne – pełna zgoda. Ale „neutralność”? Czy naprawdę przystąpienie Ukrainy do NATO, by jej mieszkańcy czuli się bezpiecznie, nie jest ważniejsze niż wymyślone zagrożenie dla mieszkańców Rosji, którym zagraża

na świecie aktualnie wyłącznie ona sama? Cholera, gdyby było to możliwe, byłbym za przyjęciem do NATO wszystkich Rosjan, którzy się sprzeciwiają putinowskiemu reżimowi, a co dopiero Ukrainy!

Powtórzyć referenda? Ludzie mają prawo wybierać, ale w jaki sposób zorganizować wolne referendum w kraju pełnym uzbrojonych ludzi Putina, a po masakrach w Buczy i Irpiniu już teraz widac, w jaki sposób Rosjanie Putina radzą sobie z ludźmi niekoniecznie im przychylnymi. Czy urzędnik ONZ zrozumie, że – dajmy na to – obywatel Chersonia, który zagłosował za przyłączeniem do Rosji, miał wczoraj niezapowiedzianą wizytę kolektywu wojskowo-dzielnicowego?

I czy naprawdę powinno to wyglądać tak, że najeźdźca atakuje niepodległy kraj, grozi atomem, a wtedy społeczność międzynarodowa uznaje jego racje i organizuje referendum? Być może. Być może rację mają ci, z którymi zresztą przez całe życie częściej niż rzadziej sympatyzowałem, którzy mówią, że agresję należy zastopować w każdym momencie, by oszczędzić każde ludzkie życie. Tylko czy to jest właśnie ten moment? Ilu ludzi straci życie, jeśli za kilka lat Putin spróbuje dokładnie tego samego w Odessie, Dnieprze, w przesmyku suwalskim? Bo akurat w USA za parę lat będzie rządził ktoś w rodzaju Donalda Trumpa, a Chiny dopną w końcu swoją zbrojeniówkę na tyle, by rzucić połowie świata wyzwanie walki o dominację. Według wyliczeń podawanych przez Michała Lubinę, autora niedawno wydanej książki „Niedźwiedź w objęciach smoka”, może to się stać już w 2027 r.

Jeśli Rosja zostanie osłabiona, to zepsuje to plany ekspansji Chińczykom

To właśnie ze względu na Chiny dalsze ciśnienie Rosji jest na rękę całemu demokratycznemu światu, który nie chciałby, żeby zapanował światowy sposób myślenia politycznego Chin. Zachód zdradził już przeciwie Hongkong, który próbował opierać się swoimi niby „chińskim rodakom”, wymachując przeciwko nim flagami Wielkiej Brytanii, a więc dawnego kolonizatora, który wprowadził swoją chińską kolonię wyzyskiwał, ale też zwesternizował, a zatem przestawił jej mentalność z bezwzględnego „my” na „my oraz ja”. Chiny czekają na dobry moment, żeby poczynwszy od aneksji Tajwanu, przedefiniować światowy system, a do tego potrzebna jest im Rosja osłaniająca tylną flankę albo/i grająca na drugim front. Jeśli Rosja zostanie permanentnie osłabiona obecną konfrontacją z Zachodem albo przejdzie na stronę Zachodu, nie będzie mogła tej roli odgrywać.

Dlatego w ramach NATO USA oraz Wielka Brytania cisną Rosję, ile się da, jeśli ta się już sama nawinęła. I coraz więcej państw, w tym Niemcy, zaczyna to rozumieć. I jeśli nawet cała ta awantura skończy się pozostawieniem przy Rosji jakichś ukraińskich terenów (a bardzo możliwe, że tak się właśnie stanie), to raczej wtedy, gdy zgodzi się na to Ukraina, i to zapewne nie za darmo.

W wizji Muska natomiast Ukraina miałaby być przedmiotem, a nie podmiotem negocjacji. Zresztą nawet sam Musk, jak się wydaje, zdążył zrewidować swój pogląd i wycofał się z żądania zapłaty za korzystanie przez Kijów z użyczonego mu systemu Starlink. Gest „dobrego pana”, ale to już inny temat. ●

WIERSZE POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Ryszard Krynicki*

Módlmy się

za żywych umarłych,
za niezrodzonych i nienarodzonych,
za bratobójców i za samobójców,
za niewolników
i za ofiary przemocy,
za wywyższonych i za poniżonych,
za biednych i za ubogich,
za zapomnianych i za tych,
o których nie chcemy pamiętać.

*Módlmy się
o ludzką śmierć.*

O zniesienie kary śmierci.

*Nie módlmy się o zwycięstwo:
módlmy się o wytrwanie.*

*O Tve ośmielamy się modlić
nad nami czuwanie.*

Ciebie prosimy:
bądź,

usłysz nas

i wysłuchaj

Niewiele

Nasi biedni zmarli
patrzą na nas swoimi
pustymi oczami
i widzą wszystko, co nas jeszcze spotka –
lecz nawet oni nie mogą nam pomóc
ani nas ostrzec,
skoro i wojna, i pokój

niewiele nas nauczyły.



***Ryszard Krynicki** – ur. w 1943 r., poeta, tłumacz, wydawca. Zaliczany do pokolenia '68 (Nowej Fali). Sygnatariusz Listu 59 (1975), zbiorowego protestu przeciw zmianom w konstytucji PRL, w latach 1976-80 objęty zakazem druku. Związany z opozycją demokratyczną i działalnością podziemną. Weszłym roku otrzymał za całokształt twórczości Wrocławską Nagrodę Poetycką „Silesius”.
Utwory za: Krynicki, „Wiersze wybrane”, wydawnictwo a5, Kraków 2014.

NASZA EUROPA

„The New York Times” o wojnie na dwa fronty

CZY DA SIĘ JESZCZE WYGRAĆ
WYŚCIG Z CHINAMI?Na wypadek gdybyście nie zauważyli, pozwólcie, że przypomnę o wnioskach płynących z nowej, ogłoszonej właśnie doktryny bezpieczeństwa narodowego USA: **jesteśmy aktualnie w konflikcie z Rosją i Chinami naraz**

Thomas L. Friedman

Babcia zawsze mówiła: „Nigdy nie walczy z Rosją i Chinami naraz”. Tak samo mawiał Henry Kissinger. Niestety, są mocne argumenty za tym, aby – w najlepiej rozumianym interesie narodowym – skonfrontować się dziś z oboma tymi krajami. Ale nie miejcie złudzeń: wpływamy na nieznane wody. Pozostaje mieć nadzieję, że nie są to nasze nowe „wojny na zawsze”.

Walka z Rosją jest pośrednia, ale oczywista, eskalująca i gwałtowna. Uzbrajamy Ukraińców w inteligentne rakiety i dane wywiadowcze, aby zmusić Rosjan do wycofania wszystkich swoich wojsk z Ukrainy. Nie odbierając niczego dzielności Ukraińców, wsparcie USA i NATO odgrywa gigantyczną rolę w jej sukcesach na polu walki – wystarczy zapytać Rosjan. Ale jak skończy się ta wojna? Nikt nie jest w stanie powiedzieć.

Tu jednak chcę się skupić na konfrontacji z Chinami, która jest mniej widoczna i nie wiąże się z wysiłkiem militarnym, bo toczy się głównie za pomocą tranzystorów, w cyfrowym języku zer i jedynek. Ale będzie miała równie duży, jeśli nie większy, wpływ na globalny układ sił, co rezultat wojny między Rosją a Ukrainą. I ma nawet niewiele wspólnego z przyszłością Tajwanu.

To walka o półprzewodniki – fundamentalną technologię ery informacyjnej.

Sojusz państw, które projektują i wykonują najlepsze cipy na świecie, będzie miał również najlepszą broń precyzyjną, najwydajniejsze fabryki i narzędzia do obliczeń kwantowych, pozwalające na złamanie praktycznie każdej formy szyfrowania. Obecnie to USA i ich partnerzy są tu liderami, ale Chiny są zdeterminowane, aby nadrobić zaległości – a my jesteśmy zdeterminowani, aby temu zapobiec. Rozgrywka jest w toku.

Przed dwoma tygodniami administracja Joeo Bidena wydała nowy zestaw regulacji eksportowych, które stanowią komunikat dla Chin: „Uważamy, że jesteście w tej branży trzy generacje technologiczne za nami, i zamierzamy dopilnować, abyście nigdy nas nie dogonili”.

Bardziej dyplomatycznie ujął to doradca ds. bezpieczeństwa narodowego Jake Sullivan: „Biorąc pod uwagę fundamentalny charakter niektórych technologii, takich jak zaawansowane układy logiczne i pamięciowe, musimy utrzymać tak dużą przewagę, jak to tylko możliwe”. Na zawsze.

„USA w zasadzie wypowiedziały wojnę Chinom w zakresie zdolności do wykorzystania wysokowydajnych komputerów do celów gospodarczych i militarnych” – mówi Paul Triolo, ekspert ds. Chin i technologii w firmie konsultingowej Albright Stonebridge. Albo – jak to ujęła chińska ambasada w Waszyngtonie – Stany Zjednoczone dążą do „hegemonii w dziedzinie sci-tech”.



• Protest przed konsulem ChRL w Stambule przeciwko represjom stosowanym na rozkaz Xi Jinpinga wobec muzułmańskiej ludności w Xinjiangu

FOT. OZAN KOSE/AFP/EAST NEWS

Tylko w jakim punkcie skończy się ta wojna i kto ją wygra? Tego niestety także nikt nie jest w stanie powiedzieć.

Nie chcę w jakikolwiek sposób lekceważyć Chin, które w coraz większym stopniu wykorzystują technologię do absolutnej kontroli w kraju i budzącej lęk manifestacji siły za granicą, ale jeśli teraz wchodzimy na ścieżkę odmawiania Chinom zaawansowanych technologii na zawsze – eliminując przy okazji wszelkie nadzieje na obopólnie korzystną współpracę z Pekinem w kwestiach takich jak klimat i cyberprzestępczość, które generują wspólne zagrożenia

Sekretarz handlu USA:
„Znajdujemy się w sytuacji nie do utrzymania.
Dzisiaj kupujemy 100 proc. naszych zaawansowanych czipów logicznych z zagranicy – 90 proc. od tajwańskiego TSMC i 10 proc. od Samsunga w Korei”.
To niebywale, ale to prawda

i wobec których to USA i Chiny są jedynymi mocarstwami mogącymi coś zdziałać – to jaki świat to wytworzy? Chiny zresztą powinny zadawać sobie te same pytania.

POTĘŻNA KONTROLA PRZEPŁYWU TECHNOLOGII

Wiem, że przepisy wydane przez Departament Handlu USA stanowią nowe, potężne narzędzie, jeśli chodzi o kontrolę eksportu, bo zablokują Chinom możliwość zakupu najbardziej zaawansowanych półprzewodników z Zachodu lub sprzętu do ich samodzielnej produkcji.

Nowe przepisy zabraniają również każdemu amerykańskiemu inżynierowi lub naukowcowi pomagać Chinom w produkcji czipów bez specjalnej zgody, nawet jeśli ten Amerykanin pracuje na sprzęcie w Chinach, który nie podlega kontroli. Przepisy zaostrzają również śledzenie operacji handlowych, co ma zapewnić, że zaprojektowane w USA cipy sprzedawane cywilnym firmom w Chinach nie dostaną się w ręce chińskiego wojska.

I, co być może najbardziej kontrowersyjne, administracja Bidena dodała „foreign direct product rule”, która, jak zauważył „Financial Times”, „została po raz pierwszy użyta przez administrację Trumpa przeciwko chińskiej grupie technologicznej Huawei” i „zakazuje każdej amerykańskiej lub nieamerykańskiej firmie dostarczania docelowym chińskim podmiotom sprzętu lub oprogramowania, którego łańcuch dostaw zawiera amerykańską technologię”.

To ma potężne skutki, ponieważ najbardziej zaawansowane półprzewodniki są wytwarzane przez dużą koalicję firm z Ameryki, Europy i Azji. Pomyślmy o tym w ten sposób: AMD, Qualcomm, Intel, Apple i Nvidia doskonale się w projektowaniu czipów, które mają miliardy tranzystorów upakowanych coraz ciaśniej, aby wytworzyć pożądaną moc przetwarzania. Firmy Synopsys i Cadence tworzą zaawansowane narzędzia

i oprogramowanie do projektowania wspomagane komputerowo, na których producenci układów scalonych kreślą swoje najnowsze pomysły. Applied Materials tworzy i modyfikuje materiały do budowy miliardów tranzystorów i ich połączeń w czipie. Holenderska firma ASML dostarcza narzędzia litograficzne we współpracy m.in. z Zeiss SMT, niemiecką firmą specjalizującą się w soczewkach optycznych, która rysuje szablony na wałach krzemowych, wykorzystując światło ultrafioletowe – bardzo krótką długość fali, dzięki której można drukować małe wzory na mikroprocesorze. Intel, Lam Research, KLA i liczne firmy od Korei przez Japonię po Tajwan również odgrywają kluczowe role w tej koalicji.

IM NOWOCZESNIEJSZA TECHNOLOGIA, TYM WIĘCEJ KOALICJANTÓW

Chodzi o to, że im bardziej przesuwamy granice fizyki i materiałoznawstwa, aby upchnąć więcej tranzystorów na czipie w celu uzyskania większej mocy obliczeniowej do dalszego rozwoju sztucznej inteligencji, tym mniej prawdopodobne jest, że jakkolwiek jedna firma czy kraj może dominować we wszystkich częściach procesu projektowania i produkcji.

Potrzebna jest cała koalicja. Powodem, dla którego firmę Taiwan Semiconductor Manufacturing Company, znaną jako TSMC, uważa się za głównego producenta układów scalonych na świecie, jest to, że każdy członek tej koalicji ufa TSMC i przekazuje jej swoje najbardziej doniosłe tajemnice handlowe, a dzięki temu TSMC łączy się i wykorzystuje z korzyścią dla wszystkich.

Ponieważ Chiny mają zasłużoną reputację złodzieja własności intelektualnej, są zmuszone próbować produkcji zaawansowanych czipów na własną rękę, używając starych technologii. W 2017 r. Pekinowi udało mu się ukraść pewną ilość technologii czipowych, w tym technologię 28 nanometrów od TSMC.

Do niedawna uważano, że Semiconductor Manufacturing International Company, chiński czempion czipów, utknął właśnie na tym poziomie, chociaż twierdzi, że wyprodukował kilka czipów w skali 14 nm, a nawet 7 nm poprzez modyfikacje litografii ultrafioletowej z ASML. Amerykańscy eksperci uważają jednak, że Chiny nie mogą masowo produkować takich czipów bez najnowszej technologii ASML.

CHIŃCZYCY: TU JUŻ NIE MA MOŻLIWOŚCI POJEDNANIA

W ubiegłym tygodniu przeprowadziłem wywiad z sekretarzem handlu USA Giną Raimondo, która nadzoruje zarówno nowe kontrole eksportu czipów, jak i zagospodarowywanie 52,7 mld dol., które administracja Bidena właśnie przeznaczyła na wsparcie ame-

NASZA EUROPA

rykańskich badań nad półprzewodnikami nowej generacji oraz na przywrócenie produkcji zaawansowanych czipów w USA. Raimondo odrzuca pomysł, że nowe regulacje są równoznaczne z aktem wypowiedzenia wojny.

„Stany Zjednoczone znajdowały się w sytuacji nie do utrzymania. Dziś kupujemy 100 proc. naszych zaawansowanych czipów logicznych z zagranicy – 90 proc. od tajwańskiego TSMC i 10 proc. od Samsunga w Korei” – przekonuje.

To jest niebывale, ale to prawda.

„Nie produkujemy w USA żadnego z czipów, których potrzebujemy do sztucznej inteligencji, dla naszego wojska, dla naszych satelitów, dla naszych programów kosmicznych, nie wspominając o niezliczonych niemilitarnych zastosowaniach, które zasilają naszą gospodarkę” – tłumaczy Raimondo. Niedawno uchwalona ustawa CHIPS, jak powiedziała, to „ofensywna inicjatywa” mająca na celu wzmocnienie całego naszego ekosystemu innowacji, tak aby więcej najbardziej zaawansowanych czipów powstawało w USA.

Nalożenie na Chiny nowych ograniczeń w zakresie zaawansowanych technologii to „strategia obronna”. Bo Chiny realizują strategię fuzji wojskowo-cywilnej, a Pekin jasno stwierdził, „że zamierza stać się całkowicie samowystarczalny w najbardziej zaawansowanych technologiach”, aby zdominować zarówno cywilne rynki komercyjne, jak i pole bitwy w wojnach XXI wieku. „Nie możemy ignorować tych zamiarów Chin – mówi Raimondo. – Tak więc, aby chronić siebie i naszych sojuszników oraz wszystkie technologie, które wynaleźliśmy indywidualnie i zbiorowo, zrobiliśmy następny logiczny krok, aby uniemożliwić Chinom awans technologiczny”. Stany Zjednoczone i ich sojusznicy projektują i produkują „najbardziej zaawansowane czipy” i nie można dopuścić, by „znalazły się one w rękach Chin i zostały wykorzystane do celów wojskowych” – kontynuuje.



*Przed dwoma tygodniami
administracja Joego Bidena
wydała nowy zestaw
regulacji eksportowych,
które stanowią komunikat
dla Chin: „Uważamy, że
jesteście w tej branży trzy
generacje technologiczne
za nami, i zamierzamy
dopilnować, abyście nigdy nas
nie dogonili”*

„Głównym celem jest gra w ataku – wprowadzanie innowacji szybciej niż Chińczycy. Ale jednocześnie zamierzamy sprostać rosnącemu zagrożeniu, które generują, chroniąc to, co musimy. Ważne jest, abyśmy dezescalowali tam, gdzie możemy, i robili interesy tam, gdzie możemy. Nie chcemy konfliktu. Ale musimy się chronić z szeroko otwartymi oczami” – podsumowuje.

Państwowa chińska gazeta „Global Times” napisała, że zakaz tylko „wzmocni wolę i zdolność Chin do samodzielnego wysiłku w nauce i technologii”. Bloomberg cytował anonimowego chińskiego analityka, który stwierdził, że tu już „nie ma możliwości pojednania”.

Witamy w świecie przyszłości... ●

tłum. Łukasz Grzymisiński

MADE IN CHINA

Gdzie się kryją wrogowie Xi Jinpinga

Przebiegający pod dyktando jednego człowieka zjazd Komunistycznej Partii Chin daje złudzenie, że w kraju panuje jednomyślność. W rzeczywistości Xi ma legiony wrogów, także wśród własnych towarzyszy.

Robert Stefanicki



13 października, w przeddzień zjazdu, który ma namaścić Xi Jinpinga na trzecią kadencję, na jednym z wiaduktów w Pekinie pojawiły się niezwykle transparenty. „Powiedz nie testowi na COVID, tak jedzeniu. Nie zamknięciu, tak wolności. Nie klamstwu, tak godności. Nie rewolucji kulturalnej, tak reformom. Nie potężnemu liderowi, tak głosowaniu. Nie bądź niewolnikiem, bądź obywatelem”, wzywał pierwszy. Drugi: „Zastrakuj, usuń dyktatora i zdrajcę narodu Xi Jinpinga”.

Tożsamości protestującego nie ujawniono. Nie krył się. W żółtym kapeluszu i pomarańczowym kubraku wykrzykiwał hasła przez megafon, podpalil opony i, jak należało się spodziewać, zaraz został aresztowany. Internauci znaleźli poszlaki, że może to być fizyk z północy kraju, który wcześniej opublikował w sieci manifest wzywający do nieposłuszeństwa obywatelskiego i niszczenia punktów testowania covidowego.

Odezwa została usunięta przez cenzurę, tak jak wszelkie wzmianki o proteście. Lecz autor już zapisał się w historii Chin. Porównuje się go do samotnego mężczyzny, który w czerwcu 1989 r. stanął na drodze czołgu zmierzającego na plac Tiananmen (jego tożsamość nigdy nie została potwierdzona).

Jeden wielki obóz reedukacji

W porównaniu z ówczesną pekińską wiosną – okresem nadziei, intelektualnego ożywienia i fermentu, także w partii – dzisiejsze Chiny przypominają wielki obóz reedukacji, gdzie życie toczy się spokojnie pod nadzorem kamer. Najwięksi śmialkowie mogą najwyżej napisać na drzwiach toalety, że „kaowiec jest głupi”.

Xi tak bezwzględnie ograniczył możliwość sprzeciwu, że ogranicza się on do gry w kotka i myszkę z cenzurą w internecie.

Po proteście na moście ludzie mrugali okiem, dzieląc się piosenką zatytułowaną „Samotny wojownik”.

Niewątpliwie desperat wyrażał uczucia sporej części społeczeństwa, rozsierdzonego niekończącymi się restrykcjami covidowymi, ale też ograniczaniem wolności w szerszym sensie. Jak duża jest to grupa – nie wiadomo. Nawet jeśli uznać za wiarygodne sondaże pokazujące około 90-procentowe poparcie dla władzy, to i tak jakieś 140 mln Chińczyków życzy Xi Jinpingowi jak najgorzej.

Łowienie plotek o rozłamach w partii

Jednak Xi nie musi się ich obawiać. Priorytetem władzy od czasu protestów na Tiananmen jest, aby niezadowoleni nie byli zdolni połączyć się w znaczący ruch. Dlatego ponad 20 lat temu partia postanowiła zniszczyć ruch Falun Gong, nieszkodliwą, ale zbyt popularną sektę parareligijną. Dziś członkowie Falun Gong stanowią zacieklą opozycję wobec Pekinu – na emigracji.

To właśnie chińscy działacze za granicą najczęściej rozpowszechniają plotki o czystkach i buntach w partii. Często są to zwykłe fake newsy, ale wszyscy i tak je studiują, bo na informacje z chińskich mediów nie ma co liczyć. Co dzieje się w partii, zostaje w partii, nader rzadko coś wpływa.

A dzieje się.

To z kręgów władzy pochodzi najpoważniejsza opozycja, tam Xi ma największych wrogów. Rozprawia się z nimi metodycznie, robiąc sobie kolejnych, w ramach kampanii antykorupcyjnej trwającej od samego początku jego rządów. W ciągu dekady aresztowano kilkuset wysokich urzędników i ponad 100 tys. tych średniego i niskiego szczebla. Każdy z nich ma krewnych i partnerów biznesowych, co samo w sobie tworzy sporą armię niezadowolonych.

Xi oszczędza tych, którzy są na świeczniku, ale uderza w ich sojuszników. Mao Zedong stosował podobną taktykę „podkopywania muru”. Podkopany, osłabiony polityk zwykle poddaje się Xi, licząc na uratowanie stanowiska i majątku. W ten sposób rośnie grupa lojalistów dyktatora w strukturach najwyższych władz.

Nie ma masowych czystek, odstrzeliwuje się człowieka po człowieku. Na każdego się coś znajdzie, każdy ma coś za uszami. Z wyjątkiem Xi, który jest czysty jak Dziewica Orleańska – takie jest wrażenie, lecz gdyby upadł, wygrani towarzysze napiszą mu akt oskarżenia z równą łatwością jak on im.

Nikt nie jest bezpieczny

Podczas pierwszej kadencji Xi utracił nawet byłego członka wszechpotężnego Stałego Komitetu Politbiura. Od dwóch lat podkopyje jednego ze swoich najstarszych i najwierniejszych towarzyszy Wang Qishana, który kierował walką z korupcją, a od 2018 r. jest wiceprezydentem Chin. Pierwszą oznaką słabnącego wpływu Wangu było aresztowanie w 2020 r. emerytowanego potentata nieruchomości Ren Zhigianga, przyjaciela Wangu. Usunięto go z partii i skazano na 18 lat za esej krytykujący politykę rządu w sprawie polityki antycovidowej.

Xi przekreślił paradygmat ustalony na początku okresu reform: że korupcja jest smarem wzrostu gospodarczego. Biznesmeni płacili łapówki, urzędnicy wydawali korzystne dla nich decyzje i przyszykali oko na nadużycia, a intelektualści dawali temu procederowi stempel moralny. Mechanizm jednak się zatarał z powodu bezdennej chciwości. Fortuny przekupnych rosły do baśniowych rozmiarów (w piwnicy pewnego urzędnika partyjnego z prowincji Hainan znaleziono 13,5 tony złota), koszty prowadzenia działalności gospodarczej były coraz wyższe, a pokrzywdzonych szaraków trafiał szlag – codziennie dochodziło do setek lokalnych protestów ludzi nie-

legalnie wysiedlonych albo trutych przez przemysł.

Xi postanowił walczyć z korupcją, a przy okazji zniszczyć sojusz elit. W praktyce był to gwóźdź do trumny liberalizacji.

Wielu się to nie podoba. W partii Xi ma przeciwko sobie rozmaite grupy, przede wszystkim reformistów, tęskniących za pragmatyczną ideologią i polityką ery otwarcia Deng Xiaopinga, pragnących pojednania z Zachodem. Ponieważ jednak otwarta opozycja skutkowałaby dla nich utratą stanowisk i przywilejów, udali się na emigrację wewnętrzną. Tak samo – choć z innych powodów – jak krytyczni intelektualiści i obrońcy praw człowieka.

W opozycji jest też część „książąt”, czyli potomków bliskich towarzyszy Mao. Nie jest to politycznie zjednoczona grupa – sam Xi jest jednym z nich. Są tam konserwatyści, którzy popierają partię, są liberałowie opowiadający się za demokracją wewnątrzpartyjną, ale najwięcej jest centrystów, którzy nie potępią Xi publicznie, choć prywatnie sprzeciwiają się dyktaturze.

Trzeba też wspomnieć o ultralewicowych maoistach, którzy krytykują obojętność władz na los klasy pracującej. Również oni są aresztowani, zwłaszcza kiedy za radą Mao próbują się organizować z robotnikami.

Kampania antykorupcyjna na spółkę z biologią pacyfikują niegdyś potężną grupkę emerytowanych przywódców. To oni w 1989 r. zdecydowali o usunięciu ze stanowiska sekretarza generalnego Zhao Ziyanga, który sympatyzował z demonstrantami, a żołnierzom nakazali otworzyć ogień do cywilów.

Ale teraz to Xi pociąga za sznurki.

70-letni Xi karci emerytów

W 2015 r. w zawołanym ostrzeżeniu najwyraźniej skierowanym do byłego szefa partii Jiang Zemina „Dziennik Ludowy” radził przywódcom w stanie spoczynku, aby „dostosowali swoją mentalność” do statusu emeryta. Wiosną KPCh wydała rygorystyczne wytyczne: wysocy rangą przedstawiciele partii nie mogą ujawniać dyskusji politycznych na najwyższym szczeblu, mają unikać negatywnych uwag, przeciwstawiać się „błędnemu myśleniu”, nie wykorzystywać wpływów i unikać działalności w nielegalnych organizacjach społecznych.

96-letni Jiang Zemin ledwie dyszy jako szef tzw. kliki szanghajskiej, o swoje walczy też jego następca Hu Jintao stojący na czele frakcji Ligi Młodzieży. Ale stopniowo tracą swoich ludzi. Pod koniec września aresztowano byłego wiceministra bezpieczeństwa Sun Lijuna, któremu oprócz korupcji zarzucono przynależność do antyrządowego spisku i nielojalność wobec Xi. Sun należał do frakcji Jianga.

Xi mebluje Politbiuro swoimi lojalistami, głównie z prowincji Zhejiang i Fujian, gdzie wcześniej rządził. A skoro nie ma wątpliwości, że to on rozdaje karty, nie ma sensu mu się sprzeciwiać. To najwyższy przywódca zatwierdza ostateczną listę 2,3 tys. delegatów na zjazd partii, więc nawet ci, którzy go nie lubią, będą udawać lojalność, aby nie popsuć sobie kariery. Ktoś musi zapłacić intratne posady po utraczonych towarzyszach.

Takie sprzężenie zwrotne sprawia, że Xi jest coraz potężniejszy. Tak na szlachetnej skądinąd walce z korupcją buduje się w Chinach dyktatura.

Deng Yuwen, publicysta niegdyś związany z partią, w artykule w „Foreign Policy” nie pozostawia złudzeń: „Jakkolwiek różnorodna i liczna może być opozycja, zwłaszcza wśród elit, jest ona również rozdartą, bojaźliwą, niezdolną do organizacji i pozbawioną wspólnej wizji jakiegokolwiek alternatywy lub drogi do zmian”. ●

Adam Michnik poleca

KOSZULKI Z „ZETKĄ” BARDZO STANIAŁY

FOT. DMITRI LOVETSKY/AP

Jeśli ktoś chce mi przypiąć plaketkę „dobry Rosjanin”, niech ją odda komuś innemu.

Z NOBLISTĄ **DMITRIJEM MURATOWEM***
ROZMAWIA **NIKOŁAJ SOŁODNIKOW**

Co oznacza dzisiaj być Rosjaninem?
– Czasami dumę, czasami wstyd.

Z czego można być dumnym?

– Z tego, że ogromna liczba osób w moim kraju, mimo szerzącej się propagandy, nie uważa, by wojna była właściwym sposobem rozwiązywania spraw z sąsiednim, a niegdyś bratnim krajem.

Tacy ludzie są przeciwni przemocy, wychodzą na ulice. Przeciwno takim ludziom wszczęto 17 tys. postępowań administracyjnych, wielu jest więzionych. Trzeba być z nich dumnym.

Jak mają żyć ludzie, którzy wyjechali do Europy, a tam ich nowe środowisko traktuje wszystkich Rosjan jednakowo?

– Służyłem w armii, a tam stosuje się odpowiedzialność zbiorową: jeśli 30 osób ukończyło marsz w odpowiednim czasie, a jedna nie zdążyła tego zrobić, wszyscy muszą zacząć od nowa. Przez to w grupie narasta niechęć do słabszych.

Bardzo dobrze przedstawił tę kwestię politolog Władimir Pastuchow, który stwierdził, że winę rozpatruje się w kategoriach moralno-prawnych. Kategorie moralne to poczucie wstydu. Prawne to udowadnianie, że naruszone zostały prawa człowieka, prawa etyczne czy obyczajowe.

W efekcie otrzymujemy to, przed czym ostrzegał Sacharow. Prawa państwa nie mogą być ważniejsze od praw człowieka, w przeciwnym razie mamy do czynienia z totalitaryzmem. Dzisiaj, kiedy bombardowane są miasta, wśród ludzi zapanowała nienawiść, gniew, a teraz pozostała tylko wściekłość.

W dzienniku Alberta Speera poruszony został temat różnicy między walką z doktryną a walką z całym narodem. Jest taka różnica?

– Trzeba się zastanowić, na jakiej podstawie można obarczyć winą cały naród. Sondaż przeprowadzony przez jedno z centrów badania opinii wykazał, że 81 proc. ludności Federacji Rosyjskiej popiera Putina. Czyli 81 proc. Rosjan ponosi odpowiedzialność za piekło, które Rosja rozpętała w Ukrainie.

Jednak nie jest to sondaż przeprowadzony anonimowo na ulicy, tylko przez telefon. Numery wybierane są z puli tych zarejestrowanych w Rosji. Ankieterzy mają dostęp do wszystkich danych swych rozmówców, wiedzą, ile mają dzieci i gdzie mieszkają, jakie mają długi. Kiedy więc pytają: „Czy popiera pan/pani politykę prezydenta Putina?”, odpowiedź jest oczywista.

Dlatego najbardziej interesujące jest to, jaki procent badanych odmówił odpowiedzi. Zdaniem socjologów nawet 75 proc. Jeżeli więc Putina popiera jedynie 81 proc. tych, którzy zgodzili się udzielić odpowiedzi, nie możemy na takiej podstawie oceniać całego narodu.



Jeden dzień prowadzenia wojny kosztuje władze Rosji ok. 500 mln euro i taką samą kwotę każdego dnia Zachód płaci za dostęp do źródeł energii. W tej sytuacji budżet wychodzi na zero. I tu chodzi o odpowiedzialność drugiego stopnia.

Putin śmieje się z zachodnich polityków i z zachodnich wartości, bo zna ich cenę. Zatrudnił w państwowej spółce kilku ważnych zachodnich polityków. Pracują dla niego w Rosniefcie i są częstymi gośćmi w kanałach TV, które popierają „specjalną operację wojskową”, np. Karin Kneissl, była szefowa MSZ Austrii. Wynagrodzenie takich osób to 1,5-2 mln euro rocznie. Dlatego kiedy Putin porusza temat zachodnich wartości, zawsze pamięta, ile płaci tym ludziom.

**Najpoważniejszym
zjawiskiem w obecnej
polityce wewnętrznej jest
krytyka Putina z pozycji
faszystowskich.**

**Od niego po prostu wymaga
się okrucieństw**

Czy w tej sytuacji obywatele krajów, którzy wybrali te osoby na liderów, ponoszą odpowiedzialność za to, co się dzieje? Na Rosjanach spoczywa większa odpowiedzialność. Kto jednak dostarczył praktycznie całą broń i niezbędny sprzęt, żeby rozpędzać ludzi na ulicach Moskwy czy Mińska?

Powinniśmy uczciwie określać swoją winę. Ja się do niej przyznaję, więc jeśli ktoś ma dla mnie przygotowaną plaketkę z napisem „dobry Rosjanin”, to niech odda ją komuś innemu. Tym bardziej że zamierzam dalej mieszkać i pracować w Moskwie.

Wielu ludzi dało się zwieść propagandzie, która działa dzisiaj znakomicie. Jej siewcy na ekranie ocierają twarz chusteczkami, a za chwilę nawołują do zrzucania bomb i zabijania Ukraińców. Jednak ta propaganda słabnie.

Mam też swoją teorię socjologiczną. Raz w tygodniu wchodzę na stronę sklepu internetowego Ozon i sprawdzam, ile kosztu-

ją koszulki ze znakiem „Z”. Jakies dwa tygodnie temu ich cena spadła o kolejne 8 proc., a obecnie zniżki sięgają nawet 80 proc.

Często spaceruję ulicami i podchodzą do mnie młode osoby, żeby zrobić sobie zdjęcie. Ostatnio jedna z grup zwróciła moją uwagę na to, że nie nosi już butów New Balance, bo przy odpowiednim ułożeniu ich logo wygląda jak „Z”. A w zeszłym roku cała Moskwa chodziła w takich butach.

Kiedy w kraju dominuje propaganda, władza musi w swoim interesie likwidować media niezależne od państwa. Oto oficjalne dane prokuratury generalnej: zablokowano 138 tys. stron internetowych, z czego 7 tys. z powodu cenzury. Zlikwidowano dziesiątki niezależnych mediów, wiele z nich uznano za „zagranicznych agentów”. Taki pogrom prasy można nazwać medialnym ludobójstwem.

Ogromną winą państwa jest ciągle narzucanie gniewu i agresji ludziom, którzy wierzą w to, co widzą w telewizji. Telewizor jest nowym ołtarzem, propaganda nową religią, a Putin nowym bogiem.

Jakie będzie społeczeństwo rosyjskie po tej wojnie? Rozgoryczenie w stosunku do innych zniknie czy trzeba będzie nauczyć się z nim żyć?

– Obecne wydarzenia są nieodwracalne. To pierwsza na świecie wojna w erze cyfrowej. Dane dotyczące każdego morderstwa, ekshumacji, wysadzonego w powietrze domu, zniszczonego czołgu, rannego dziecka zapisane są na milionach nośników. Nie da się tego zapomnieć. Za każdym razem, kiedy wpiszę w wyszukiwarkę słowo „Mariupol”, zobaczymy teatr w Mariupolu. Nigdy już nie będzie pokoju pomiędzy Ukrainą a Rosją i Białorusią.

A jakie relacje pomiędzy tymi, którzy popierali wojnę, a tymi, którzy byli jej przeciwni, będą panować w Rosji?

– W naszym kraju doszło do głębokiego podziału. Jeśli spojrzymy na oficjalne dane, to mamy 25-30 mln ludzi, którzy absolutnie nie akceptują filozofii agresji. 4,1 mln ludzi opuściło Federację Rosyjską. Ale boję się, że kiedy obecna władza będzie musiała odejść, to na jej miejsce nie przyjdą ludzie o poglądach demokratycznych. Przyjdą ci, którzy uważają, że Putin nie był wystarczającym faszystą, a teraz krytykują go za to, że

nie wykorzystuje broni nuklearnej. Przyjdą skrajni naziści.

Najpoważniejszym zjawiskiem w obecnej polityce wewnętrznej jest krytyka Putina z pozycji faszystowskich. Od niego po prostu wymaga się okrucieństw. Jest wielu ludzi uwikłanych w nacjonalizm i antysemityzm.

Kogo takiego sprowadzają do nas jako partnerów europejskich? Niemiecką partię NPD, skrajnych antysemitów i zwolenników Hitlera. Oprócz tego Złoty Świt z Grecji czy Nową Siłę z Włoch. W Rosji organizowane są dla nich zjazdy, gdzie przywódcy rosyjskich nazistów są honorowymi gośćmi.

Na czym opiera się pańska wiara? W co pan dzisiaj wierzy?

– Nadzieję pokładam w nowym pokoleniu. Ci młodzi ludzie, którzy teraz wstydzą się nosić buty New Balance, nie wstydzą się być wybitnymi profesjonalistami, poznawac języki, być otwartymi na inne kultury, chcą się uczyć, czytać, wierzyć w tego boga, który jest im najbliższy, nie postrzegać świata jako wroga.

Wierzę jeszcze w jedno. Patrzę, jak zastępca przewodniczącego Dumy Państwowej beszta Alę Pugaczową za popieranie męża, który kocha swój kraj tak jak ona. Poprosiła, aby ją również uznać za „zagranicznego agenta”. „Nie można pani uznać za »zagranicznego agenta«, o pani już nikt nie pamięta” – pada odpowiedź. Wiemy, że wszyscy umrzemy, ale kiedy odejdzie Pugaczowa, cały kraj pochowa ją jak królową Wielkiej Brytanii. Daj Bóg, niech żyje jak najdłużej, wtedy kolejne pokolenie wezmą udział w pochodzie. Z kolei tych urzędników zamkną po śmierci w czarnym karawanie i zapomną ich imion, zanim jeszcze dojadą do cmentarza.

I teraz najprostsze pytanie: co jest sensem życia?

– Na różnych etapach mogłyby pojawić się różne odpowiedzi. Gorbaczow tuż przed śmiercią nie komentował tego, co się aktualnie dzieje, chociaż wszystko dobrze rozumiał. Pewnego dnia wskazał na stojący w pokoju telewizor, w którym leciało wiadomo co, wyciągnął rękę i powiedział: „I kogo to wszystko uszczęśliwiło?”. Sens jest w tym, żeby gazeta i moje starania sprawiły, że ktoś będzie szczęśliwszy, oraz żeby naprawić to, co kiedyś mogło unieszczęśliwić drugiego człowieka. ●

przeł. Martyna Maconko



FOT. HAKON MOSVOLD LARSEN/AP

***Dmitrij Muratow** – ur. w 1961 r., dziennikarz. Jeden z założycieli (1993) i przez niemal cały czas naczelny „Nowej Gazety” (dziś wydawanej na uchodźstwie). Wielokrotnie sprzeciwiał się polityce Kremla. Współlaureat pokojowego Nobla za rok 2021

Tekst wywiadu za kanałem rosyjskiego dziennikarza Nikołaja Sołodnikowa na YouTube.

Cały wywiad: [Wyborcza.pl/magazyn](https://wyborcza.pl/magazyn)

Wojna zawsze zaczyna się wczoraj

Nie można dopuścić do ponownego flirtu Europy z Łukaszenką

Andrej Sannikau*

W rozmowach o rosyjskiej napaści na Ukrainę powraca temat nieodrobionej lekcji, jaką były poprzednie akty zbrojnej agresji Rosji przeciw Gruzji (2008) i Ukrainie (2014). Takich lekcji było więcej, podobnie jak czynników, które doprowadziły do wojny z Ukrainą. Jednym z nich jest Białoruś, a ściślej: dyktatura Łukaszenki, która pod wieloma względami służyła za wzór reżimowi Putina i stworzyła warunki sprzyjające rosyjskiej agresji.

O geostrategicznym znaczeniu Białorusi decydują dwa obszary, z którymi sąsiaduje na wschodzie i zachodzie, Brama Smoleńska i korytarz suwalski. Brama Smoleńska między zachodnią Dźwiną a Dnieprem jest jednym z głównych strategicznych korytarzy handlu międzynarodowego Wschodu z Zachodem. Jednocześnie jest ona drogą, którą imperium rosyjskie wielokrotnie wykorzystywało do najazdu na Europę, a teraz Federacja Rosyjska do najazdu na Ukrainę. Kiedy Rosja atakowała Europę przez Bramę Smoleńską, docierała do Wisły i dalej, aż po Łabę i Dunaj.

Korytarz suwalski zyskał na wadze po rozpadzie ZSRR i Układu Warszawskiego. Ma ogromne znaczenie dla bezpieczeństwa regionu bałtyckiego, bo oddziela współnika Rosji – Białoruś Łukaszenki – od rosyjskiej enklawy wokół Kaliningradu. Jest jedynym połączeniem drogowym i kolejowym między Polską a Europą Środkową i krajami bałtyckimi. Zajęcie korytarza odcięłoby od kontynentu europejskiego trzy kraje.

Kiedy rośnie napięcie na linii Rosja – Zachód, Białoruś staje się kluczowym czynnikiem geopolitycznym.

Rosja szykowała się do inwazji na Ukrainę na oczach całego świata. Przez ostatnie 15 lat prowadziła coraz większe i coraz liczniejsze manewry wojskowe na granicach. Rosyjskie siły zbrojne uczestniczyły w wojnach po stronie syryjskiego dyktatora Al-Asada czy przeciwko Gruzji. Prywatne firmy wojskowe, takie jak Grupa Wagnera, brały udział w operacjach na Bliskim Wschodzie i w Afryce.

Białoruś Łukaszenki odegrała szczególną rolę. Rosja od 2009 r. organizuje na jej terytorium zakrojone na szeroką skalę manewry wojskowe. Ćwiczone inwazję na kraje bałtyckie i atak nuklearny na Warszawę. Manewry Zapad 2013 pozwoliły przygotować się do aneksji Krymu i okupacji Donbasu w 2014 r.

Manewry Zapad 2017, zaplanowane jako ćwiczenie walk z indywidu-

alnymi „terrorystami”, przekształciły się w symulację tłumienia protestów, co dowodzi, że planuje się użycie wojska do zdławienia ewentualnego oporu społecznego na Białorusi czy w Rosji. Manewry Zapad 21 były bezpośrednim przygotowaniem do nowej agresji na Ukrainę – tej, która rozpoczęła się 24 lutego – z wykorzystaniem terytorium Białorusi, przy pełnym poparciu Łukaszenki.

W 2015 r. Putin rozegrał na Białorusi scenariusz „negocjacji”, z założenia niekorzystnych dla Ukrainy, które pozwoliły Łukaszence udawać pośrednika w „procesie mińskim” i doprowadziły do zdjęcia sankcji z jego reżimu.

Dla Kremla Białoruś Łukaszenki była ważnym poligonem pozwalającym testować metody dławienia wolności.

Aby rozpocząć niesprawiedliwą wojnę, dyktatorzy muszą mieć pewność, że sprawują pełną kontrolę nad społeczeństwem, a aparat represji gotów jest stłumić każde nieposłuszeństwo. Łukaszenkowskie metody dławienia wszelkich wolności na Białorusi posłużyły do odbudowania w Rosji systemu totalitarnego.

Kolejnym „pożytkiem” reżimu Łukaszenki było to, że Kreml uważnie obserwował reakcję Zachodu na psychopatyczne wybryki dyktatora. Uchodziło mu płazem użycie siły wobec ludności cywilnej, a nawet zabójstwa polityczne, fałszowanie wyborów czy masa więźniów politycznych.

Kluczowym momentem przygotowań Kremla do wojny z Ukrainą było brutalne stłumienie masowych protestów na Białorusi po „wyborach” prezydenckich w sierpniu 2020 r. Do jej rozpoczęcia Rosja potrzebowała w pełni kontrolowanego białoruskiego przyczółka, co zapewniły bezprecedensowe represje.

Utrzymanie władzy przez reżim Łukaszenki stworzyło Putinowi niezbędne warunki polityczne i wojskowe do ataku na Ukrainę.

Rozpętana przez Rosję krwawa wojna jest efektem agresywnej polityki Kremla, ale też błędów Zachodu, który długo nie doceniał groźnych procesów w krajach powstałych na gruzach ZSRR. Trzeba więc pokonać zarówno Rosję, jak i całą zorganizowaną grupę dyktatur pod wodzą Putina, które wyrosły na terenie byłego ZSRR. Zachód musi na nowo określić zasady relacji z reżimami Putina i Łukaszenki.

Jak dotąd reagował, wychodząc od błędnej oceny procesów zachodzących w regionie, zwlekał z ich analizą, oddając tym samym inicjatywę agresorowi. Tak było w chwili wybuchu wojny, kiedy dysponował dokładnymi in-

formacjami o inwazji, ale spisał Ukrainę na straty.

Podobny błąd logiczny popełnił w przypadku Białorusi. Zachód od dawna wie, czym jest reżim Łukaszenki, ale odmawiał dostrzeżenia w nim zagrożenia dla bezpieczeństwa międzynarodowego. Tymczasem Białoruś uczestniczy w inwazji na Ukrainę, pozwalając Putinowi swobodnie dysponować swoim terytorium.

Kiedy Ukraina przetrwała pierwsze tygodnie i zażądała poważnego wsparcia, przede wszystkim dostaw broni, Zachód nadal stawiał na negocjacje i rozmawiał z Putinem, zachęcając do rozmów Ukraińców. Innymi słowy, cały czas przygotowywał się do poprzedniej wojny, nie łapiąc rytmu wojny prawdziwej.

Ukraina zniweczyła wszystkie plany Rosji i obaliła wszystkie założenia Zachodu.

Obecnie Ukraińcy zsynchronizowali sukcesy na froncie z celami politycznymi. Nie ma już mowy o powrocie do sytuacji sprzed 24 lutego 2022 r. Ukraina domaga się przywrócenia suwerenności na całym swoim terytorium, w tym na Krymie.

Na stanowisko Zachodu wpłynęły sukcesy militarne Ukrainy. Dziś skłania się on do poparcia celu, jakim jest wyzolenie całej Ukrainy.

Niedawno dwoje członków europejskich polityków wypowiedziało się szczerze, przyznając się do błędów. Ursula von der Leyen powiedziała: „Trzeba było słuchać tych, którzy znają Putina – Anny Politkowskiej, naszych przyjaciół z Ukrainy, Mołdawii, Gruzji i białoruskiej opozycji, wsłuchać się w głosy dobiegające z wewnątrz UE – z Polski, krajów bałtyckich i całej Europy Środkowo-Wschodniej, gdzie od lat mówią, że Putin nie przestanie”. Weteran niemieckiej polityki Wolfgang Schäuble wyraził się jeszcze dośladniej: „Wiedzieliśmy wszystko, ale nie chcieliśmy tego uznać”. Przyznał, że rację miał prezydent Kaczyński, który po rosyjskim ataku na Gruzję powiedział: „Teraz Gruzja, potem Ukraina i Mołdawia, wreszcie kraje bałtyckie i Polska”.

Te słowa padły z ust jednego z najważniejszych niemieckich polityków. Zaborcza wojna Rosji w Europie weszła w niebezpieczną fazę. Wydaje się, że Putin nie może liczyć w najbliższym czasie na znaczące sukcesy militarne w Ukrainie, więc podniósł stawkę, ogłaszając „częściową mobilizację”. On i jego ministrowie mówią coraz częściej o użyciu broni jądrowej. Putin liczy na kapitulację Zachodu i zdobycie pełnej kontroli nad Ukrainą. W tej sytuacji konieczne są zdecydowa-

ne działania Zachodu – bezwarunkowe wsparcie Ukrainy, przede wszystkim bronią.

Sankcje są najskuteczniejszym narzędziem pozbawienia agresora zasobów, ale trzeba też powołać międzynarodowy trybunał ds. zbrodni wojennych i przeciw ludzkości czy wykluczenie zbrodniarzy z organizacji międzynarodowych. Kroki te muszą objąć reżim Łukaszenki.

Po 24 lutego zbrodnie Łukaszenki na Białorusi zeszły na dalszy plan, mimo że ani na chwilę nie ustają represje po wydarzeniach z 2020 r.

Przeciwko tyranowi wystąpił wtedy cały białoruski naród. Wystraszony Łukaszenka wszczął brutalną z nim rozprawę. Protestujących masowo bito, zdarzały się zabójstwa, ale Zachód nie spieszył się z sankcjami. Szybkie, surowe sankcje pomogłyby wstrzymać rozlew krwi i byłyby lekcją dla Putina. Gdyby w 2020 r. Zachód poparł naród białoruski, nie doszłoby do inwazji na Ukrainę.

Nie można dopuścić do ponownego flirtu Europy z Łukaszenką. Warunkiem położenia kresu wojnie i zapobieżenia powtórce jest pozbycie się dyktatur Putina i Łukaszenki, które do niej doprowadziły.

Rozumieją to doskonale żołnierze białoruskiego pułku im. Kastusia Kalinowskiego walczący o wolność Ukrainy i Białorusi. Wiedzą, że dyktatura Łukaszenki jest pasem transmisyjnym rosyjskiej agresji w Europie, że będzie ona zawsze zagrażała Europie, podsycając apetyty Kremla.

Bandy Kremla przekroczyły Bramę Smoleńską i są gotowe wejść do Suwałk. A potem będą nowe cele – cała Polska, Litwa, Łotwa, Estonia.

Świat zachodni ma dziś wszelkie możliwości, by pomóc Ukrainie wygrać i pomóc Białorusi pozbyć się dyktatury. ●

przeł. Sergiusz Kowalski



***Andrej Sannikau** – ur. w 1954 r., białoruski działacz polityczny i społeczny, koordynator ruchu Europejska Białoruś. Były wiceszef białoruskiego MSZ. Kandydat na prezydenta w sfalszowanych w 2010 r. wyborach, więziony, dziś emigrant

Cały tekst: Wyborcza.pl/magazyn

FOT. WIKIPEDIA

NAJKRÓCEJ

Jonasz



List do Przyjaciela, Staszka Tworzydło (1933-2022)

Staszku kochany, żegnaj!
Dla tych, co nie wiedzą: przyjaźniliśmy się tyle lat, chyba z 60. Nasze żony też, a właściwie przede wszystkim. W naszym domu na wszystkich ścianach i półkach Twoje piękne wyroby (choćby mój portrecik chyba zbyt wyidealizowany). Ale nie dałśmy Ci zarobić, wszystko dostawaliśmy przy okazji różnych uroczystości łączących się z prezentami.

Będiesz w naszej pamięci, a jak zacznie nam słabnąć, wspierać nas będą np. Twoje mozaiki ze ślicznymi chińskimi ptaszkami, wiszące nad sekretarą. I wszystkie inne cuda, na każdej domowej ścianie. [Stanisław Tworzydło był malarzem, a przede wszystkim autorem ceramik].
Zaskoczyłeś mnie swoim telefonem ze szpitala, bo wiedziałem, że jest źle. A Ty ani słowem nie skarżyłeś się na cierpienie,

ale dziękowałeś mi za wpływ mojej pisani-
ny na Twoje myślenie i przeżywanie spraw
wiary. Po trzech dniach okazało się, że to
było Twoje pożegnanie.
Podziwiam Cię za Twoją dobroć, pokorę.
W kościele na Twojej Mszy Św. pogrzebowej
było bardzo dużo ludzi – to ci, dla
których byłeś samą dobrocią. ●

2022 rok zostawia po sobie wiele niepewności. To dobrze?

– Niepewność zawsze towarzyszyła człowiekowi, to naturalne. Pojawia się podczas podejmowania decyzji, np. wyboru szkoły, partnera życiowego czy samochodu. Ale niepewność dla społeczeństw jest zabójcza, bo rozkłada tkankę więzi społecznych, wartości i normy.

Czy niepewność dzisiejsza różni się od tej z XIX wieku czy z czasów istnienia społeczności zbieracko-łowickich? Jest inna, np. średnia wieku sto pięćdziesiąt lat temu była dwukrotnie niższa niż dzisiaj. Więc wtedy ludzie po prostu nie mogli planować sobie takiej starości jak my. Ale dzisiaj jesteśmy dużo lepiej sytuowani, wykształceni, mamy wpływ na życie publiczne.

damentalna wartość naszych czasów. Chodzi o to, żebyśmy mogli różnić się co do esencji pewnych zjawisk czy rozwiązań, ale postępować wobec nich musimy według nienaruszalnych reguł.

Reguły gry? U nas władza zmienia je sobie, jak jej pasuje.

– Tak, u nas PiS chce tak manipulować regułami gry, żeby zagwarantować sobie pewność wygranej. Wybory samorządowe już przesunął, by nie poprzedzać parlamentarnych, bo to było dla partii niekorzystne.

I nie wiadomo, jak będzie.

– I to ta pewność niepewności. Ralf Dahrendorf w jednym z ostatnich wywiadów został zapytany o przesłanie dla młodych naukowców, powiedział coś takiego: „Kochani, świat był i jest bar-

no prostackie uproszczenia, które zadają kłam rzeczywistym związkom przyczynowym zachodzącym w rzeczywistości.

Rok temu postraszyłem pewne szacowne grono, mówiąc o antropocenie, erze, w której człowiek stał się czynnikiem geologicznym, i mówiłem, że trzeba zakasać rękawy we wszystkich możliwych dziedzinach. Parę miesięcy później wybuchła wojna, Putin zepsuł mi narrację, pojawiło się coś, czego nie wykluczaliśmy, ale prawdopodobieństwo wystąpienia takiej sytuacji, z jaką mamy do czynienia, było niewielkie. W Europie trwa wojna w pełnej skali między dwoma krajami i narodami. Nie mamy pewności co do jej wyniku. Co więcej, dla mnie obecnie Putin jest groźniejszy niż wtedy, gdy mu się pozornie wiodło. Zagrożeni despoty by-

jest na jednym z najniższych poziomów.

Dzisiaj zatem każdy człowiek rozumny widzi niestabilność ładu międzynarodowego, zwłaszcza zasady nienaruszalności granic.

Nie obawia się pan, że na Zachodzie społeczeństwa będą miały dosyć wojny w Ukrainie?

– Miesiąc po ataku na Ukrainę postawiłem tezę, że to być może będzie pierwsza wojna, w której bardziej niż obywatel zdecydjuje konsument zachodni. Jeśli Zachód będzie bardziej zależny od konsumenckich, a nie obywatelskich potrzeb, to tak, może tak się stać.

Oglądam często Deutsche Welle. Pewna dyskusja miesiąc po inwazji wprowała mnie w osłupienie, bo poważnie rozprawiano o tym, co zrobić, by zapobiec spo-

dalej nieszczęście tej planety. Wyszło, że większość Polaków jest w stanie poświęcić różne aspekty wzrostu gospodarczego na rzecz ratowania Ziemi. Teraz prawdopodobnie te proporcje się zmienią, ludzie będą chcieli przede wszystkim się zbroić. Niestety, tego nie unikniemy, jest wielka koniunktura na zbrojenia.

Te niespełnione aspiracje to wstęp do rewolucji?

– To zależy, w jaki sposób będzie się nam pogarszało. To stara miśszanka tezy Marksa i Tocqueville’a, kiedy wybuchają rewolucje.

Czyli?

– Nie jest tak, jak chciał Marks, że wtedy, kiedy ludzie nie mają nic innego do stracenia, tylko kajądany, to nie myślą o rewolucjach, tylko o zupie.

DYKTATURA NIEPEWNOŚCI



Po zmianie władzy trzeba rozpocząć proces delegalizacji PiS

Z RADOŚLAWEM MARKOWSKIM, SOCJOLOGIEM I POLITOLOGIEM, ROZMAWIA AGNIESZKA KUBLIK

Jeszcze do niedawna dominowali monarchowie czy instytucje religijne. Interpretacja świata wyglądała tak, że po drugiej stronie istnieje coś wspaniałego, a życie na ziemi to tylko przejściowa faza, nie należy się nią za bardzo przejmować, ale trzeba słuchać moźnych tego świata, żeby zasłużyć sobie na życie w tym lepszym świecie. Ponieważ z tamtego świata nikt nie wraca z opowieściami o lepszym świecie, ludzie zaczęli mieć wątpliwości, i np. proces sekularyzacji jest wielkim otwarciem się na nieznanne, akurat bardzo pozytywnym, bo zarzucono koszmarnie dogmaty, fatalizm, determinizm losu ludzkiego. To celowe utrzymywanie w niewiedzy wielkich rzesz społecznych trwało niestety bardzo długo, potem doszło do otwarcia edukacyjnego i wyzwolenia człowieka, uczynienia z niego prawdziwego podmiotu, nie przedmiotu.

Nie wszędzie.

– Tak, ale ta wielka przemiana polityczna, demokratyzacja jest niesłychanie istotna, a zarazem to wielkie dla nas wyzwanie. Jest taka definicja demokracji prof. Adama Przeworskiego, jedna z wielu, ale ta mi się najbardziej podoba, że demokracja to jest instytucjonalizowana niepewność. Że to jest pewność reguł gry i niepewność wyników uzyskanych w ramach stosowania tych reguł. Ja bym ją rozszerzył – zinstytucjonalizowana niepewność to ta fun-

dzo skomplikowany, wielowymiarowy i taki pozostanie. Wszyscy, którzy uważają, że są proste rozwiązania, stosują banalne uproszczenia, które prowadzą w prostej drodze do autorytaryzmu”.

W życiu społecznym nie wszyscy muszą być Dahrendorfami i widzieć odcienie szarości i skomplikowane powiązania występujące w rzeczywistości społecznej. Polityka zasadniczo też jest czasami takim modelowym uproszczeniem pewnych zjawisk, żeby przeciętny człowiek zrozumiał, o co chodzi. Ale właśnie granica między uproszczeniem – posługiwanie się modelami – które jest stawiane na to, żeby skomplikowane sprawy uczciwie upraszczać i pokazywać w przystępnej formie, a zjawiskiem, które nazywam symplicyzmem (ulica mówi prostactwem), które zakłamuje świat, manipuluje i ogranicza ludzkie możliwości rozumienia związków przyczynowych i tego, jak ten złożony świat wygląda, jest niezwykle istotna. Musimy upraszczać, żeby niwelować niepewność, bo zbyt wiele szczegółów i zależności, z którymi powinni sobie radzić profesjonalści, to dla przeciętnego człowieka za skomplikowane. Upraszczenie rzeczywistości redukuje traumę niepewności. Natomiast nie wolno upraszczać rzeczywistości w taki sposób, który wcześniej czy później wróci do przeciętnego człowieka i uderzy go właśnie dlatego, że zaproponowa-

wają gotowi na wszystko i trzeba mieć nadzieję – choć wielce niepewną – że jednak na Kremlu są ludzie, którzy będą umieli go powstrzymać.

Pan się boi wojny?

– Tylko głupi by się nie bał. Uważałem, że jest bardzo mało prawdopodobna, i posypuję głowę popiołem. Znaczące państwa europejskie biją się w piersi i zmieniają swoją koncepcję bezpieczeństwa o 180 stopni. Czy ktoś jeszcze rok temu przypuszczał, że Szwecja zapuka do drzwi NATO?

Kolejna niepewność – jak Putin padnie, to nie wiadomo, kto przejmie władzę.

Łatwo można sobie wyobrazić, że inne mocarstwa, które mają chrapkę na nie swoje terytoria, będą chciały zdobyć te rosyjskie, osłabione. Mam na myśli Chiny i Tajwan czy Pakistan z Indiami. Przy osłabieniu czy przy pewnym zaangażowaniu Zachodu w konflikt z Rosją może się wydarzyć, że nagle punkt zapalny pojawi się całkiem gdzie indziej. Może nadejść fala różnych konfliktów zbrojnych. Przywódcy Chin mogą szukać innych atrakcji dla swojego ponadmiliardowego narodu, żeby odwrócić jego uwagę od niewątpliwych problemów, pochodnych spowolnienia gospodarczego. To także tykająca bomba demograficzna, spowodowana w dużej mierze polityką jednego dziecka przez niemal cztery dekady. Ich przyrost gospodarczy

wolnieniu niemieckiej gospodarki. A przecież jest wojna i obywatele powinni liczyć się z tym, że nie będą mogli kupować kolejnego bmw co dwa lata, tylko co pięć.

Gatunek *Homo sapiens*, część tego gatunku, zgodnie z tezą Ingleharta, zachowuje się tak, że po osiągnięciu pewnego poziomu nasycenia dobrami materialnymi staje się postmaterialistą. Interesuje się wówczas czasem wolnym, czystą wodą, zieloną trawą, lokalną społecznością, sztuką i estetyką wnętrza oraz wyrafinowanym żywieniem.

Ale część ludzi, do której się zaliczamy, czyli kraje na dorobku, czy gigantyczne Południe, nie chce słuchać o tym, że trzeba się ograniczać. Chce konsumować, chce tych „beemwiaków” jak najwięcej i jak najdroższych. Ta część świata rośnie w tempie geometrycznym – nieszczęście gotowe. Antropocen to pochodna fatalnych skutków ubocznych modernizacji i nowoczesności. I tej refleksji żeśmy nie przerobili. Wojna, ale także spowolnienie gospodarcze zawrócą nas z drogi gotowości do zmiany konsumpcyjnego stylu życia.

Przed wojną w polskich badaniach zadawałem pytanie, czy respondenci uważają, że za wszelką cenę należy ograniczyć rozwój gospodarczy, by więcej przeznaczać na ochronę naszej planety, środowiska i klimatu, czy też mimo wszystko starać się rozwijać gospodarczo, nawet pogłębiając

I nie jest tak, jak chciał Tocqueville, że rewolty wybuchają, jak ludziom dobrze się wiedzie, ale gdy po latach dobrej koniunktury przychodzi załamanie, wtedy dochodzi do rewolt i rewolucji.

Ale z tymi ostatnimi rewoltami to dziwna sprawa...

Młodzież na południu Europy próbowała się sprzeciwiać nierównościom społecznym, umowom śmieciowym, ale tak naprawdę nie zaproponowała niczego nowego. To były rewolty, które miały bardzo dużo rewolucyjnych hasła na sztandarach, a niewiele rewolucyjnych efektów się pojawiło.

Jakoś nie widzę w młodych pokoleniach zaciętości, nie widzę myśli i programu. Być może wojna, jeśli przybierze jeszcze gorszy obrót, wymusi jakieś zmiany. Tak było po I wojnie światowej, gdy kraje się zdemokratyzowały. Wojny są złem, ale paradoksalnie i nieintencjonalnie mają czasami bardzo pozytywne skutki, wszak przyspieszyły nadanie praw politycznych klasom pomijanym i kobietom, zwłaszcza po I wojnie światowej.

Teraz mamy wojnę dużej skali w Europie i ona może skłonić młodych do większej aktywności. Jeśli zdefiniują tę wojnę jako wojnę staruchów – mogą przeciwko nim wystąpić. W wielu zakątkach Europy może pojawić się uderzenie w starszą generację, w pokolenie, które zupełnie nie nadaje się do zarządzania światem. Zresz-

tą widać, że w tej wojnie domnie-
many wielki militarny potencjał
Rosji jest niewiele wart, bo myśle-
nie o świecie i strategia wojsko-
wa są kształtowane przez staru-
chów, ludzi ulokowanych w głę-
biach XX wieku.

**Nasz przywódca narodu ma
73 lata, niedawno grzmiał
o młodych, co są pod wpływem
„smarfonów”, i groził „kontr-
akcjami”.**
– Jego aktualny wiek to najmniej-
szy problem, bo podobnie myślał,
gdy był 30 lat młodszy, dlatego je-
go partia ma prawie zerowe po-
parcie w grupie wiekowej 18-25.

**Gdyby nie wojna, PiS miałby
dzisiaj może i 15 proc.**
– Może ciut więcej, ale tak, Ka-
czyński miałby problem. Już po
agresji na Ukrainę PiS bratał się
i pił wino ze wszystkimi sojusz-
nikami Kremla – Salwinim, Le
Pen i Orbánem. To Polacy, to po
prostu lud tej ziemi rzucił się
na granicę wschodnią, żeby po-
magać ludziom. Później włączy-
ły się organizacje pozarządowe,
potem samorządy i dopiero gdy
rząd się zorientował, to przyla-
czył się do mądrości zbiorowej
społeczeństwa. Ale i tak partii
rządzącej poparcie spadło do 31-
-32 proc.
Jednak sporo ludzi wierzy
w pisowską narrację, że mamy
dziś problemy z węglem, bo by-
liśmy pryncypialni. I nie wie-
dzą, że do niedawna jeszcze
eksportowaliśmy węgiel.
Ta wojna, jak każda, pomaga
władzy, bo rząd może na nią zwa-
lać swoje problemy. Pytanie, jak
to zostanie wykorzystane przed
wyborami.

Stan wyjątkowy?
– Oczywiście, może być rzeczy-
wiste zagrożenie ze strony Łu-
kaszenki, Kaliningradu, ale mo-
że być i taki stan wyjątkowy, któ-
ry się podretuszuje, by przedłu-
żyć trwanie u władzy – czyli celo-
wo utrzymywana niepewność, by
utrudnić demokratycznej opozy-
cji koordynację jej działań.
Wojna wpływa na wszystko.
Fatalnie się stało dla klimatu, dla
zielonej energetyki, że wybuchła,
bo robimy różne rzeczy, których
byśmy nie robili. Gdybyśmy zwa-
żyli wszystkie żyjące dzisiaj na
naszej planecie organizmy, to
67 proc. owej wagi stanowiłyby
zwierzęta hodowlane, 30 proc.
człowiek, a 3 proc. – słownie:
trzy procent – nasze kochane ty-

gryski, loszki, wilki, zajączki, ge-
neralnie dzika przyroda, która
zanika. Ta agresja odsuwa więc
na wiele lat sensowną politykę
ochrony zwierząt.
Jest jeszcze jeden wymiar nie-
pewności – sfera technologicz-
no-cywilizacyjna ruszyła z ko-
pyta i wynalazki lawinowo poja-
wiają się w naszym życiu. A kul-
turowa adaptacja do tych wynal-
azków i politycznej na nie reak-
cji jest opóźniona. To jest stara
teoria socjologiczna, która mówi,
że w takich przypadkach docho-
dzi do dezorganizacji społecznej,
anomalii, niepewności.
Człowiek nie jest przystosowa-
ny do takiego tempa, do takiej la-
winy innowacji, jaka wokół nas
się pojawiła. My po prostu – po-
twierdzają to biolodzy i psycholo-
dzy – nie jesteśmy zdolni jako ga-
tunek zaadaptować to wszystko
w tak krótkim czasie.

Tak jest łatwiej, szybciej.
– Nie chcę wyjść na takiego, któ-
ry mówi, że to nieprzydatne. Sza-
cuję, że w moim telefonie 10-
-20 proc. funkcji jest pożytecz-
nych. Pozostałe to próba uwię-
zienia mnie w gierkach, zaba-
wach, gadżetach, które niczemu
nie służą.
Do pewnego momentu usłu-
gi wychodziły naprzeciw natu-
ralnym potrzebom człowieka,
ale już od dawna kreują sztuczne
potrzeby, od których się uzależ-
niamy. I dlatego część ludzkości,
w tym to młode pokolenie, jest
całkowicie zagubiona i niepewna
w nowej rzeczywistości, a część
jest ogłupiana zbędnymi „inno-
wacjami”.

**Mamy niepewne czasy, nawet
niepewność jest niepewna.
Jakiego rodzaju przywództwa
potrzeba?**
– To bardzo trudne pytanie, bo
przywództwo musi dziś należe-
cie wywierać, ile ma być pieczo-
łowitości wobec elementów tra-
dycji, a ile przyzwolenia na po-
stęp i nowoczesność (tę nowo-
czesność, która tak niszczy na-
szą planetę). Inny dylemat to jak
godzić konsumpcję i inwestycje
w przyszłość. W Polsce istnieje
je wielki problem, jak oczyścić
nasze życie z dogmatyzmu, za-
bobonów, jak ograniczać wpływ
instytucji gardzącej nauką, me-
dycyną, przyczynowością, a jed-
nocześnie jak kształtować po-
le do szacunku dla autorytetów,
które są wspólnotom ludzkim
potrzebne.

**Stare upadły, nowe się nie na-
rodziły.**
– To jest jak we wszystkim – po-
pyt i podaź. Pani pyta, jak mają
się zachowywać przywódcy, że-
by pociągnąć za sobą masy? Kto
miałby pociągnąć społeczeństwa
do dobrego?

rowe organizacje, w których był
przywódca, ale nigdy nie miał ta-
kiej pozycji jak współcześni przy-
wódcy partyjni, nawet w bardzo
porządnym demokracjach za-
chodnich. Zarządy miały najważ-
niejsze zdanie i często dochodziło
do zmiany liderów.

sane w konstytucji warunki, jeśli
nie, to zakazać jej istnienia.
Jeżeli to się nie stanie, to jest
to erozja prestiżu prawa. Skoro
za takie rzeczy się nie karze niko-
go, to hulaj dusza! Jeśli tego nie
zrobimy, nasze życie publiczne
będzie przez dekady patologicz-

Ta wojna, jak każda, pomaga władzy, bo rząd może na nią zwałać swoje problemy. Pytanie, jak to zostanie wykorzystane przed wyborami

Gdzie ci wielcy Europejczy-
cy, Adenauer, Olof Palme, symbo-
le światłego, mądrego przywództ-
wa? Problem jest jednak inny,
można by powiedzieć przewrot-
nie, że nie ma chętnych follower-
ów, ale ludzie nie głosują indy-
widualnie. Technicznie tak, ale
w sensie kulturowym głosują ro-
dzinami, związkami, grupami, do
których przynależą.
Tuż po II wojnie światowej ist-
niały związki zawodowe, profe-
sjonalne stowarzyszenia, które
miały przeogromny wpływ na ży-
cie społeczne i polityczne, nagła-
śniały interesy jakiejś grupy spo-
łecznej, skłaniały swoich człon-
ków do tego, żeby głosowali w pe-
wien sposób w wyborach. Dzisiaj
nie ma takich organizacji, poza
paroma wyjątkami.
Człowiek się zindywiduali-
zował. Nie chce, ba, nie lubi, że-
by ktoś mu z tych organizacji for-
malnych narzucał, co ma myśleć,
robić, na kogo głosować. Teraz to
wygląda inaczej, są tak zwani lu-
dzie podobnie myślący, zbiera-
ją się w internecie, tam się komu-
nikują.
Przywództwo? Wydaje mi się,
że nie można czekać na indywi-
dualne, raczej trzeba myśleć o ja-
kiejś formie kolektywnych ciał,
które dawałyby gwarancję tego,
że jakieś idee się kupuje, wspiera.
Niestety, nastąpiło w Europie coś,
co nazywa się prezydenccjaliza-
cją albo personifikacją partii po-
litycznych. Lider partii ciągnie ją
i partia wygrywa albo przegrywa.
To jest nowa rzecz.
Tuż po II wojnie światowej
partie to były kolektywne, zbior-

I tak powinno być w każdej
partii, zwłaszcza tej, która chce
wygrać. Nie może być tak, że jest
jeden lider, który marginalizuje
wszystkich innych, których warto
byłoby pokazać.
Wszystko to przynębiające...
– Casy są takie, że nie ma co
udawać przygłupiego wesoł-
ka. Niepewność, o której roz-
mawiamy, ta monumentalna, to
część losu człowieka. A ta obec-
na jest związana z wydarzenia-
mi bieżącymi, które kreują kry-
zys, choć każdy kryzys jest szan-
są na oczyszczenie. Obecny jest
fundamentalny, dotyczy kultu-
ry politycznej, wartości pryncy-
pialnych.
W Polsce władza zgnoiła pol-
ską konstytucję. Uważam, że jak
zostanie u nas przywrócona pra-
worządność, należy zainicjować
proces delegalizacji PiS, co oczy-
wiście będzie należało do nieza-
leżnego sądu. Nie ma powodu, że-
by w kraju, w którym zaostro-
no reguły poruszania się samo-
chodem i pozbawia się prawa
do bycia kierowcą za narusza-
nie prędkości, przymykać oko na
to, że pewna partia polityczna ła-
mie konstytucję.
W każdym kraju demokracji
prawdziwej, np. Skandynawii, Ho-
landii, partia łamiąca świadomie,
z premedytacją i po wielokroć
konstytucję nigdy by się nie utrzy-
mała u władzy tyle lat. A jeśli już
by przypadkowo się utrzymała, to
przyszłoby taki moment, w któ-
rym obywatele postawiliby spr-
awę jasno – trzeba rozliczyć tę par-
tię, przyrzec się, czy spełnia zapi-

ne, nie będą obowiązywać żad-
ne reguły.
Ale ludzie wychodzili na ulice...
– Co to za wychodzenie? Jeden
raz w 40-milionowym kraju było
na demonstracji niecałe 200 tys.,
jak KOD jeszcze był silny. Od te-
go czasu nie ma tak wielkich pro-
testów.
W Rumunii, kiedy niedaw-
no protestowali, to na ulicach by-
ły miliony. W Pradze dwa lata te-
mu, jak Babisza chcieli pogonić,
to w 10-milionowym kraju 600 tys.
osób było na ulicach. W Bułga-
rii co chwila obalają rządy, bo są
skorumpowane, u nas to są takie
marginalne rzeczy.
Nam się po prostu ten kraj roz-
wijał bardzo dobrze przez ćwierć
wieku, więc ludzie nabrali prze-
konania, że niezależnie od tego,
kto rządzi i jak rządzi, oni i tak
będą się mieli dobrze. I że do-
póki mnie nic złego się nie dzie-
je, to naruszanie konstytucji mi
nie szkodzi.

**A teraz? Kryzys dotyka co-
dzienności.**
– Niestety, tak bywało w Polsce
najczęściej i chyba tak się też mo-
że stać teraz, że ludzie będą wy-
chodzić na ulice, bo zbiednieli.
Jednak dużo bardziej byłbym
dumny z mojego narodu, gdy-
by wyszedł dlatego, że zdepta-
no święte w demokracji reguły
gry, które powinny być nienaru-
szalne. ●

FOT. ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL



NA RATUNEK PLANECIE

#jednaplaneta
jednożycie
technologia dla klimatu

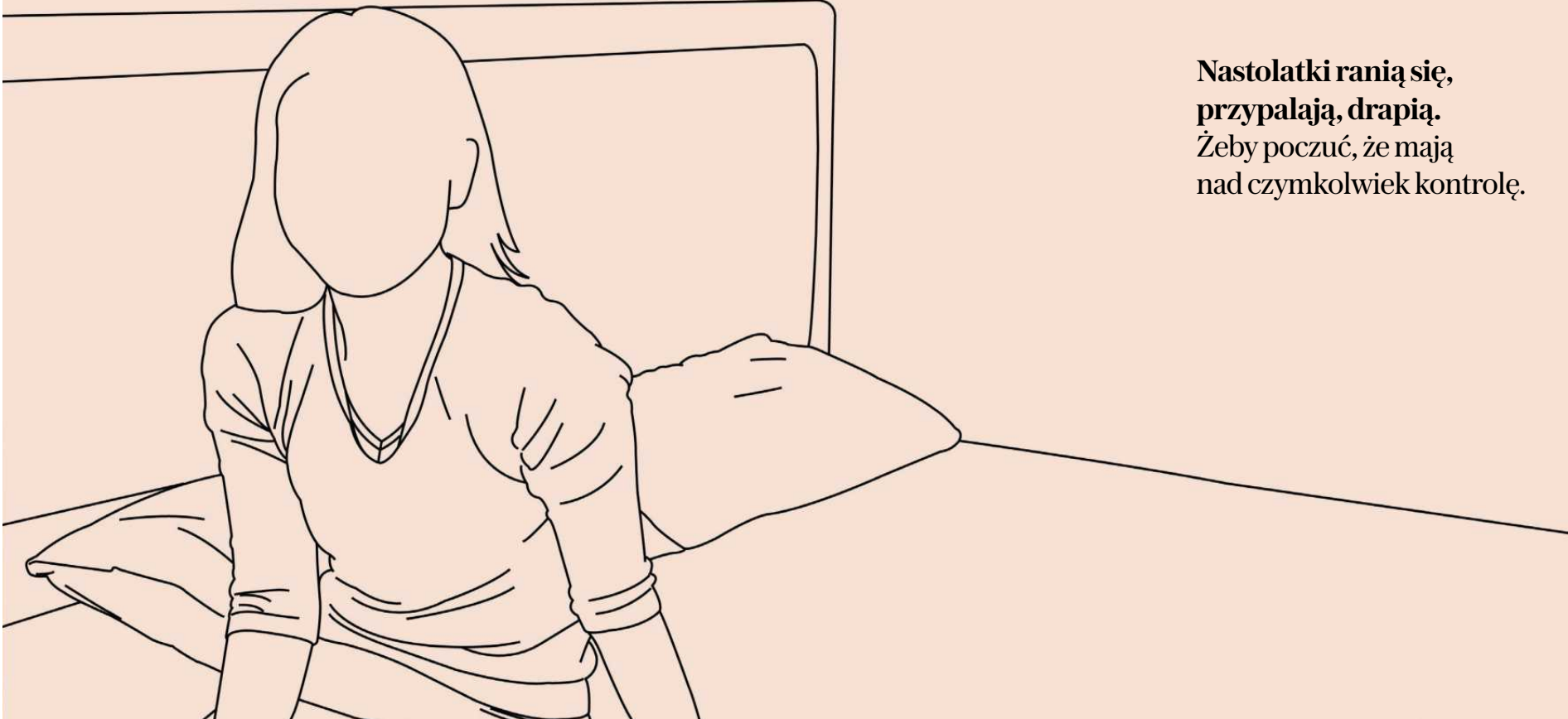
Czytaj więcej na:
Wyborcza.pl/jednaplanetajednozycie

Partnerzy:



aliplast
aluminium systems

CHYBA WYROSNAŁ Z NICH FAJNI LUDZIE



Nastolatki ranią się,
przypalają, drapią.
Żeby pocuć, że mają
nad czymkolwiek kontrolę.

Z PSYCHOŁOŻKĄ SZKOLNĄ
I NAUCZYCIELKĄ WYCHOWANIA
DO ŻYCIA W RODZINIE **KATARZYNA
GRABIĄ*** ROZMAWIA **IWONA GÓRKE**

Jak dzieciaki trafiają do szkolnego psychologa?

– Zwyczajnie. Przychodzą do mnie same, bo mają taką potrzebę, albo są kierowane przez nauczyciela lub rodzica. Zazwyczaj przyczyną są kłopoty z koleżankami i kolegami – konflikt, nieporozumienie, bójka. Zdarma się, że nauczyciel przysyła dziecko, bo na lekcji wydarza się według niego coś nie tak.

To znaczy?

– Ktoś nie słucha nauczyciela. Albo nie jest w stanie udzielić odpowiedzi. Albo się płacze. Taka osoba trafia do mnie, żeby się uspokoić. No i wychowawcy, którzy do brze znają „swoje” dzieci, kierują do mnie ucznia, bo zauważyli, że coś się w nim zmieniło. Wcześniej był uśmiechnięty, rozmawiał z rówieśnikami, teraz odstaje, zamknął się w sobie.

Współczesne dzieciaki potrafią poprosić dorosłego o pomoc?

– Nie wszystkie, bo wciąż panuje przeświadczenie, że do psychologa i pedagoga szkolnego idzie się za karę. Zwłaszcza młodsze dzieci nie do końca potrafią zrozumieć, po co jesteśmy. Myślą, że do nas idzie się, gdy jest się niegrzecznym, jak coś się przeskrobie.

Skoro gdy ktoś, kto przeszkadza na lekcji, może wylądować u psychologa, to skojarzenie takie wydaje się nie być pozbawione sensu.

– Moją rolą nie jest karanie. Chcę się dowiedzieć, co się wydarzyło i dlaczego. Rozmawiam, pytam.

To jednak jakiś postęp. Kiedyś, gdy ktoś przeszkadzał na lekcji, lądował u dyra na dywaniku. Dziś szukamy przyczyn.

– A te są różne. Oczywiście są dzieci z różnymi diagnozami, takimi jak np. ADHD, którym jest trudno wysiedzieć na lekcji, nie potrafią się tak długo skoncentrować, szukają

sobie innego zadania i bywa, że to nie jest to, które przypada do gustu nauczycielowi. Ale też po prostu dzieci się nudzą, nie interesuje ich dany przedmiot, nie lubią nauczyciela, koleżanka albo kolega zagadał, rozśmieszył i to tę osobę zauważył nauczyciel, a nie gadującego. Czasem zwyczajnie na siódmej czy ósmej lekcji mają totalnie dosyć i najchętniej poszłyby na podwórko.

A same, bez nauczyciela czy wychowawcy, z czym przychodzą?

– Uczniowie i uczennice z klas 7 i 8, czyli osoby tuż przed wyborem dalszej ścieżki kształcenia, przychodzą i mówią, że rodzice już im zaplanowali przyszłość, ale im ten plan nie odpowiada. Niektórzy już mają swoje pomysły, inni wciąż szukają, ale łączą ich jedno – niezgoda na to, by rodzic kierował ich życiem.

I co otrzymuje taki uczeń w gabinecie?

– Wysłuchuję. Staram się zrozumieć. Proponuję rozmowę z rodzicem. Tłumaczę, że czasem, gdy jeden dorosły drugiemu dorosłemu powie, co ma na myśli jego dziecko, to jego słowa są odbierane poważniej niż słowa dziecka.

To rodzice nie biorą na poważanie planów swoich dzieci?

– Czasami nie.

Dlaczego?

– Bo myślą, że wiedzą, co jest dla nich lepsze. Czasem mają niespełnione marzenia i chcą, by dziecko je spełniło. Żeby miało dobrą przyszłość i dobry zawód, mogło w przyszłości zarabiać sensowne pieniądze. „Nie tak jak my”.

Co czuje takie dziecko?

– Smutek, a w pewnym momencie frustrację.

A gdy rodzic mimo rozmowy nie chce zrozumieć swojego dziecka?

– To może potęgować konflikty w domu. Dziecko może stracić zaufanie do rodziców. W skrajnych przypadkach taka niezrozu-

miana osoba przestaje sobie radzić z nadmiarem obowiązków, czyli godzeniem wymagań rodziców i chęcią spełnienia swoich pasji. W konsekwencji pojawiają się ataki paniki, a nawet depresja.

Jednak rodzic, dorosły to ktoś, kto coś już w życiu przeżył, ma inną, szerszą perspektywę. Może uchronić dziecko przed popełnieniem błędu, bo wie, że lepiej, niż zostać, powiedzmy, influencerem, wybrać poważne zajęcie.

– A dlaczego miałyby nie zostać influencerem?

Bo nie jest łatwo się przebić. Bo to bywa chwilowa kariera, bo pomysłów czy zainteresowania publiczności może wystarczyć na kilka lat, a potem co?

– Niezależnie od zawodu to, czy ktoś się przebije, czy nie, nie jest taką łatwą sprawą. Chodzi o to, czy dam dziecku szansę spróbować. Może ostatecznie to nie będzie jego praca na sto procent, może będzie sobie w ten sposób dorabiać, ale czy nie jest przyjemnie zarabiać na czymś, co się lubi robić?

Planowanie przyszłości przez rodzica to jedyny problem nastolatków?

– Skądże. Po izolacji wzrosła liczba osób, które się samouszkodzają – tną się, strzelają sobie z gumki na dłoni powodując rany, przypalają się, drapią. Pomysły są różne. Ale chodzi o jedno – by uszkodzić swoje ciało.

Co im to daje?

– Chodzi o odzyskanie kontroli, której nie mają. Próbuje mieć ją chociaż nad swoim ciałem. Ale robią to też po to, by pocuć ulgę.

Czują ulgę przez zadawanie sobie bólu?

– Krótkoterminową. Kiedy doświadczamy bólu psychicznego, a doznamy bólu fizycznego, oszukujemy mózg. Dostaje informację o bólu ciała, który za chwilę mija, i uznaje to za koniec bólu. I taki człowiek ma złudne wrażenie, że jakoś sobie z tym bólem psychicznym poradził.

I to naprawdę przez izolację?

– Dzieciom i młodzieży trudniej jest się odnaleźć w środowisku szkolnym: za dużo osób, hałas, klasy nie są tak zintegrowane jak wcześniej. W nowej szkole część osób w ogóle nie miała szansy się poznać, miały kontakt tylko na lekcjach zdalnych. Są wśród zupełnie obcych ludzi.

Samouszkodzenia można zaobserwować już u czwartoklasistów, czyli wśród dziesięciolatków. Gdy ja chodziłam do szkoły, to o takich sprawach słyszałam w gimnazjum i później.

Właściwie rok do roku wzrasta liczba osób między 13. a 18. rokiem życia, które podejmują próbę samobójczą. W 2019 było takich prób 905, w 2020 mały spadek, bo 814, ale w 2021 już 1411. Udało się aż 125 nastolatkom. A mówimy o próbach odnotowanych, zauważonych. Policyjne statystyki pocieszają, że przynajmniej młodsze dzieci nie próbują odebrać sobie życia.

– Bo od wystąpienia samouszkodzeń – które mogą być powiązane z depresją czy innymi problemami – mamy mniej więcej trzy lata, by zaradzić pierwszej próbie samobójczej. Więc gdy dziesięciolatek zaczyna się samouszkodzać i nie dostaje pomocy, nie ma reakcji ze strony rodziców i otoczenia, to mając lat 13, może podjąć pierwszą próbę samobójczą.

Czyli do targnięcia się na własne życie mogą doprowadzić zjawiska z naszej dorosłej perspektywy wcale nie drastyczne. Nie jakieś wielkie traumy, tylko brak zrozumienia, niemożność odnalezienia się w grupie, przebudźcowanie.

– Niezrozumienie to coś więcej niż tylko to, że dorośli nie rozumieją perspektywy dziecka, bagatelizują jego zainteresowania czy aspiracje. Chodzi o to, że często nie traktują poważnie tego, co dzieci mówią o swoich problemach. Mówią: „idź na dwór, pobiegaj”, „prześnij siedzieć przed komputerem, porozmawiaj z rówieśnikami”, „jesteś leniwy”. To najczęstsze teksty, które dzieci przywołują u mnie w gabinecie.

Rodzic gderający o spędzaniu czasu przed komputerem ma w pewnym stopniu rację, ale te pokolenia są inne, one weszły w życie ze smartfonem w rękę i tego nie zmienimy. Tak będzie wyglądał ich styl życia i porozumiewania się. One prowadzą relacje w sieci. Dla nich rozmowa na Snapchacie czy przeglądanie swoich Instagramów i wymienianie opinii jest tak samo autentyczne i społeczne, jak dla nas umówienie się z przyjaciółmi na kawę. Gdy odetniemy im sieć, zostają same.

Dzieciaki wierzą w to, co słyszą o sobie od rodziców?

– Tak, i przez to myślą o sobie jeszcze gorzej. Utwierdzają się w przekonaniu, że coś jest z nimi nie tak. Rzeczywiście jestem leniwy, nieogar, to moja wina.

Rozmowa z panią pomaga? I dzieciakom, i rodzicom?

– Chciałabym. Ale często pomoc, którą powinni uzyskać, wykracza poza to, co możemy zaoferować jako szkolni pedagodzy i psychologdy. Możemy spotykać się z uczniem regularnie, dać wsparcie, ale w szkole nie ma miejsca na psychoterapię.

Pracuje pani w szkole w Stawigudzie. To średnia gmina, sprowadza się tam klasa średnia, która szuka spokoju na wsi.

– Tak, często mam do czynienia z osobami, które w czysto ekonomicznym sensie stać na wsparcie dziecka. Jednak status ekonomiczny nie jest równoznaczny ze zrozumieniem i pogodzeniem się z tym, że dziecko potrzebuje psychiatry.

Psycholog został trochę odczarowany, a psychiatra w wielu osobach wciąż budzi lęk przed stygmatyzacją.

Dzieci i nastolatki, które trafiają do pani prywatnego gabinetu, mają takie same problemy jak te w szkole?

– Tak. Trudność w wyrażaniu emocji, obniżony nastrój, samouszkodzenia, nieumiejętność wyrażania złości objawiająca się agresją wobec otoczenia. Ale przychodzą też osoby – raczej młodzież niż dzieci – poszukujące swojej tożsamości płciowej. Chcą zrozumieć siebie, a ich rodzice chcą zrozumieć swoje dzieci. Zdarzają się, rzecz jasna, zaburzenia odżywiania, wtedy szukam specjalisty, który mógłby pomóc. Niestety, w Olsztynie jest ich mało, bo albo pracują z dorosłymi, albo mają pełne terminarze.

Pełne terminarze specjalistów dziecięcych i niewystarczająca kadra to w ogóle jest problem pomocy psychologicznej dla dzieci i młodzieży w naszym kraju.

– Jakis czas temu mówiło się, że władza umożliwi pediatrom zrobienie dodatkowej specjalizacji, by mogli pracować jako psychiatrzy dziecięcy. Ale zapadła cisza, a pomoc potrzebna jest tu i teraz.

Zdarza się, że dziecko czy nastolatek trafia do specjalisty prywatnie, ale zajmującego się osobami dorosłymi, bo tam są krótsze terminy.

To źle?

– Nie bez przyczyny są specjaliści od dzieci i specjaliści od dorosłych. Gdy dziecko lub nastolatek trafi do kogoś, kto na co dzień zajmuje się dorosłymi, mogą się nie do końca czuć, poczwąszy od poziomu języka, bo specjalista będzie używał innego słownictwa niż dziecko czy nastolatek.

I nie każdy specjalista od dorosłych rozumie w pełni percepcję czy sposób rozumowania młodszych ludzi. Znam sytuację, że psychiatra na głos przeczytał całą opinię od psychologa przy dziecku.

Możliwe, że dziecko, zważywszy na kompetencje językowe i poznawcze, jej nie zrozumie.

– Albo zapamięta wyrywkowo, że to i tamto jest z nim nie tak. Albo z fachowej terminologii zrozumie tyle, że jest „inne”. I będzie myślało o sobie jeszcze gorzej.

W dodatku, ponieważ specjalistów jest zbyt mało i są obłożeni, skraca się czas wi-

zyt. Bywa, że do 20-30 minut. W tak krótkim czasie psychiatra nie jest w stanie poznać pacjenta i jego problemu. Pierwsza wizyta powinna trwać minimum godzinę, półtorej. A jeśli nie da rady, to należałoby umówić w miarę szybko kolejną.

Kiedy pytałam, z czym przychodzą, nie wspomniała pani o zawodach miłosnych. Współczesne nastolatki nie przeżywają nieszczęśliwych miłości?

– Oczywiście, że przeżywają! Jak zawsze, zdarzają się zakochania nieodwzajemnione i odwzajemnione, które kończą się zerwaniem. Ale dziś zerwaniom towarzyszą chyba bardziej hardkorowe teksty: „jesteś nienormalna/y”, „nie będę twoim psychologiem”. Tak mówią do siebie siódmo- i ósmoklasiści.

Przerażające.

– Zupełnie czymś innym jest powiedzieć: „wiesz, ja jednak nie chcę mieć chłopaka/dziewczyny”, „jednak do siebie nie pasujemy” albo „wydawało mi się, że się zakochałam, ale to nie to”.

Nastolatki nie są na siebie wrażliwe?

– Czasami brak im empatii.

Wydawało mi się, że to młodsze pokolenie jest bardziej empatyczne. Dużo mówi się o tym, że dziś dzieciaki są bardziej samoświadome, wyczulone na cudze emocje, wiedzą, kiedy coś jest niefajne. Tłumnie idą w Marszach Równości, nawet gdy ich te sprawy nie dotyczą osobiście.

– Jednak nie każdy potrafi być empatyczny. Albo nie zawsze potrafi być empatyczny, za-



Nauczyciele nie dostają od państwa żadnej wskazówki, jak pomóc osobom, które nie czują się dobrze w swoim ciele. Ale można zacząć na tak podstawowym poziomie, jak zmiana imienia w dzienniku czy zwracanie się do kogoś takim zaimkiem, jakiego sobie życzy

leży to u niego od sytuacji. Albo nie potrafi wyrazić tego, o co mu chodzi.

Można by pomyśleć, że częściej dotyczy to chłopaków, ale dziewczyny też potrafią być okrutne. W stosunku do innych dziewczyn i do chłopaków. Tylko chłopaki robią to bardziej widowiskowo, pobijają się na korytarzu lub przed szkołą. Dziewczyny stosują agresję, którą trudniej zauważyć i trudniej udowodnić – podszepty, roztawianie ludzi po klasie, mówienie, kto z kim co może, a czego nie, kto z kim ma siedzieć, kto jest na topie, a kto nie. Taką agresję trudniej też zgłosić dorosłemu.

A jak te dzieciaki czują się w obecnym klimacie społeczno-politycznym? Kiedy słyszą o sobie, swoich kolegach czy koleżankach, że są „tęczową zarazą” albo „ideologią”?

– Na wychowaniu do życia w rodzinie pytają mnie, czy ja się nie boję z nimi o tym rozmawiać.

A boi się pani?

– Czasami tak.

Że ktoś doniesie dyrekcji?

– Nie tyle dyrekcji, ile kuratorium, które podlega nie samorządowi, ale ministrowi edukacji.

Głośno było o tym, że kuratorium kontroloowało olsztyńskie liceum, które zorganizowało u siebie „Tęczowy piątek”.

– I teraz w wielu szkołach dzieci chciałyby mieć „Tęczowy piątek”, ale dyrekcja się boi. A zadaniem dyrekcji jest także ochrona społeczności szkolnej. Niektórzy wychodzą z założenia, że lepiej jest głośno o pewnych sprawach nie mówić, ale działać w środowisku szkolnym tak, by tęczowym osobom było lepiej. Żeby niepotrzebny rozgłos

nie spowodował zablokowania wewnętrznych działań.

A o co pytają dzieciaki na WDŻ?

– O wszystko, co jest związane z seksualnością człowieka. O orientację seksualną i tożsamość płciową. Chociaż oficjalnie w tematyce przedmiotu takiej problematyki nie ma. Według programu WDŻ istnieje tylko kobieta i mężczyzna.

Którzy czują się mężczyznami i kobietami?

– I chcą stworzyć związek małżeński i mieć dzieci.

Dzieciaki mają dostęp do internetu, do szerokiej informacji. Mogą czytać o tożsamości, że można raz czuć się jednym, a raz drugim, że nie trzeba się określać albo że nie trzeba mieć dzieci. Mogą szperać.

– Teoretycznie tak. Ale jakoś tak się dzieje, że kiedy na lekcji pada pytanie dookoła tej tematyki, nagle wszyscy nadstawiają uszu i zaczynają się pojawiać pytania szczegółowe. Czy dwie dziewczyny mogą mieć dzieci? A dwóch chłopaków? A jak by to wyglądało? Odzywają się pojedyncze głosy, że u nas w kraju to niemożliwe. Pytają, jak to wygląda w innych krajach. Co to znaczy, że ktoś jest trans?

Młodzi ludzie słyszą pewne pojęcia, ale nie wiedzą, co one oznaczają, a internet jest chaotyczny, pełen sprzecznych, często radykalnych tez, postaw. Są dzieciaki poszukujące swojej orientacji, tożsamości, które szukają informacji w internecie, czytają, ale



Nauczyciele nie dostają od państwa żadnej wskazówki, jak pomóc osobom, które nie czują się dobrze w swoim ciele. Ale można zacząć na tak podstawowym poziomie, jak zmiana imienia w dzienniku czy zwracanie się do kogoś takim zaimkiem, jakiego sobie życzy

nie zawsze potrafią sobie to w głowie uporządkować. A jak usiądą z kimś, kto ogarnia te tematy i z nimi porozmawia, to te rzeczy stają się dla nich jaśniejsze. I łatwiej jest im określić to, co czują, i to, co o sobie myślą.

Nauczyciel wciąż jest autorytetem!

– Oczywiście. A dziecko z pytaniami, które go nurtują, potrafi pójść nie tylko do psychologa czy pedagoga szkolnego, ale też do jakiegokolwiek nauczyciela, który jest według niego „spoko”.

Dobrze, jeżeli ten „spoko” nauczyciel jest w stanie odpowiedzieć zgodnie ze stanem współczesnej nauki albo przynajmniej empatycznie, a nie językiem polskiego Kościoła katolickiego czy ministra Czarnka, bo wtedy może pojawić się problem.

– Tym większy, gdy ta osoba nie pyta teoretycznie, z ciekawości, tylko zaczyna odkrywać swoją tożsamość i nagle usłyszy, że jest kosmitą, że nie powinna istnieć. Wtedy może się zamknąć, unikać tematu. Nie bez powodu pierwsze osoby, które „o tym” się dowiadują, to znajomi i rodzeństwo, nie rodzice czy generalnie dorośli.

Niektórzy rodzice szczerze obwiniają siebie samych o to, że ich dziecko jest gejem, lesbijką czy trans.

– Inni sądzą, że ich dziecko coś opętało. Według niektórych osób orientacja i tożsamość są zakaźne, jak wirus.

A o modzie mówią?

– Tak. Spotykałam rodziców, według których teraz jest moda. Nie tylko na orientację i tożsamość, ale również na depresję, leki psychiatryczne i samouszkodzenia.

Nietolerancja i nienawiść zbierają żniwo. W ostatnich latach „Wyborcza” i inne

liberalne media opisywały historie młodych osób homoseksualnych czy transpłciowych, które odbierały sobie życie.

– To skrajne sytuacje, ale niestety się zdarzają. A nauczyciele jako ogół, grupa zawodowa nie dostają od państwa żadnej wskazówki, jak działać, by pomóc osobom, które nie czują się dobrze w swoim ciele. Ale też to nie żadna rocket science, można zacząć na tak podstawowym poziomie, jak zmiana imienia w dzienniku czy zwracanie się do kogoś takim zaimkiem, jakiego sobie życzy.

Imię w dzienniku można ot tak zmienić?

– Często jest tak, że np. dziewczyna ma na pierwsze Anna, a na drugie Mariola i woli drugie imię, tak się przedstawia i tak ludzie do niej mówią. Nikt nie ma z tym problemu. Dlaczego nie zrobić tak w przypadku osoby transpłciowej? Ale rozumiem, że pani pyta o formalności. Do dziennika można wpisać to imię, które sobie taka osoba wybrała.

Postawa nauczyciela to jedno. Ale są jeszcze rówieśnicy. Gdy chłopiec chce, by mówić o nim Marysia, to pewnie część klasy będzie skonsternowana.

– Dlatego zdecydowanie łatwiej byłoby, gdyby temat seksualności człowieka nie zależał od dobrej woli czy zaangażowania nauczyciela, tylko był w programie nauczania.

Kiedyś można było zaprosić stosowne organizacje, specjalistów, edukatorów.

– Dziś większość szkół nie podejmie takiego ryzyka.

Pani zdarzyło się, że uczeń chciał, by zwracano się do niego dziewczęńskim imieniem albo uczennica prosiła, żeby mówiono do niej jak do chłopaka?

– Oczywiście. I nauczycielom trudniej się do tego dostosować niż uczniom. Dzieci najpierw są zaskoczone, ale wchodzą w to.

Są bardziej otwarte.

– I elastyczne.

Z czego to wynika?

– Gdy dorastam w środowisku, które częściej i głośniej o czymś mówi, to staje się to dla mnie normą. A jeżeli żyłam w świecie, który dotychczas o czymś nie mówił i nagle zaczyna, to może być mi trudniej to zrozumieć i zaakceptować.

Ale, przepraszam za banal, to zależy również od wyniesionej z domu, z otoczenia, w którym się socjalizowało, indywidualnej otwartości i elastyczności na przyjęcie rzeczy, które mogą wydawać się nowe. Jeżeli nie rozmawiałem o czymś z rodzicami ani rówieśnikami, jeżeli nie rozmawia się o tym w moim środowisku – o sytuacji, że rodzina, a potem krąg rówieśniczy czy towarzyski są fundamentalistyczne, zamknięte, nietolerancyjne, jawnie homofobiczne i tak dalej, nawet nie wspominam, bo to oczywiste – to trudniej jest mi zaakceptować i zrozumieć zmiany. Niezależnie od wykształcenia.

Skoro młodzi są bardziej otwarci albo przynajmniej osłuchani z tematem, to mimo niesprzysięgającego państwa być może wytworzy się pozytywna masa krytyczna i wkrótce mało kogo będzie dziwiło, że Jaś chce, żeby mówiono do niego „Zosiu”. Ale czy to prawda, że już dziś młodzi wspierają swoich przyjaciół albo wręcz obce osoby, które nie są cisnormatywne, heteroseksualne, czy to tylko wyidealizowany obraz oparty na kilku elitarnych szkołach i środowiskach z największych miast?

– Sama znam takie przypadki. Uczniowie, jeżeli mają na to zgodę zainteresowanej osoby, uprzedzają nowo poznanych albo niezorientowanych ludzi, jak inni powinni się do tego kogoś zwracać. Jeżeli ktoś obraża, to reagują, starają się tę osobę bronić, poprawiają, gdy ktoś użyje niepoprawnych zaimków czy końcówek czasowników.

Są wrażliwsi niż wcześniejsze pokolenia? Bardziej czuli na drugiego człowieka?

– Z pewnością są bardziej otwarci na kwestie związane z orientacją i tożsamością, bo więcej o tym słyszą i więcej rozumieją. Ale to też nie jest tak, że starsze pokolenia są kompletnie zamknięte. Mamy przecież tęczowe babcie, które chodzą na Marsze Równości i wspierają młodych.

A co z klimatem, planetą i migracjami? Z mediów wynika, że młodzi bardzo przejmują się kończącymi się zasobami, ociepleniem, kryzysem migracyjnym.

– W tych kwestiach aktywniejsza jest młodzież od siódmej klasy w górę. Młodsze dzieci słyszą o tym, ale nie do końca rozumieją, no i z racji wieku w niektórych zachowaniach są bardziej frywolne czy chaotyczne. Młodsze dzieci bardzo się angażują w sprzątanie świata, zbieramy wiele worów śmieci, ale nie mija pół dnia, a dookoła wejścia do szkoły już fruwają nowe papierki, torebki, kawałki kanapek. W tym wieku myślenie przyczynowo-skutkowe nie jest w pełni rozwinięte.

Co jeszcze, rzecz jasna generalizując, można powiedzieć o współczesnych nastolatkach?

– Nic zaskakującego. Mają dużo elektronicznych gadżetów, są trochę gadżeciarzami.

Z jednej strony nos w telefonie, z drugiej otwartość.

– To się nie wyklucza. Dzięki tym gadżetom poznają ludzi, kontaktują się. Słyszę od dziewczyn: „Wie pani, ja najpierw pogadam z tym chłopakiem, zobaczę, czy nam się rozmowa klei, jak ze sobą piszemy, a później zdecyduję, czy chcę się z nim spotkać”. Można powiedzieć, że to taki etap randkowania.

Bez całego kontekstu otoczenia, sytuacji, mimiki, mowy ciała – nawet dla mnie, przecież z pokolenia, dla którego komputer, net i komórka to chleb powszechni, to trochę dystopijne.

– To prawda, między tym, jak z kimś piszę i jak z kimś rozmawiam, jest różnica i nawet nie trzeba tego definiować, to się czuje. Jednak taka ostrożność w kontaktach ma swoje pozytywne strony. Są badania, że zmniejszyła się liczba nastoletnich ciąż, bo rzadziej szybko dochodzi do kontaktu fizycznego.

Nastolatki nie są zainteresowane seksem?

– Są. Tylko że w inny niż tradycyjny sposób.

To znaczy?

– Zamiast się spotkać, można popisać na czacie, włączyć kamerkę. Nie trzeba się martwić o antykoncepcję ani o szukanie miejsca na seks.

Ale bez kontaktu rzeczywistego, cielesnego z drugim człowiekiem trudno zobaczyć to, co zasłania się przed okiem kamery, czyli wszelkie „niedoskonałości” ciała, trochę jak w porno, które też pokazuje odrealniony seks i cielesność. No i trudno przez kamerę nauczyć się reagowania na dotyk drugiego człowieka, np. jak tę drugą osobę dotykać, by nie sprawić jej przykrości czy bólu. Czy ten cyberseks nie utrudni im wejścia w rzeczywiste relacje romantyczno-cielesne?

– Jedną z podstaw kontaktu seksualnego jest komunikacja. Rozmowa przed seksem, w jego trakcie i po nim pozwala podzielić się oczekiwaniami, wyobrażeniami czy uzyskać informa-

cję o faktach, które pozwolą obalić domysły. Niezależnie od tego, czy widziemy się w kamerce, czy osobiście, za pomocą słów można dowiedzieć się tego, o czym pani mówi.

Owszem, dotyk jest ważny, nie tylko dlatego, że pozwala poznać ciało i reakcje, ale też dlatego – oczywiście mówimy o dotyku dobrym i za obopólną zgodą – że zwiększa poczucie szczęścia, zmniejsza stres i pogłębia więź. Ale seks przez internet już z nami zostanie jako sposób na poradenie sobie z brakiem możliwości spotkania twarzą w twarz. Byle tylko nie wyparł kontaktów bezpośrednich bądź nie wynikał z lęku przed bliskością. I tu ważną rolę odgrywa edukacja seksualna, danie młodym ludziom możliwości zdobycia wiedzy i otwartej rozmowy o seksie.

Rodzie gderający o spędzaniu czasu przed komputerem ma w pewnym stopniu rację, ale te pokolenia są inne, one weszły w życie ze smartfonem w rękę i tego nie zmienimy. Tak będzie wyglądał ich styl życia i porozumiewania się. One nawiązują relacje w sieci

Po takim cyberseksie mogą też zostać ślady – zdjęcie, filmik – które ktoś może wykorzystać.

– W tej sferze nigdy nie było i nie będzie sytuacji całkowicie bezpiecznych. Jak pani pyta o zagrożenia, to mi się przypomniało, jak podczas zajęć o komunikacji miejskiej z klasami 1-3 na pytanie, kto kasował bilet w autobusie, rękę podniosły dwie osoby. Reszta nigdy nie jechała autobusem, bo wszędzie wożą ich rodzice. Przybywa dzieci, które po szkole mogłyby iść do domu, ale zostają w świetlicy. Zmierzam do tego, że zagrożenia były, są i będą, tylko my, dorośli, jesteśmy jednocześnie bardziej świadomi, zaangażowani – i przestraszeni, bo media i serwisy społecznościowe na bieżąco donoszą nam o niemal każdym pobiciu, gwałcie, zaginięciu, wypadku.

Czyli mamy dzieciaki bardziej otwarte i mniej samodzielne. Jaka osoba dorosła wyrośnie z takiego dziecka?

– Może wyrosnąć na osobę, która nie wie, jak poprosić o pomoc, gdzie uzyskać informacje, jak poradzić sobie z codziennymi sytuacjami, takimi jak rachunki czy zakupy. Będzie czekała, aż ktoś ją wyręczy. Ale mówimy o skrajnej sytuacji, bo, jak zawsze, są i dzieciaki bardzo ogarnięte, i te, które zbuntują się i powiedzą rodzicom, że chcą same, po swojemu.

Ta niesamodzielnosć jest też skutkiem życia w pośpiechu. Dorosły coraz bardziej się spieszy, więc woli zrobić coś sam, żeby było załatwione, i leci do dalszych zadań. Będzie szybciej, jak zawiąże mu buty i zapnę kurtkę, będzie szybciej, jak je odwieżę, szybciej trafi do szkoły, szybciej będę w pracy.

Rozumiem, do czego pani zmierza. Rodzic też może znać podstawy

psychopedagogiki, ale jak na drugim końcu miasta nagle cztery terminy...

– Prawda. Jednak powinniśmy mieć w tyle głowy, że gdy nie umożliwiamy dziecku rozwijania autonomii, czyli samodzielności, to będzie rzutowało na jego całe życie, od sfery społecznej, przez zaradność, po wiarę w swoje umiejętności.

Gdy próbuję i doświadczam, mam okazję nauczyć się nie tylko tej konkretnej umiejętności, kompetencji, ale te przy okazji dowiedzieć się, że sobie poradzę. Że coś – cokolwiek, chodzi o mechanizm – może nie wyjść za pierwszym razem, ale spróbuję i w końcu wyjdzie. A jak nie wyjdzie, to mogę spróbować czegoś innego i wyjdzie.

A jeżeli jako dziecko dostaję komunikat, że nie jestem sam w stanie dojechać do szkoły, zrobić sobie kanapki, to może nie jestem w stanie sam zrobić innych rzeczy. Zaczynam myśleć o sobie, że może mam dwie lewe ręce. A potem mam wystąpić przed klasą, zagadać do kolegi, koleżanki. Ale jak? Więc unikam tej sytuacji albo próbuję, jednak już tak się boję, że mi nie idzie, że odczuwam to jako katastrofę i utwierdzam się w przekonaniu, że się nie nadaję.

A potem rodzic przychodzi i pyta, co ma zrobić, by jego dziecko było bardziej samodzielne, nie bało się wystąpić przed klasą, nie bało się pojechać do dziadków na noc. Trzeba więc, chociaż to niełatwe z wielu względów, pozwolić dziecku doświadczać.

Bardziej samodzielne dzieciaki zostaną dorosłymi odporniejszymi na to, co może spotkać ich w życiu? Wyrosną na ludzi, którzy poproszą o pomoc, gdy sobie z czymś nie będą radzić? Czy na odwrót – na ludzi, którzy uznają, że ze wszystkim muszą sobie poradzić sami, a prośba o wsparcie oznacza porażkę?

– Jeśli rodzic znajdzie balans, nie popadnie w drugą skrajność: „musisz sobie poradzić sam/sama”, to nie wykluczy umiejętności proszenia o pomoc.

Więc myślę, że wyrosną na osoby lepiej radzące sobie w kwestiach społecznych, otwarte na doświadczanie nowych sytuacji i elastyczniej myślące w spontanicznych okolicznościach, za-
radne. ●



*Katarzyna Grabia

● psycholożka i nauczycielka wychowania do życia w rodzinie w szkole podstawowej, prowadzi też prywatną praktykę dla dzieci, młodzieży i ich rodziców. Na Instagramie działa na rzecz pozytywnej seksualności i cielesności mężczyzn @meskiesprawy_pl. Sojuszniczka społeczności LGBTQIA+.

Poradnik „**Jak żyć z lękiem**” Marcina Matycha – Doktora Nerwicy oraz „**Bajka o lęku**” Agnieszki Jucewicz



W PONIEDZIAŁEK W „WYBORCZEJ”



1 PROROCY INSTAGRAMA. Reportaż Grzegorza Szymanika

2 JA UDAJĘ, ŻE STRZELAM, A BŁASZCZAK SPACERY PO POLIGONIE ROBI. Bartosz Józefiak z cywilami na treningu wojskowym

3 JAK ŻYJĄ DWA TYSIĄCE UCHODźCÓW Z UKRAINY W HALI PTAKA? Reportaż Aleksandry Szyłto

Między muzeum i śmietnikiem

Jeśli istnieje gdzieś absolutna monogamia – poza fantazjami kościoła – to u zbieraczy porcelany

JACEK DEHNEL



Jeśli na jednym końcu skali umieścimy muzea, gdzie ludzkość umieszcza swoje najcenniejsze, najpiękniejsze dzieła, a na drugim – śmietnik, gdzie wyrzuca najbrzydsze i najmniej udane (z tym zastrzeżeniem, że na śmietnik trafia niejedno arcydzieło i niejedno paskudztwo możemy znaleźć w muzealnych salach), to pchle targi, sklepy ze starociami, antykwiariaty mieszczą się gdzieś pośrodku. Te najpocześniejsze, w eleganckich dzielnicach metropolii, są bliżej muzeów, weekendowe bazy – z pewnością bliżej śmietników.

Ci, którzy mówią, że „ludzie sami najlepiej wiedzą, co zrobić ze swoim życiem” czy „swoimi pieniędzmi”, powinni się koniecznie przejść na bazar i przejrzeć zawartość kartonowych pudeł. Owszem, wynaleźliśmy koło, maszynę parową i komputer, ale estetycznie historia ludzkości jest historią porażek. Zwłaszcza historia ostatnich stu pięćdziesięciu lat, kiedy to powszechna mechanizacja i industrializacja pozwoliła produkować ohydę w ilościach przemysłowych; stolarz mógł zrobić brzydkie krzesło, dziesięć krzeseł, niechby i setkę przez swoje długie życie – fabryka trząsała ich dziesięć tysięcy. Garncarz? Nie święci garnki lepią, a czasem i nie esteci, ale z linii produkcyjnej zjeżdża szpetnych miseczek w kształcie słonia setka na minutę.

Nigdy nie rozumiałem kolekcjonowania porcelany. Najgorsze wydawało mi się zawsze zbieranie figurek: przedmiotów niesłużących niczemu, które w teorii mają zdobić, a w praktyce na ogół szpecą. Ale wzdychanie nad sewskimi serwisami i talerzykami Rosenthala też niezbyt rozumiem. Tak się jednak złożyło, że ostatnio zacząłem zwracać na nią baczniejszą uwagę – po pierwsze dlatego, że przez ostatnie trzy lata piszę książkę, w której porcelana odgrywa ważną rolę, a po drugie dlatego, że moja koleżanka zbiera filiżanki.

Wielkie meczyje, powiecie. No jasne, moja mama też pije herbatę i ładna filiżanka to prezent, który zawsze ją ucieszy – ale Małgosia ma tych filiżanek setki. I nie jest to retoryczna przesada. Kiedy ze trzy lata temu rozmawialiśmy o tym po raz pierwszy, było ich z pięćset, a teraz, po pan-

demii, w której kupowanie na aukcjach internetowych stało się dla niektórych z nas główną życiową rozrywką, jest ich koło tysiąca. A że Małgosia zbiera wyłącznie mokki, po francusku nazywane demitasse, czyli maleńkie filiżanki do espresso, i to najchętniej wytwórni niemieckich, to przychodzą do mnie i raz na kilka miesięcy jadę do Warszawy z osobną walizką pełną kruche- go ładunku poowijanego w ligninę.

I tak, od słowa do słowa, jakoś się wciągnąłem. Nie, nie w kupowanie; raczej w przeglądanie. Zerkam więc sobie na te filiżanki, często tak brzydkie, że – jestem pewien – lepiej wyglądały w ziemi jako glina kaolinowa, ale czasem przecież w ten czy w inny sposób ładne. Moje spojrzenie nie jest spojrzeniem kolekcjonera: nie przeszkadzają mi wyszczerbienia czy cieniutkie pęknięcia, nie dbam za bardzo o sygnatury. Nie czynię rozróżnienia między kosztownymi cackami, na które mogły sobie pozwolić tylko hrabiny, a prostymi naczyniami, które stały kiedyś na kredensie u krawcowej. Wreszcie nie dbam o pary. Jeśli bowiem gdzieś jeszcze – poza fantazjami prawicy i kościoła – istnieje absolutna monogamia, to w świecie zbieraczy porcelany. Filiżanka i spodeczek stanowią nierozdzielny całość, jeśli jedno z nich się stłukło, drugie staje się niemal zupełnie bezwartościowe, a zastąpienie go podobnym stanowi straszliwy grzech, którego nikomu się nie wybacza.

Mnie wystarczy przyglądanie się kształtom, wzorom i kolorom. Zdobne na sposób tandetny i wyrafinowane, proste szlachetnie i prostackie. Wyobrażam sobie, czy są poręczne, jak układają się w dłoni. Filiżanka bowiem jest przedmiotem intymnym: trzymana w palcach kursuje do warg – wszystko to są regiony wrażliwe, bliskie, czule.

Filiżanek z napisami Małgosia nie lubi, a ja – bardzo. Najczęściej upamiętniają osoby, którym służyły: E albo O wypisane gotykiem czy fantazyjną kursywą. Imiona, czasem nazwiska: „Elise Ahrens”, „G.F. Ohle”, „Käthchen Hess”. Lub mniej precyzyjne (oczywiście tłumaczę z niemieckiego): „Dziadek” czy „Dla pani domu”. Inne powstały z jakiejś okazji: „Na urodziny”, „Na szczęśliwą uroczę” albo „Na

pamiątkę”, choć dziś nikt już nie wie, czego to była pamiątka, czyje urodziny, przy czym stole ucztowano.

Te trzy jednak ujęły mnie szczególnie, aż przez chwilę zastanawiałem się, czy nie kliknąć na każdą „Kup teraz”, żeby zawinięte w folię bąbelkową trafiły do mnie.

Na pierwszej po obu stronach wiązanki malowanych kwiatów: „Elisabeth i Paul”, a na spodeczku: „Dla milej. 1841”. Kim dla siebie byli? Czy to Paul sprezentował ją milej Elisabeth? Czy oboje ofiarowali ją komuś innemu? Córcie? Przyjaciółce? Czy więcej niż dwa serca były tu pod gorsetami i kamizelką?

Drugą ozdabiają dwie zerwane beżowe wstążki, różyczki w kolorze, rzecz jasna, różowym oraz złota girlandka. Na wstążkach widać dwa napisy: „Więzy miłości” i „Nie zapomnij mnie”.

Trzecia, najprostsza, biała z dobieranym, o zgrozo, talerzykiem ma tylko drobną złotą dekorację: dwie skrzyżowane gałązki palmowe, a nad nimi napis: „Z miłości”.

Ci, którzy je zamawiali, przynosili starannie zapakowane w prezencie i patrzyli, jak ukochane dłonie rozwijają papier, ci, którzy je dostawali, czując rumieńce wychodzące na policzki, nie żyją. Cale ich istnienie, to, co czuli, na co mieli nadzieję, zostało wymazane na zawsze: jednak wypisane na nietrwałej, kruchej porcelanie jest sobie dalej, zupełnie jakby miłość mogła trwać po śmierci tych, których łączyła.

Prawie siedemdziesiąt lat temu angielski poeta Philip Larkin odwiedził ze swoją ukochaną pewną katedrę i zobaczył XIV-wieczny nagrobek małżonków trzymających się za ręce. Dziś nie żyje ani on, ani jego ukochana. Ale istnieje dalej wiersz, który wówczas napisał, kończący się słowami:

„...tylko miłość z nas zostanie”. ●

KIEDY PRAWICA UMIAŁA ROZMAWIAĆ

Semka z Niesiołowskim, Gmyz z Mazurkiem, Kania z Bielik-Robson.
W jednej gazecie

Jest koniec lata 1997 r. – kraj podnosi się z wielkiej powodzi i szykuje na wielką zmianę. Do władzy prze centroprawica, czyli „obóz posierpniowy”. Jego liberalne, inteligenckie i wielkomięskie skrzydło to Unia Wolności, bardziej konserwatywne i „swojskie” to Akcja Wyborcza „Solidarność”. Polityków obu formacji wciąż wiążą dawne opozycyjne przyjaźnie, ale także wiele dzieli. Teraz jednak razem chcą odebrać władzę postkomunistycznej lewicy i chłopom.

SLD ma jednak wciąż spore poparcie i bardziej zagrażają mu błędy rządu popełnione w czasie powodzi niż hasła konkurencji. „Życie”, centroprawicowy dziennik Tomasza Wolka, prowadzi w sierpniu kampanię wymierzoną w Krzysztofa Szamałkę, głównego geologa kraju, który w Ministerstwie Środowiska kieruje walką ze skutkami powodzi. Gazeta wypominała mu, że za PRL organizował bojówki rozbijające spotkania Towarzystwa Kursów Naukowych. „Na takich ludzi stawiała niegdyś PZPR, takich wciąż forytuje PZPR” – pisze Wolek.

Trzy tygodnie później gazeta odpala ładunek o większej mocy. Pisze, że prezydent Aleksander Kwaśniewski spędzał w 1994 r. wakacje z Władimirem Alganowem, rosyjskim szpiegiem, który wcześniej jakoby prowadził Józefa Oleksego.

W kontekście bliskich wyborów atak na najpopularniejszego człowieka lewicy nie wydaje się przypadkiem. Wolek, zapowiadając tekst Rafała Kasprowa i Jacka Łęskiego, przyznaje: „Mogą powstać wątpliwości, czy robimy to we właściwej chwili. Żaden czas nie jest z tego punktu widzenia idealny, ani przed wyborami, ani też po wyborach”. I podkreśla: „Nie szukaliśmy żadnej sensacji. Nikogo nie osądzamy. Nie ferujemy pochopnych wyroków”.

Wolek pamięta, że gdy premiera Oleksego oskarżono o konszachty z Alganowem po wyborach prezydenckich 1995 r., podnoszono, iż polskie służby źle zrobiły, zwlekając do ich rozstrzygnięcia. Jednocześnie zaniedbuje weryfikację sensacyjnych informacji, a może zbyt ufa przynoszącym je dziennikarzom...

„Życie” po latach musiało przeprosić Szamałkę i Kwaśniewskiego, ale Wolek, deklarując obywatelskie poczucie misji gazety, był szczery. Jego podejście do dziennikarstwa, choć niewolne od warsztatowych błędów i brawury, a może nawet politycznego zacietrzewienia, pozbawione było koniunkturalizmu.

– „Życie” powstało nie w wyniku analizy rynku, ale z przekonania redaktorów chcących robić rzetelną, centroprawicową gazetę – mówi Aleksander Hall, wieloletni przyjaciel Wolka, wtedy polityk, dziś wykładowca akademicki.

Gazeta miała jednak swoją prehistorię. Wolek do niedawna kierował „Życiem Warszawy” – odszedł, gdy Kwaśniewski został prezydentem, a gazeta miała zmienić właściciela. Pozyskał inwestorów i założył własny dziennik. Było więc „Życie” może już ostatnią gazetą, która narodziła się w wyniku kawiarnianych dysput grupki intelektualistów. Był to poniekąd romantyczny zryw. Artykuły zaś były efektem pasji i poglądów redaktorów, a nie contentem dopasowanym do potrzeb targetu. W tym sensie dziennik Wolka to prawnicowy odpowiednik „Wyborczej”, która narodziła się w przedszkolnej piaskownicy.

W pierwszej ekipie „Życia” znalazło się sporo podwładnych Wolka z poprzedniej redakcji. Wśród nich Piotr Pytlakowski.

– Nasze pójście za Tomkiem było nie tyle gestem solidarności, ile sprzeciwem wobec zmiany właściciela, której się baliśmy. Naszym celem było dobre dziennikarstwo, nie precyzowaliśmy konkretnie ideologii, choć oczywiście było jasne, że z lewicą „Życie” nie będzie miało wiele wspólnego – mówi Pytlakowski, który kierował działem reportażu.

W „Życiu” pracowali lub publikowali w różnych okresach Robert Krasowski, Piotr Zaremba, Cezary Michalski, Robert Mazurek, Jan Wróbel, Piotr Skwieciński, Piotr Semka, Cezary Gmyz, Dorota Kania oraz Tomasz Wróblewski (od 1998 r. jako wicenaczelnny). Wszyscy kojarzeni z prawicą.

Pismu nieobce były też prawdziwie prawicowe rozterki. Na przykład Andrzej Horubała próbował z pewnością nieśmiałością bronić muzyki rockowej. Pytał siebie i czytelników: „Czy rock może być zbawiony?”, i drażył temat, pytając, czy da się łatwo zapomnieć o źródłach kulturowych rocka streszczających się w hasle „sex, drugs and rock’n’roll”. Odpowiedź pozytywną dawała grupa 2TM 2.3. „Potężne brzmienie gitar i łomot perkusji ma być adoracją mocy Bożej” – czytamy. Zaś transowy rytm ma pomagać w modlitwie. Jeden z muzyków zespołu zapewniał, że tak wypełnia się papiński apel o nowy język Ewangelii.

„Życie” ruszyło jesienią 1996 r. Gdy przegląda się tamte numery, widać, że – pomijając ówczesne realia – gazeta nie dysponowała bogactwem środków pozwalających na efektowną szatę graficzną czy sieć zagranicznych korespondentów. Ale miała aspiracje.

Choć nakład sporo przekraczał 100 tysięcy egzemplarzy, to daleko było „Życiu” do półmilionowej „Wyborczej” czy 250-tysięcznej „Rzeczpospolitej”. Bliżej do „Trybuny”. „Życie” jednak dorównało „Życiu Warszawy” i znacznie wyprzedzało „Gazetę Polską”.

– Redakcja mieściła się na rogu alei Jana Pawła II i „Solidarności”. To było fajne miejsce. Mieliśmy sporo zapалу, by budować wszystko od zera – wspomina Pytlakowski.

Z Wolkiem do „Życia” przeszedł także Bronisław Wildstein – jako wicenaczelnny. Przygarnęło ono też wspomnianych wyżej tzw. pampersów, czyli młodych gniewnych prawicy, którzy wcześniej pracowali w telewizji, ale po zwycięstwie lewicy wylecieli.

Dziś może wydawać się dziwne, że Pytlakowski, który po kilkunastu miesiącach przeszedł do „Polityki”, pracował z Wildsteinem, wpływowym publicystą prawicy, ale takich nieoczywistości było więcej. Hall podkreśla, że u Wolka publikowało wielu ciekawych dziennikarzy i publicystów niekoniecznie prawicowych.

Można np. na łamach „Życia” znaleźć tekst-przepowiednię Bartłomieja Chacińskiego, wedle której telewizja komercyjna zmierzy się z inwazją japońskiego filmu animowanego. Dziś Chaciński też pracuje w „Polityce”. W „Życiu” pod okiem Pytlakowskiego zaczynali m.in. Grzegorz Sroczynski i Agnieszka Rybak. Jako młody krakowski korespondent nazwisko wyrabiał sobie Marek Baławajder – znany dziś z Radia RFM i licznych nagród dziennikarskich. Teksty z Londynu nadsyłał Dariusz Rosiak.



Pytlakowski: – Tomek dawał nam wiele swobody. W pracy był wyrozumiały – zupełnie inaczej niż na boisku, gdzie przeistaczał się w diabła...

„Życie” dbało o pluralizm, choć głównie po prawej stronie. Nie brak było w nim tekstów ludzi związanych z Unią Wolności, ale tych z SLD rzadziej wpuszczano na łamy.

Czytelnik mógł przeczytać płomienną obronę Radia Maryja pióra Marka Jurka, ale także tekst Jerzego Jedlickiego krytykującego pomysły dekomunizacji. Gdy Wildstein pisał o gorszącym spektaklu mistyfikacji z udziałem postkomunistów i wielu dawnych opozycjonistów, którego istotą jest „zatarcie różnicy między katem a ofiarą”, Jedlicki zastanawiał się, o co mu chodzi. Odpowiedź brzmiała – chodzi o demichnizację. „W oczach Wildesteina Michnik jest »klasykiem takich poglądów«, które prowadzą do przedłużenia obowiązującej mocy praw PRL-u” – pisał Jedlicki. Jeszcze bardziej ideę rozliczania krytykował Krzysztof Wolicki – do 1967 r. członek PZPR, a potem współpracownik opozycji demokratycznej: „Obsesja oczyszczenia świadczy o chorobie, zwanej kombatancką. Kombatant pragnie, by po kraju chodzili: odznaczeni, zawstydzeni i pokutnicy. I żeby chodzili tak możliwie długo”.

Publicystyka gazety oddawała wszystkie nastroje panujące na prawicy. Wolek publikował teksty, z którymi się nie zgadzał. Na początku 1997 r. Piotr Semka pisał, że właśnie minął rok, gdy Lech Wałęsa przestał odgrywać kluczową rolę w polskiej polityce i był to pierwszy „od dawna rok, w którym na prawicy przeważa zgoda a nie destrukcja. To nie przypadek”.

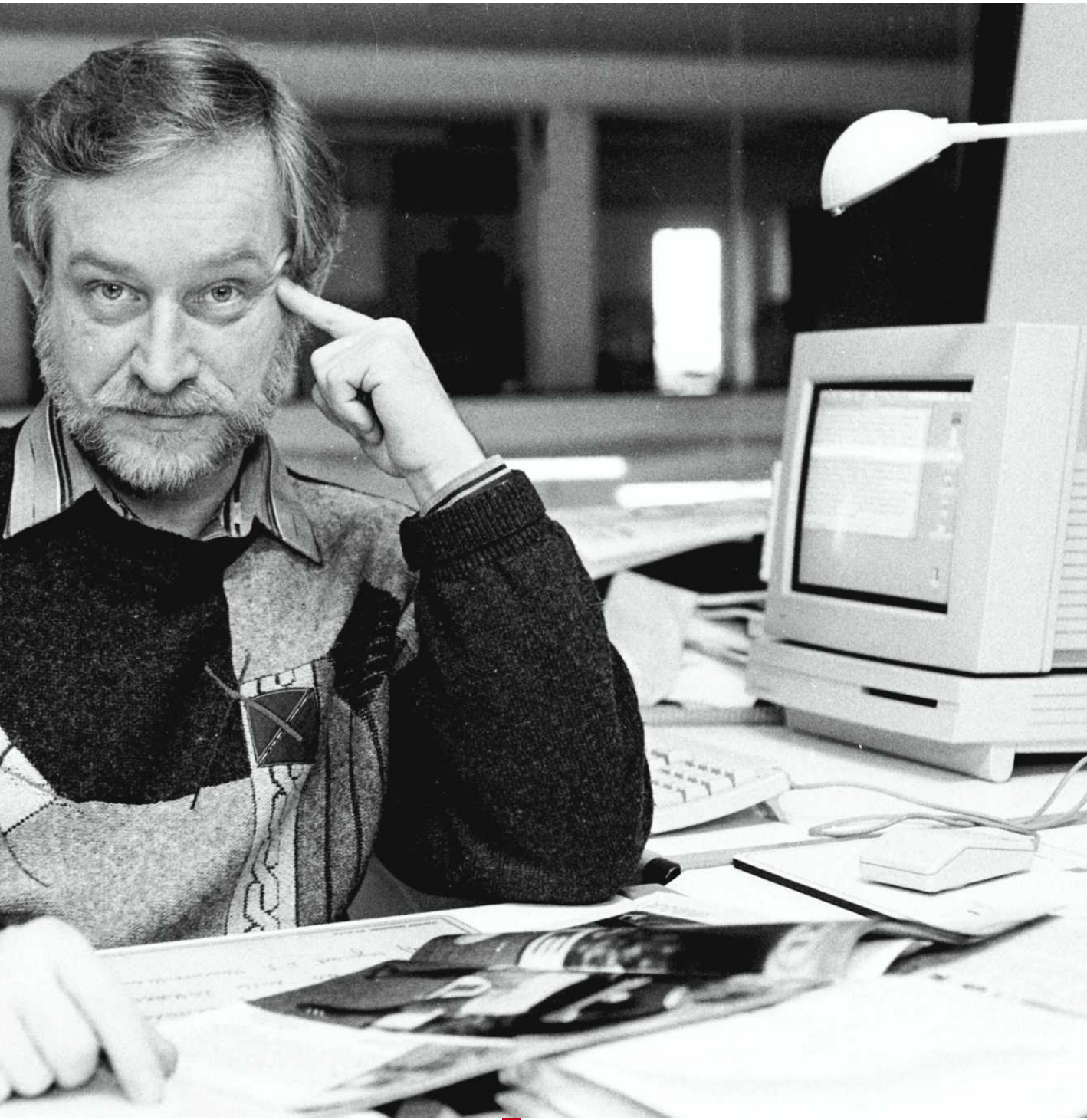
Szef „Życia” poczuł powinność, by stanąć w obronie Wałęsy. Zarzucał Semce, że analizę politycznych kroków byłego prezydenta utkał „z podejrzeń i nieufności”. „Właściwie Semka ma Wałęsę za złe niemal wszystko” – pisał i szydził: „Konszachty eksprezidenta ze środowiskiem »lewicy laickiej« tropi Semka nieustępliwie”.

Takimi konszachdami miałyby być wizyta Wałęsy w redakcji „Tygodnika Powszechnego”, podczas któ-

ANDRZEJ
BRZEZIECKI*



FOT. GRZEGORZ ROGIŃSKI/REPORTER



Wildstein w „Życiu”:

„Jeśli analizujemy, co dzieje się w skali globalnej, to okazuje się, że zachodnia liberalna demokracja jest rozwiązaniem optymalnym.

Na całym świecie ludzie głosują za tym modelem nogami, starając się zamieszkać w granicach tych państw”

rej Lechu przeprosił Jerzego Turowicza za awanturę sprzed kilku lat. Wolek pytał, czy redakcja katolickiego pisma to rzeczywiście „lewica laicka”. Wymieniał też wielu centroprawicowych polityków UW, jak Tadeusz Mazowiecki czy Hanna Suchocka, i podsumowywał: „Zdaje się, że Piotrowi Semce wszystko, co odlegle od jego ideowych sympatii, kojarzy się z okropną »lewicą laicką«...”

Semka trafił jednak w najważniejszy wówczas problem prawicy – kwestię jedności, a co najmniej współpracy. Z tym było źle – formacja ta słynęła z kłótniowości prowadzącej do porażek wyborczych.

W pierwszych miesiącach „Życia” konserwatysta Ryszard Legutko konstatawał: „Pytanie o polską prawicę stawiała najczęściej ona sama. Wyróżniało ją to na tle innych orientacji i dowodziło braku dobrego samopoczucia”.

Nawet perspektywa dobrego wyniku AWS nie zapowiadała zmiany na lepsze. Ostro to widział Piotr Skwieciński w lipcu 1997 r.: „Zdobycie przez prawicę znaczącej reprezentacji parlamentarnej oznacza petryfikację jej obecnego stanu. A dopóki w polskiej prawicy nie nastąpią jakościowe, realne zmiany, nie uda jej się zmienić Polski. Bo nie zdoła uczynić tego formacja dająca powody, by traktować ją jako mieszaninę cyrku z szambem”.

Domaganie się jakościowej zmiany być może było też wołaniem o zmianę pokoleniową. Później Wolek twierdził, że Skwieciński starał się wówczas o miejsce na liście wyborczej.

Na niechęć starej prawicy do młodego pokolenia utyskiwał w „Życiu” także lider „pampersów”, niedawny prezes TVP i współtwórca AWS, 35-letni Wiesław Walendziak. Zaś Rafał Ziemkiewicz, związany z „Najwyższym Czasem” i „Gazetą Polską”, wdał się w spór ze Stefanem Niesiołowskim. Niesiołowski bronił swego pokolenia, którego sposób uprawiania polityki Ziemkiewicz nazywał „odrażającą groteską”.

Robert Krasowski, sekretarz redakcji, w 2001 r. nazywał większość polityków prawicy, niezależnie od wieku, cynikami albo ofermami. Asumpt dał mu ich stosunek do korupcji. Krasowski przekonywał, że prawica walkę z nią wyciąga na sztandary, ale wcale jej nie prowadzi: „Wy nie walczyście z korupcją. Wy po prostu nie potraficie uprawiać polityki inaczej niż jako moralnej krucjaty”.

Głównym adresatem tej krytyki był Mariusz Kamiński, który „jako lider Ligi Republikańskiej przez lata obrzucał Polskę antykomunistycznymi ulotkami i ożywiał manifestacjami, ale poza skojarzeniem antykomunizmu z chuligaństwem nie odnotował żadnych sukcesów”.

Różnorodności poglądów na ówczesnej prawicy świadczy zarzut Ziemkiewicza pod adresem Niesiołowskiego, iż jego tekst współgrał z artykułami „pisemka Antoniego Macierewicza”. Ziemkiewicz krygował się: „Przepraszam, że wspominał o nich tutaj, ale ich styl i poziom wykluczają słanie polemik do gazety, w której zostały zamieszczane”. Gdy zaś Krasowski chciał dopieć Piotrowi Zarembie, który z „Życia” odszedł, by pracować w „Nowym

Państwie”, wytykał mu „rutynowe hołdy składane liderom PiS (czyli właścicielom pisma Zaremby)”. Pismo wydawała spółka Srebrna, założona przez polityków Porozumienia Centrum, poprzednika PiS.

Od innej strony podszedł Igor Zalewski, opisując kręcące się wokół prawicy osoby niezrównoważone, które miały przylgnąć do niej jeszcze w czasach antykomunistycznej opozycji. Teraz politycy przekonywali, że nie wariactwo, lecz brak przygotowania jest problemem, bo ludzie niezrównoważeni choć aktywni i widoczni, rzadko docierają na polityczne szczyty. Jednakowoż „Jarosław Kaczyński od wielu lat, w czasie każdej demonstracji, prędej czy późnej czuje na sobie uścisk rosłej kobiety, która ma w zwyczaju brać go pod rękę i towarzyszyć mu w pochodzie”.

Czy kobieta ta w polskiej polityce dokąds dotarła? Tego chyba już się nie dowiemy.

Sukces AWS i UW Wolek przyjął na łamach z radością. Centroprawicowy rząd był spełnieniem jego marzeń. Gdy Jarosław Kaczyński sprzeciwiał się powierzeniu Hannie Suchockiej resortu sprawiedliwości, Wolek oskarżał go, że wkłada kij w szprychy. Gdy Unia w końcu opuściła rząd, on sam i inni publicyści znów wrócili do ulubionego zajęcia, czyli oskarżania jej liderów o konszachty z postkomunistami. Semka dodał jeszcze, że siła agresywnej UW wykuwana jest wstępniakami „Wyborczej”.

Polityczne spory były jednak tłem dla bardziej poważnych debat. W czasach, gdy każda dyskusja zdominowana była książką Samuela P. Huntingtona „Zderzenie cywilizacji”, i w „Życiu” nie mogło zabraknąć tekstów na ten temat. Już wtedy dawały o sobie znać powątpiewania w jakość zachodniej cywilizacji i obrona wartości. Cezary Michalski obawiał się, że postulat neutralnego światopoglądowo państwa przeradza się w ideę neutralnej światopoglądowo cywilizacji – w imieniu której do walki o zneutralizowanie rodzin, szkół i Kościołów ruszyły „zastępy ochotników uzbrojonych w coraz dziwniejsze instrumenty prawne oraz w postulat absolutnej wolności i autonomii jednostki”.

„Polityka neutralna światopoglądowo jest wątpliwym pomysłem. Jeśli bowiem nie mamy systemu wartości i nie chcemy, by był realizowany przez instytucje władzy, to po co w ogóle zajmować się polityką?” – zamartwiał się.

Michalski „sprawy sumienia” nazywał centralnym problemem polityki. Trudno powiedzieć, czy Michalski późniejszy z „Krytyki Politycznej” i „Newsweeka” był zachwycony, gdy instytucje władzy zaczęły wreszcie realizować ów system wartości.

Zupełnie inaczej sprawy widział Wildstein. Omawiając książkę Michalskiego „Powrót człowieka bez właściwości”, młodszego kolegę porównywał do niedojrzałych kontestatorów i lewicowych maksymalistów etycznych, którzy „chorzy na wrażliwość” sprzeciwiali się złu w świecie i w efekcie odmawiali akceptacji świata. Tacy ludzie szukali doktryny, która obiecywała eliminację zła, „a przy okazji odpowiedzialnej za owo zło cywilizacji”.

Wildstein sprzeciwiał się takiemu zero-jedynkowemu myśleniu. W innym tekście przestrzegał przed rewolucjami. „Rewolucja nie buduje, a niszczy” – pisał jeden z heroldów późniejszej moralnej rewolucji. Wtedy nazywał rewolucję rozwiązaniem antycywilizacyjnym. „Nie żyjemy już w PRL” – oznajmiał. Choć przyznawał, że rewolucja w Polsce nie została dokończona, a kraj opłotła postkomunistyczna oligarchia, to „jednak jest to kraj demokratyczny, rozwijający się. Kraj, w którym można uprawiać politykę”.

Gdy Polska wciąż negocjowała warunki przystąpienia do Unii Europejskiej, wielu nurtowało pytanie – do jakiej zachodniej cywilizacji właściwie aspirujemy. Odpowiedzi były różne.

Zmarły w 2013 r. publicysta Paweł Paliwoda pisał na początku 1997 r., że myśl polityczną Zachodu zdominowało „myślenie słabe” i pacyfizm, które podkopują „dziedzictwo europejskiej filozofii, teologii i klasycznego republikanizmu”.

Wątpliwości, czy Polacy są świadomi, co oznaczać będzie wejście do Unii, zgłaszał politolog Marek A. Cichocki, późniejszy doradca prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Przestrzegał, że nadzieja, iż integracja oznaczać będzie bezbolesną i automatyczną modernizację, może się okazać płonna. „Polska sama musi dokonać zmian, inaczej stanie się peryferią” – pisał. I dodawał, że dla Francuzów i Niemców UE to jednak wspólna koncepcja, zaś dla Polaków jest to konstrukcja obca, w dodatku zmierzająca w kierunku federacji: „We współtworzeniu tej struktury nie będziemy mogli uczestniczyć jeszcze długo, za to w praktyce będziemy musieli się do niej dostosowywać”. Kiedy indziej stawiał przed Polską dylemat – być w centrum

czy na peryferiach Europy? Każda z tych opcji miała według niego zalety i wady, a przede wszystkim wymagała innego podejścia. Bycie w centrum wymagała bliższa współpraca z Berlinem.

Jeśli Unia była zmaterializowaniem idei liberalnej demokracji, to Wildstein nie miał z tym problemów: „Jeśli analizujemy, co dzieje się w skali globalnej, to okazuje się, że zachodnia liberalna demokracja jest rozwiązaniem optymalnym. Na całym świecie ludzie głoszą za tym modelem nogami, starając się zamieszkać w granicach tych państw. To samo odnosi się do Polaków”.

Mniej optymistycznie na przyszłość Zachodu patrzyła Agata Bielik-Robson. Obawiała się ideologicznego fanatyzmu rosnącej tam w siłę nowej lewicy. W Polsce także dostrzegała niszczącą język sfery publicznej działalność ideologów z antyfaszystowskiego stowarzyszenia Nigdy Więcej oraz feministek. Widziała w tym „czarną pedagogikę”. Feminizmu Bielik-Robson nie lubiła, tak jak nowolewicowej „Wyborczej”, która głosu udziela tylko „koncesjonowanym »bezpiecznym« konserwatystom i kilku potulnym katolikom z »Arki Noego«”.

Właściwie zawsze mieliśmy »pod górkę«, nieustannie borykając się z rozmaitymi problemami. Już na starcie nie wrózono »Życiu« długiego życia. A jednak przetrwaliśmy ciężkie czasy” – pisał w sierpniu 2001 r. Tomasz Wolek, gdy odchodził z funkcji redaktora naczelnego.

Jednym z problemów były procesy wytaczane przez polityków, o których traktowały materiały śledcze. Starcie z prezydentem Kwaśniewskim było wyczerpujące. Reklamodawców nigdy nie było wiele, z czasem ubywali. Wolek opowiadał w „Pressie”, że wprost mówili, iż boją się dawać reklamy z powodu procesu.

Czy więc wymuszone przez wydawcę odejście Wólka w przeddzień spodziewanego zwycięstwa SLD było przypadkowe?

Wolek, przewidując proces, zapowiadał jeszcze 1997 r., że na sali sądowej redakcja stawi się z „podniesionym czołem”, ale materiał, który zebrali Łęski i Kasprów, miał braki pod kątem sprawdzenia informacji i wiarygodności świadków. Adwokat Kwaśniewskiego podnosił, że w czasie, gdy bawił nad Bałtykiem Alganow, przyszedł prezydent był w Irlandii.

– Tomek wysłał mnie do Cetniewa, bym zwerifikował różne informacje. Udało mi się znaleźć człowieka, który widział na korcie Kwaśniewskiego w czasie, gdy ten miał być za granicą – mówi Pytlakowski. Opublikował tekst „Tenisowe wakacje w Cetniewie” o tym, jak Kwaśniewski miał grać z wpływowym biznesmenem Zbigniewem Niemczyckim. Pytlakowski zresztą w 1994 r. przypadkiem był w Cetniewie i widział lidera lewicy, co zeznał. Sąd dał jednak wiarę Kwaśniewskiemu i dowodom jego pobytu w Irlandii.

Być może zrażony pochopnym odpaleniem „Wakacji z agentem” Wolek odrzucił wówczas jako prowokację inne oferowane „kwity” na prezydenta – w tym rzekomą zgodę Kwaśniewskiego z 1983 r. na współpracę z radzieckim wywiadem.

Życie” powoli traciło znane nazwiska, w redakcji od dawna nie było już Wildsteina.

– Jeszcze w czasach „Życia Warszawy” Wolek pytał mnie, co sądzę o jego zatrudnieniu. Odparłem, że jest zdolny, pracowity i może być z niego duży pożytek, ale nie będzie z nim łatwo ze względu na bezkompromisowy charakter – mówi Henryk Woźniakowski, wówczas prezes wydawnictwa Znak. – Nieco później spotkałem Wildsteina i zorientowałem się, że współpraca z Wólkiem nie idzie mu najlepiej. Żalił się, że Tomek gada na okrągło, zamiast walić prosto z mostu i działać.

Wolek rozstał się z Wildsteinem w 1997 r. Miał wtedy powiedzieć: „Tracisz pracę, ale nie tracisz przyjaciół”.

– Te słowa się stały środowiskowym szlagwortem – mówi Pytlakowski. Sam zaraz potem też odszedł. Jak mówi, „Polityka” po prostu zaoferowała mu lepsze warunki. Gdy w 1999 r. Wolek z Markiem Jurkiem i Michałem Kamińskim wręczał Augustowi Pinochetowi ryngraf z Matką Boską i jeszcze zrobił z nim wywiad, Pytlakowski uznał jednak, że w „Życiu” i tak nie byłoby dlań miejsca. Wólkowi długo pamiętano pielgrzymkę do dyktatora.

Kolejne odejścia związane były z konfliktem wokół, jak twierdził Wolek, nierzetelnego dziennikarsko tekstu oskarżającego Janusza Tomaszewskiego, szefa MSW w rządzie Jerzego Buzka, o udział w aferze żelatynowej. Przy tekście upierał się prowadzący numer Piotr Skwieciński. Wolek go zwol-

nił, a wtedy odeszli m.in. Zalewski, Zaremba i Mazurek. Później Wolek o swych byłych podopiecznych mówił, że to ideolodzy żyjący się za pomocą publicystyki.

Odchodzili też czytelnicy. W połowie 2001 r. było ich raptem 40 tysięcy. Gdy „Press” dociekał, czy to aby nie ideologiczne komentarze Michalskiego i Paliwody zraziły czytelników, Wolek tłumaczył, że pismo zapłaciło cenę za identyfikowanie się z koalicją AWS-UW. Gdy koalicja się rozpadła, a rząd AWS tracił popularność, „my też zbieraliśmy cięgi” – mówił Wolek.

W 2002 r., już po dymisji Wólka, „Press” informował o kłopotach finansowych pisma, niepłaceniu pensji dziennikarzom. „Życie” znikło z rynku z końcem 2002 r.

Wolek zdołał jeszcze raz skompletować redakcję. Pismo wystartowało na początku 2004 r. Wolek przekonywał na łamach „Pressu”, że jest miejsce na rynku na gazetę „szlachetnie konserwatywną”. Mniej przekonani byli zaproszeni przez „Press” do oceny pisma dziennikarze, którzy nowemu „Życiu” dali 3,6 punktów na 10 możliwych.

Właściwie najbardziej doceniono wytrwałość Wólka. Przyznawano, że tytuł nieplotkarski i merytoryczny może się wyróżniać na rynku, ale krytykowano trącąca myszką szatę graficzną, brak reklam i ryzyko wpadnięcia w światopoglądową niszę.

Teraz publikowali tu także Tomasz Terlikowski czy Szczepan Twardoch.

Znów trafiwały się artykuły śledcze, które zamiast bombami okazywały się kapiszonami. Na przykład Wojciech Sumliński, dziś autor serii książek typu „Niebezpieczne związki Bronisława Komorowskiego”, przypisał byłemu premierowi Janowi Olszewskiemu, autorytetowi i bohaterowi narodowej prawy... obronę mafii – tymczasem chodziło o innego adwokata o tym nazwisku.

Był już jednak inny czas. Prawicowa publicystyka odnalazła się w „Rzeczpospolitej”, ale prawdziwy wiatr w jej żagle tchnął niemiecki koncern, uruchamiając „Dziennik” – głoszący choćby „Koniec Polski Kiszczaka i Michnika”. Gazetą kierował Robert Krasowski, publikowali tam m.in. Michalski, Zaremba i bracia Karnowsy. Ale wkrótce i „Dziennik” się skończył, zaś prawicowi dziennikarze albo się zradycalizowali i wspierali PiS, albo zgłosili akces do centrum i teraz krytykowali PiS.

Wśród tych drugich był Tomasz Wolek – jego „Życie” nie dotrwało do politycznych, a więc także ekonomicznych sukcesów prawicy. Być może brakło kilku miesięcy i po 2005 r. znalazłby się inwestor albo chociaż reklamodawcy i grantodawcy.

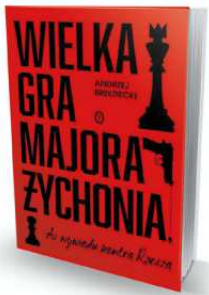
– „Życie” było w nieporównanie trudniejszym położeniu niż później „Dziennik” pod redakcją Krasowskiego. Brak inwestora okazał się zabójczy. Warto jednak pamiętać, że z „Życia” Wólka wyszła cała plejada głośnych dziś publicystów – mówi Hall.

Głośnych, ale nie zawsze cenionych za bezstronność. Sam Wolek pisał w 2007 r., za „pierwszego PiS”: „Czy to ja się gdzieś przesuwam, skręcam w lewo bądź jeszcze gdzie indziej? Czy też może niektórzy moi dawni komilitoni – a dzisiejsi polemisi – weszli w ostry, polityczny wiraz”.

Gdy dwa lata temu wydał zbiór swych tekstów, przesłał książkę z ciepłą dedykacją Aleksandrovi Kwaśniewskiemu, zamykając tym samym spór o „wakacje z agentem”. ●

*Andrzej Brzeziecki

• historyk i dziennikarz, autor książek: „Czerniawski. Polak, który szukał Hitlera” oraz – z Małgorzatą Noćur – „Białoruś – kartofle i dzinsy”, „Ograbiony naród. Rozmowy z intelektualistami białoruskimi”, „Łukaszenka. Niedoszły car Rosji”. Ostatnio wydał książkę „**Wielka gra majora Żychonia. As wywiadu kontra Rzesza**”. Dostępna jest w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.



PO PRAWDZIE

Plan opozycji na zwycięstwo

Szymon nie cierpi Donalda, Włodek – Szymona i Donalda, Robert – Włodka, a Adrian – wszystkich naraz.

Agnieszka Kublik



Podczas niedawnych Igrzysk Wolności w Łodzi Szymon Hołownia dostał pytanie, co jest w stanie zrobić, żeby odsunąć od władzy PiS. – Wszystko – obiecał.

Odpowiedź efektowna, ale puista.

Bo „wszystko” to tak naprawdę tylko jedno – wspólna lista. I właśnie tego „wszystkiego” Hołownia nie jest w stanie zrobić. Czy wręcz nie chce.

Hołownia od razu dorzucił, że jedna lista, tylko jeśli Kaczyński zmieni ordynację. Czyli przyznaje, że to Kaczyński ma ostateczny wpływ na kształt list wyborczych opozycji.

Hołownia sobie wyliczył, że bardziej opłaca mu się nie iść na jednej liście, zwłaszcza z PO, bo wtedy jego partia zdobędzie więcej mandatów. A ponieważ lider szykuje się na wybory prezydenckie, stawia na siebie, nie na żadne tam koalicje. Liczy się Polska 2050, a nie po prostu Polska.

A co robią inni, żeby odsunąć PiS od władzy? Tusk objężdża Polskę i buduje siłę PO, bo już na dogadanie się nie liczy.

Czarasty twierdzi, że się opozycja dogadala, ale ponieważ to nieprawda, niedogadanie się jest jeszcze bardziej rażące.

Kosiniak-Kamysz, który musi iść z kimś na wspólnej liście, bo PSL jest za blisko progu, by ryzykować, wybrzydza na jedną wspólną listę.

Coraz częściej słychać na opozycji, że do pokonania PiS nie trzeba żadnej wspólnej listy, a zresztą PiS i tak skona do wyborów, bo zima, drożyzna i afery.

Liczenie na to, że PiS osłabnie tak bardzo, że opozycja – na kilku listach – nie tylko Kaczyńskiego pokona, ale też zdobędzie większość do obalenia weta, to błąd. Trzeba zakładać, że PiS sam siebie nie wykończy, bo wszystko, co ludzie Kaczyńskiego zrobili Polsce po 2015 roku, nie obciąża tej partii w oczach jej wyborców. Przeciwnie – u części, i to sporej, podnosi jej notowania.

A kto nam ten hurraoptymistyczny kit wciska? Mężczyźni. Same gadające męskie głowy widać w telewizji.

Ego. Narcyzm. Toksyczne ambicje. Agresja. Walki o miejsce w hierarchii stada, bo faceci mają naturalną skłonność do konkurowania o pozycję w społecznej hierarchii. To wszystko doprowadziło mężczyzn do władzy. I to wszystko dziś utrudnia im życie w polityce. A nam życie po prostu.

Czy uniemożliwia wielką koalicję? Szymon nie cierpi Donalda. Włodek – Szymona i Donalda. Robert – Włodka, a Adrian – wszystkich naraz. Donald chce być numerem 1, Szymon chce być prezydentem, więc nie może działać wspólnie z Donaldem, Włodziem, Władkiem, Robertem i Adrianem. Wszyscy nie cierpią Donalda, bo nie mają takich międzynarodowych kontaktów, doświadczeń i nie potrafią tak porozumiewać się z tłumem jak on. No i w sondażach nie są w stanie PO dogonić.

Kobiety – co udowodnione – mają mocniej rozwiniętą empatię, lepiej rozwiązują konflikty, unikają decyzji drastycznych. Dlatego potrafią stosować łagodną siłę. Łagodna siła to taka koncepcja władzy, w której środkiem do celu jest przekonanie innych, że łączą nas wspólne interesy, a nie groźne przemocą i jednocześnie zachęcanie korzyściami.

Mężczyźni szczytą się, że są bardziej decyzyjni. Co by było, gdyby to kobiety włączyły się w te negocjacje o listach?

Nie, nie wierzę, że gdyby rządziły kobiety, świat byłby idealny. To niemożliwe, ale może byłby inny, skoro kobiety górują nad mężczyznami w empatii, przezorności i szacunku dla ludzkiego życia.

Zapytałam kobiety z różnych ugrupowań, ile list. Nie mają wątpliwości – jedna, czteropartyjna. Bo to szansa nie tylko na pokonanie PiS, ale także na zorganizowanie państwa na nowo po PiS.

A nieco powyżej 231 mandatów, które mogą dać osobne listy, to przepis na klęskę. Opozycja nie da rady porządzić, bo PiS będzie opozycją absolutną.

Całkiem liczni „miękczy” wyborcy PiS zerkają na postulaty opozycji, ale w nią samą nie wierzą. Nie wierzą, że się dogada, utworzy wspólne listy, że po wygranej będzie w stanie podzielić się rządowymi tekami. Nie wierzą, bo teraz liderzy nie są w stanie nawet umówić się na wspólne spotkanie. Pokazują, że są cholernie niedecyzyjni. Że po wygranych przez nich wyborach grozi nam chaos, bałagan i tygodnie beznadziejnych sporów o to, czyje ego jest potężniejsze.

Polityczki, z którymi rozmawiałam – tak, one też mają ego, ambicje i lubią konkurować – od razu stawiają sobie wysoko poprzeczkę.

Jak wysoko? Wspólne 307 mandatów. To szalenie trudne, ale nie niemożliwe.

Jeśli opozycji zależy na zwykłej większości rządowej, to pewnie, cztery osobne listy wystarczą. Ale do obalenia prezydenckiego weta potrzeba minimum 276 mandatów. A do zmiany konstytucji – właśnie 307.

Jeżeli mężczyźni (bo kobiet do decyzji koalicyjnych przecież nie dopuszczają) o to nie zawalczą, nikt im tego nie wybaczy. Tylko Jarosław Kaczyński. ●

CZUŁE SŁÓWKA

Dodo

Pan minister rozmawia z obywatelami tak jak policyjny negocjator z potencjalnym samobójcą: nie zaczyna zdania od „nie”, żeby uniknąć negatywnego wydźwięku wypowiedzi.

Michał Rusinek*



Wiceminister zdrowia Maciej Młkowski wypowiedział ostatnio zastanawiające zdania – w kontekście wydatków z Funduszu Medycznego. Jestem przeciwnikiem wycinania czyichkolwiek wypowiedzi z kontekstu, ale w tym przypadku kontekst ma mniejsze znaczenie niż struktura. Wypowiedź brzmiała tak: „Na dzień dzisiejszy uważamy, że planowane wykonanie wydatków będzie wynosiło zero, ponieważ nie będziemy mogli zrealizować całych procesów inwestycyjnych, które dopiero się rozpoczną. Było jeszcze pytanie dotyczące wydatków w zakresie subfunduszu profilaktyki. Również planujemy niewykonanie planu wydatków, ponieważ faktycznie są tam 124 mln zł, ale całość wydatków planujemy w roku przyszłym”.

Z dużą dozą prawdopodobieństwa można stwierdzić, że ulubioną książką pana ministra była – a może wciąż jest – „Alicja w Krainie Czarów” Lewisa Carrolla. Często tak przecież jest, że gdy czytamy wielokrotnie słowa czy frazy swojego ukochanego autora, to przenikają one do naszego języka i bezwiednie się nimi posługujemy we własnych wypowiedziach. Ulubioną postacią pana ministra wydaje się ptak Dodo (będący zresztą porte-parole samego autora, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Dodgson, a że się jąkał, to przedstawiał się często Do-do-dodgson). Ptak ten w drugim rozdziale powieści mówi: „Zgłaszam rezolucję, aby zebranie zostało odroczone ze względu na konieczność natychmiastowego zastosowania energiczniejszych środków...” (Marianowicz), lub: „Wnoszę o odroczenie zebrania dla natychmiastowego przyjęcia bardziej energicznych środków zapobiegawczych...” (Ślomeczyński), albo: „Stawiam wniosek, aby zgromadzenie zakończyło sesję i bezzwłocznie przeszło do poczynienia bardziej radykalnych kroków... (Tabakowska). „Mów pan po ludzku! – przerwywa mu Orlątko. – Nie rozumiem nawet połowy z tych słów i obawiam się, że pan sam ich nie rozumie”. Na pierwszy rzut oka też mielibyśmy ochotę podobnie zareagować na słowa pana ministra. Ale im bardziej wczytujemy się w jego zdania, tym bardziej wciągają nas ich przemysłna maestia, przewyższająca nawet samego ptaka Dodo.

Po kolei. „Na dzień dzisiejszy” – to sformułowanie zapowiadające najpodlejszy biurokratyczny belkot. Usypia ono naszą czujność, bo wydaje się nam, że wiemy, czego możemy się spodziewać po kolejnych zdaniach. „Uważamy, że planowane wykonanie wydatków będzie wynosiło zero” – to jednak fraza, której nie powstydziliby się rasowy dyplomata. „Uważamy”, czyli jest nas więcej: my, czyli ministerstwo, albo nawet rząd, czyli władza. Uważamy, że coś zrobimy, oznaczać może, że sami nie jesteśmy pewni, co zrobimy, bo być może zrobimy inaczej; to zapewne zależy od wielu czynników i zmiennych. Wydatki zostały przez nas zaplanowane – to dobrze, że rząd nie wydaje naszych pieniędzy w spo-

sób spontaniczny, bez planu. Pewną nowością frazeologiczną jest dla mnie „wykonanie wydatków” (wykonuje się plan, wydatki zaś się ponosi), ale być może jest to jakiś frazeologizm ekonomiczny, więc się nie czepiam. Z kontekstu wynika, że wykonanie owo może „wynieść zero”, co brzmi przecież o wiele poważniej niż stwierdzenie, że nie wydamy nic z tego, co zaplanowaliśmy. Dalej następuje wyjaśnienie, dlaczego nic nie wydamy: nie zdążymy zakończyć inwestycji, zdążymy zaledwie je rozpocząć. Oczywiście można by powiedzieć to samo „po ludzku”, ale tak raczej się nie mówi, kiedy się jest ministrem.

To jednak tylko preludium do drugiej części wypowiedzi, w której pojawia się kluczowe sformułowanie: „planujemy niewykonanie planu wydatków”. Mamy tu do czynienia z dwoma planami: planem wydatków zaplanowanym wcześniej oraz późniejszym planem niewykonania tego planu. Czujemy się więc uspokojeni – ministerstwo (a może rząd) prowadzi politykę planowania, a nawet planowania podwójnego, nawet jeśli ten drugi plan zakłada niewykonanie tego pierwszego. Można też rozumieć to inaczej: to tylko planowanie, a więc nie robienie czegoś ani nawet nie obietnica, że się to zrobi. Zawsze przecież mogą się pojawić jakieś czynniki i zmienne, które spowodują, że będzie inaczej, niż się spodziewaliśmy. Planujemy, czyli snujemy plany dotyczące przyszłości, której przecież nikt nie zna. Nawet Jarosław Kaczyński mówi przecież o sobie, że nie jest jasnowidzem. Que sera, sera.

Mógłby ktoś, na przykład jakieś Orlątko, zżymać się na pana ministra i powiedzieć, że zamiast mówić: „planujemy niewykonanie planu”, logiczniej byłoby powiedzieć: „nie planujemy wykonania planu”, albo wręcz „nie wykonamy tego, co zaplanowaliśmy”. To jednak nie to samo. Po pierwsze, pan minister rozmawia z obywatelami tak jak policyjny negocjator z potencjalnym samobójcą: nie zaczyna zdania od „nie”, żeby uniknąć negatywnego wydźwięku wypowiedzi. Lepiej i profesjonalniej jest planować, niż nie planować. Planuję, czyli wykonuję jakąś pracę, za którą ktoś mi płaci. Jak można komuś płacić za nieplanowanie? Po drugie, pan minister jest ministrem, a minister to człowiek, który nie przyznaje się do porażek, bo wówczas ktoś mógłby zacząć powątpiewać, czy nadaje się do tej funkcji. Nie może więc powiedzieć, że nie robi czegoś, co zaplanował. Minister to ktoś, kto bez względu na okoliczności zapewnia, że wszystko idzie zgodnie z planem, nawet jeśli to jest plan niewykonania planu.

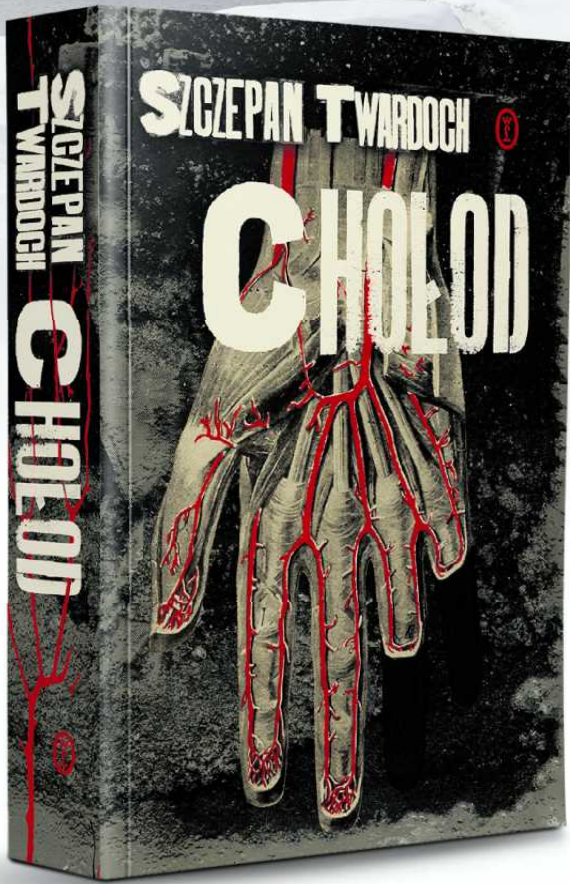
Jest jeszcze kolejny plan: „całość wydatków planujemy w roku przyszłym”. W tym zdaniu jakby czegoś brakowało. Chyba chodzi o to, że w tym roku nie wydamy nic z tego, co mamy, w przyszłym natomiast wydamy wszystko. Ale nie bądźmy jak Orlątko: skoro nasz ptak Dodo powiedział tak, jak powiedział, to widocznie miał w tym jakiś cel. Na przykład taki, żeby w razie czego móc zaplanować niezrealizowanie tego planu. Wiemy już, że nasz minister do takiego planowania jest zdolny.

W powieści Carrolla ptak Dodo organizuje wyścig, który pozbawiony jest jakichkolwiek regul. Po jego zakończeniu oświadcza, że wszyscy go wygrali, zabiera Alicji naparstek, po czym jej go wręcza jako nagrodę, wygłaszając bełkotliwe przemówienie. „Alicja pomyślała, że cała ta sprawa jest absurdalna, ale nie ośmieliła się wybuchnąć śmiechem, gdyż wszyscy oni wydawali się tak poważni” – czytamy. I myślimy sobie, jak bardzo przypomina nam to zarówno naszą politykę, jak i nasz stosunek do jej absurdów. A może jednak powinniśmy wreszcie wybuchnąć tym śmiechem, który tłumila Alicja? ●

*Michał Rusinek – wykłada (literaturoznawstwo na UJ), przekłada (książki), układa (wierszyki, piosenki, felietony). Był sekretarzem Wisławy Szymborskiej, prowadzi fundację jej imienia. Feminista

Z TYM WYDANIEM
DOSTAJĄ PAŃSTWO
DOSTĘP DO:

- 1. Serwisu Wyborcza.pl na sobotę i niedzielę
- 2. Fragmentu książki „Chołód” Szczepana Twardocha



Nowa powieść Szczepana Twardocha, inspirowana polarnymi wyprawami autora. Wielka podróż przez Arktykę – ocean, lagry, miłość i przemoc. To książka o rozzarowaniu ideami, o losie jednostki rzuconej w wir historii i o chwili wytchnienia, jaką bohater znajduje poza cywilizacją.

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki „Chołód” Szczepana Twardocha oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

CHTS33

Aby skorzystać z kodu:

- 1 Wejść na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend
- 5 Fragment książki czytaj na Wyborcza.pl/czytelnia

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9–17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.



Jerzy Urban nie żyje, lecę na cmentarz zobaczyć, jak jedna Polska go chowa, a druga chce wykopać. Wbiegam prawie na Powązki, chciałem być wcześniej, ale chyba godzinę pomyliłem, bo ludzie, gromadka, stoją już pod kolumbarium. Jest skrzypaczka, jest skupienie, powaga, coś dziwnie smutno i pusto, ale może to nowy kaprys satyra i tylko nie widzę żadnych znanych twarzy, a przecież Urbana znali wszyscy i on wszystkich znał. Podchodzę bliżej, prawie włączę na rodzinę płaczącą i na księdza z kropidłem, dziwne, no, chyba że Urban poszedł na całość. Jeszcze bliżej, stoję na palcach, patrzę na urnę, na tabliczkę, śp. pan Jan, czyli pomyłka. Obracam się z szacunkiem na pięcie, idę pod dom pogrzebowy, a gdy widzę faceta w wojskowo-patriotycznym sznycie, z plakatem, że Urban to Goebbels, to zwalniam kroku, bo jest dobrze, trafiłem.

Z dziesięć osób, starszych państwa, to straż narodowa uzbrojona w portrety Popiełuszki i Grzegorza Przemyka, domagają się wywalenia z Powązek Urbana oraz innych komunistów, zdrajców i oddania tej ziemi ofiarom, patriotom, powstańcom, bohaterom, bo „hańbą jest, by taka szuja jak Urban obok tych wszystkich bohaterów tu leżał”, a za ich plecami żądania podbija z grobu swojego Jan Olszewski, premier pierwszego rządu Kaczyńskich, z pytaniem wykutym na tablicy: „czyja będzie Polska”. Ale na razie walka o to, czyje będą Powązki, i to jest dobre pytanie, bo obok Olszewskiego leży Jan Lityński, uczestnik Okrągłego Stołu, tak że wiadomo, dalej pułkownik Kukliński, czyli zdrajca jednym, bohater innym, a dalej, no dalej to już mamy zapowiedź jatki pod ziemią, gdy Urban tam wyłduje, bo dalej mamy bohaterów je-

URBAN LEGEND NA POWĄŻKACH

Gdyby prawica miała takiego sk..., który patos przebija bezlitośnie, to może bym ich czytał

Marcin Kącki*

go słynnego „Alfabetu...”, którego sprzedał blisko milion egzemplarzy dzięki temu, że dokonał na swoich bohaterach egzekucji słownej, czego uosobieniem były słynne dwa zdania o pewnej aktorce, za które nikt go nigdy nie kancelował i już nie skanceluje, bo Urban należał do postaci niekancelowanych: „Nie spałem z nią nigdy. Nie każdy może to o sobie powiedzieć”. Będzie zatem awantura na dole, bo Urban spocznie niedaleko Bronisława Geremka – „nosi się jak monarcha, puchnie od ważności”, Janusza Głowackiego – „rozchelstany lew salonowy”, Jacka Kuronia – „ględzi w roli dobrej cioci i przymila się do emerytów”, Adama Michnika – „gdy pójdzie siedzieć, ja pójdę wisieć”, i wszyscy oni będą teraz mieć Urbana za sąsiada, ale zaraz, stop, Adam przecież żyje, przyszedł na pogrzeb, widzę, że przedziera się właśnie przez żalobną czerni. Łechce mnie, jako podwładne-

go, gdy czytam jeszcze o Adamie w „Alfabcie...” – „wymiar moralny Michnika i jego intelektualny kaliber są dla mnie upokorzeniem”, więc spytałem Adama, dzień przed pogrzebem, co go ciągnęło do Urbana, bo lubił zajeżdżać do jego willi w Konstancinie, na, powiedzmy, pogawędkę, raz się tam nawet z Adamem prawie minąłem, więc pytam i czekam, aż mnie wyrzuci z gabinetu, ale Adam na jednym oddechu, bez zająknięcia, mówi mi krótko...

– Inteligencja, świetna inteligencja.
– I już?

– Bo to był skrajny przypadek oświeceniowego racjonalisty, któremu bliski był Boy, przedwojenny Słonimski, w „Oparach absurdu” Tuwima, chodzenie pod prąd i walka z tym, o czym pisał Przerwa-Tetmajer

*My o jedno tylko szlemy
Modły k' niebu z naszej chaty:*

*By nam buty mogły śmierdzieć,
Jak śmierdziały przed stu laty...*

I nie ciągnę Adama bardziej, by znowu się nie tłumaczyć z naszego „gazetowyborczego” humanizmu, bo wiadomo, że jakby Adam był odźwiernym w niebie, toby na każdego z nogą w bramie czekał, a przecież żyjemy w rzeczywistości, w której ludzie na broń zbierają, mordują się od rana zatrutymi łożami, dosyć mają pieprzenia o wybaczeniu, chcą krwi, tak że styka.

NO WIĘC ADAM PRZEDZIERA

się przez żalobną czerni, skromną jednak, i to jest dziwne, bo znał Urban wszystkich i znali go wszyscy, więc gdzie te szpalery sławnych, popularnych i zasłużonych,

FOT. PIOTR GRZYBOWSKI/AGENCJA SE/EAST NEWS



może przestraszyli się wykopywania Urbana z Powązek. Są dziennikarze „Nie”, Aleksander Kwaśniewski, Olga Lipińska, kilku posłów lewicy, którzy zdążyli się już w Sejmie pokłócić na Lewicę i PPS, stoją teraz daleko od siebie, no i przybyli, chyba najliczniej, czytelnicy „Nie”, a wiem to, bo widzę gdzieś tam przypinki, i to oni prowadzą nawalankę ze strażą narodową ku pamięci, która ma swoje przypinki. Krzyczą więc strażnicy, że zarządzają pamięcią, że chcą przywrócić tę pamięć, i to słowo „pamięć” pada tak często, jakby to był wic wolonariusz z okazji Dnia Walki z Amnezją. Bandyci! Mordercy! Pamięci! – krzyczy pani ze straży i palce wygina, by pokazać, jak łamano palce za komuny, na co równie starszy pan ze swoją przypinką pyta, czy Urban jej palce łamał i dlaczego nie może uszanować pogrzebu, że przecież Urban tyle dobrego zrobił dla Polski, na co strażnik pamięci, że kacapy i szwabyl, no i poszło.

- Co ci złego zrobił, głupia babo?
- Zrobił, żeby rudy Tusk wrócił!
- Ty też byłeś rudy, tylko się farbowales!
- Daj pan spokój, nie przetłumaczysz jej, głupie to z dziada pradziada.
- Sprzedadzą Polskę! Komuchy!
- Urban to Goebbels żydokumuny!
- Dość!
- Ty dość!

Jeśli pogrzeb jest momentem zadumy, to pogrzeb osoby publicznej, a już „wzbudzającej kontrowersje”, jest najgorszym miejscem do zadumy, lepszy byłby raczej stadion podczas meczu Lecha z Legią. A teraz słyhać sprzężenie w głośnikach, bo odzywa się mistrzyni ceremonii, która będzie mówić dla tych, którzy schowali się przed pamięcią w domu pogrzebowym, i przeprasza, że ona właśnie, ale żaden ksiądz nie miał czasu, a że przemawia gło-

sem tak miękkim, jakby to był sympatyczny automat GPS, i jeszcze czasami cytuje Tuwima, to teraz sytuacja wygląda tak:

- Komuniści, wynocha z Powązek!
- Weź te ręce, czerwona świnió!
- Na ty jesteśmy, chamie?
- Śmierdzi komuną!
- Trudne dzisiaj zadanie przed nami. tylko garstka najbliższych wie, jaki był naprawdę. słowa te kieruję do tych, którzy Jerzego Urbana kochali i szanowali.
- Won z pacholkiem Moskwy!
- Zamknij się!
- Uważajcie, to prowokator!
- Jaki prowokator, kurwa? Z Elbląga przyjechałem, o 5.51!
- Ale także do tych, którzy przyszli z innymi emocjami. przyjaciel szef. praca z nim to był zaszczyt.
- To był pacholek ruskich!
- Co ty pierdolisz? On był tylko rzecznikiem rządu!
- Nie kłam!
- Morderca!
- Ilu zamordował?
- Wykopać go na śmietnik! Tam je go miejsce!
- A.choć wam będę w pyski pluł nienawiść swą przez całe życie
- wiedziecie że m. za was wszystkich czuł i wszystko cierpiał co cierpicie...
- Tuwim to też pacholek!
- Bandyta!
- Uspokójcie się, esbecy! Dajcie żyć i pracować!
- I. będę znosił każdy ból
- każdy wasz ból ohydny tłumie
- ale wam będę w rany sól
- sypał aż przyszłość mnie...
- Won, komusze trupy!
- I wtedy ktoś krzyknął, że „się na grób Urbana wyszcza”, ale sądzę, że to czcze przechwałki, bo jakby zapytać kogoś antropologa na przykład, czy grób Urbana będzie najczęściej obsikiwanym w Polsce grobem, to padłaby odpowiedź, że raczej nie, bo nie mieści się w polskim kulcie funeralnym sikanie na groby, raczej odwrotnie, co roku jakiś miliard złotych płonie w zniczach i kwiatach jednego dnia, tak że Urban Urbanem, ale grób grobem. No, może gdyby postawiono urnę z Urbanem, z tabliczką „tu sikać”, to wtedy pewnie tak, ale Urban się zaraz w urnie schowa pod płytą, a jakakolwiek płyta ułożona poziomo, nawet z betonu ciętego, z jakakolwiek inskrypcją, to jest polski symbol śmierci, a śmierć jest święta, nawet poświęcona. A przecież Urban położy się koło rodziców, więc wchodzi jeszcze kult maryjny, czyli kult matki, czyli skończy się na groźbach.
- Odszedł mąż wielu żon niewielu. spodziawało się że potrafi tak długo pozostać wierny jednej kobiecie.
- Na cmentarz żydowski go!
- Urban – Goebbels polskiej żydokomuny!
- Bawilby się setnie widząc smutne twarze niektórych zgromadzonych.
- O! Olga Lipińska idźcie! Wstyd i hańba!

TROCHĘ GŁOŚNO SIĘ ZROBIŁO,

to na chwilę zostawmy pogrzeb i przenieśmy się do czytelni Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego, w której mimo szkła i stali jest tak spokojnie i cicho, że tu właśnie można by w zadumie umrzeć. Przychodzę do czytelni, bo nie wszystkie już dzieła Urbana da się kupić, a tu są dostępne. No więc siedzę i czytam, a mogę siedzieć i czytać Urbana dzięki temu, że Tadeusz Mazowiecki pieniądze z wynajmu gmachu KC PZPR kazał przeznaczyć właśnie na ten szklano-aluminiowy budynek, który jeszcze zdążył poświęcić sam Jan Paweł II, tak że jesteśmy w sacrum, wjedźmy w profanum.

Ociec był burżuj, jak pisze Jerzy Urban w jednej z poźółkłych już książek, matka też parała się próżniactwem, a on nie lubił się uczyć, niczego, zwłaszcza języków, i tak

mu zostało do śmierci. Podczas wojny rodzice uciekli z Łodzi do Lwowa i tam już mały Urban poczuł zapal do komunistycznego terroru, bo na własnego ojca chciał naskarżyć do NKWD, za to burżujstwo, ale na szczęście ojciec był rosyjskim przedwojennym agentem i skardze nie nadano biegu. Nie wiem, co we wspomnieniach Urbana jest prawdą, co szyderstwem, nie mam czasu na odsiewanie, bo urna stygnie i nimbym skończył, to pochowają kolejnego „budzącego kontrowersje” Polaka. Był więc Urban z zamożnej rodziny, miał nawet prywatnego nauczyciela od angielskiego, ale ochota do języków mu przeszła, bo był to „pederasta, który ścisnął uda i gładził w kroczu”, no i przez cztery lata nauczył się Urban tylko słowa „darling”. Potem ojciec poszedł w komunizm, pomieszkowali w Lublinie, z sublokatorami, i było tak gęsto, że mały Urban uciekał w pisanie i wyszło, że tyle było gości w łóżku, że w nocy „nie wiadomo, czyja go noga szturcha”. Wyrzucano go prawie z każdej szkoły, a był w siedemnastu, maturę wyblagała mu matka, chciał studiować tam, gdzie łatwo, ale nawet na dziennikarstwo go nie przyjęli, ciągnęło za to do polityki, „bo nie trzeba było wykształcenia”.

Najpierw pisał w „Nowej Wsi”, bo przyjmowano z ulicy, potem kryminalki z sądu, ale celował w rozwody, mój ulubiony to ten planisty zakładowego, któremu żona zabrała ubranie i czekała, aż wyjdzie ze schadzki z kochanką, co trwało dwa



Mamy zapowiedź jatki pod ziemią, gdy Urban tam wyląduje, bo czekają tam bohaterowie jego słynnego „Alfabetu...”, a dokonał na nich egzekucji słownej

dni. W „Po Prostu” już cholernie sprawnym piórem Urban wyciąga z Polski Ludowej całe mięso samozadowolenia oraz propagandy sukcesu i przemienia przez ironię, cóż za prosta recepta na literacki pasztet. A felieton o tym, jak kadra naukowa profesorów dopisuje się do prac młodszych, by uszczknąć z chwały i kasy – no jakże to uniwersalne.

Albo Jerzy Kibic, albo Jan Rem, za tymi ksywkami się chował, na przykład po tym, jak mu sam Gomułka zakazał pisanie, szpile wbijał w „Szpilkach”, a w kultowym tekście „Polska ye, ye!”, na wycieczce z Polonią amerykańską po Polsce, pokazał fantastyczne studium szajby Polaka cebulaka, i widać, że od początku nie potrafił trzymać się poręczy powagi. Może to suma doświadczeń wojennych, pochodzenia, napiętnowania, nie będę tu snuł psychiatrycznych analiz, dwa razy w życiu rozmawiałem z dziadkiem Urbanem, a i znajomi, których pytałem, nie znają korzeni tej szyderczej potrzeby. Widać jednak, że im większy balon patosu, tym dłuższy u Urbana kolec do jego przebijania, jak w reportażu z Oświęcimia, gdy wycieczka zastanawia się, czy podczas zwiedzania obozu można sobie zapalić. Zachwyca mnie, aż się tego wstydzę, bezwzględna szydercza bezduszość, jak w tekście o rządzie emigracyjnym, klice starszych panów knujących na Polskę Ludową, nim ich londyński portier nie „zagna do pokojów, by swoim widokiem dziwkom nie płoszyli klientów”.

A potem „Polityka”, przyjaźń z Mieczysławem Rakowskim, no i rzecznik rządu, czyli cotygodniowe benefisy w telewizji, solówki retorycznej gimnastyki w przekazywaniu społeczeństwu zmanipulowanych komunikatów rządowych. Pamiętam, jak moi rodzice, choć ludzie gruntownie niewykształceni, zasiadali do tego jak do Kabaretu

Starszych Panów, by uczyć się od inteligenta sztuki inteligentnego sprytu w kiwaniu czasami mądrzejszych od siebie. I tu wolalbym historykom oddać głos w sporze, czy Urban był kanalią i dlatego na to poszedł, bo siedzę nad jego piątą książką i nadal nie wiem, sam Urban chyba nie wie. Jego przyjaciel Rakowski, jak sam pisał w swoich dziennikach, też nie wiedział, bo rzecznik to koniec dziennikarstwa, które Urban kochał.

Lubił drażnić, jako rzecznik rządu, i prowokować, tak się chwalił, tylko czym tu się chwalić, skoro deptał głowy zakopanych i gotowych do kamienowania, bo kto był jego przeciwnikiem, no kto – ludzie strani kolejkami, syfem codzienności, opresją, pałami, chyba że kluczem jest wyznanie, że „w ten sposób zdobywał sławę”. Tylko jeśli Urban rzeczywiście budował sobie tym rzecznikiem markę, a bez niej pewnie nie sprzedałby prawie miliona egzemplarzy „Alfabetu Urbana” ani pół miliona nakładu „Nie”, to by oznaczało, że przewidział, jako jedyny, upadek komunizmu i zasiał zawczasu swoje nazwisko na polu sławy, żeby plawiąc się z kieliszkiem szampa na w basenie, publicznie wywalonym językiem zlizywać owoce swojej zaradności.

Gdybym miał szybko, bez szacunku do ogromu materiału, ubrać Urbana w jakieś namietności, to po tym dniu w czytelni rzekłbym, że był po prostu ukrytym wyznawcą idei Ayn Rand, czyli kapitalistycznej egoistki, bo całe życie dążył do swojego szczęścia, korzystając z talentu pisarskiego, i nie patrzył na straty w ludziach, a nawet jak powiedział o stanie wojennym, była to operacja wojskowa, więc i tak niewiele było ofiar. Za aynrandyzmem przekonuje jeszcze potrzeba racjonalnego panowania nad swoim życiem, dlatego każda miłość była dla niego upokarzająca, a żony nie bił, bo wyżywał się w pisaniu. Tak że przyznaje, że był egoistycznym sybarytą, szukał wrażeń, choć bał się też, jak mówił, swojego wewnętrznego homoseksualisty, dlatego nie lubił dotykania przez mężczyzn, nie lubił też kabotynów, alkoholików, nudziarzy i trudno go obrazić, choć jedna z żon go dotknęła oskarżeniami, że polował na jej córkę, co nawet go zmroziło i bał się tę pasierbicę dotykać.

Wspomnienia natomiast wdowy o zmarłym są, można powiedzieć, bardzo żywe, bo jej wywiad-epitafium w tygodniku „Nie” z ostatnich dni raczej nie nadaje się do cytowania, jest w tonacji walki z hipokryzją eleganckiej polszczyzny, jak reklamował zawsze Urban swój tygodnik, więc mogę podsumować kilkoma lżejszymi cytatami: „Łysy wałnął w kalendarz”, „zdecydowanie wołał wkurwiać”, „łatwiej gdzieś w mieście znaleźć nową żonę niż własną w domu” i „nie pierdol”.

Tak że gdy spojrzeć na jego życie z dystansu Powązek i czytelni, to sam Urban się dziwił, że nigdy nie dostał w ryj, a tylko napis na swoim dawnym bloku „Urban ty świnió”.

DOBRA, WRÓĆMY NA CMENARZ,

bo z głośnika idą teraz przyjaciele i którzyś mówi, że Urban był jak Elvis Presley i Marilyn Monroe, że taką miał markę, jeśli dobrze zrozumiałem, gdyż muszę stać pod samym głośnikiem, by to usłyszeć, bo obok mnie:

- Jeszcze Bierut niech przemówi!
- Wywalić go z Powązek!

Teraz słyszę Aleksandra Kwaśniewskiego, który podziwiał Urbana za to, że walczył z hipokryzją i nacjonalizmem. Były prezydent rzuca też kilka dowcipów, dla mnie najlepszy, choć nie jestem pewien, czy to był dowcip, że Urban był tak sprawnym rzecznikiem prasowym w PRL, że aż Kwaśniewski uznał, że nie będzie miał rzecznika w wolnej już Polsce, bo nikt nie dorastał do poziomu Urbana, i tu straż narodowa ku pamięci żąda głośno, by zbadać byłego prezydenta alkomatem, ale zaraz

potem Jan Hartman wspomina o zasługach Urbana w sekularyzacji Polski, a potem... Nie wiem właśnie, co potem, bo zagłuszyło gromkie:

- Urban – wstyd!
- Komorowski – wstyd!
- Tusk – wstyd!
- Kwaśniewski – wstyd!
- A.przecież.miał.wiele.ważnych.felietonów.jak...Z.czarnej.dupy.się.wyrwało”.dlatego.nadal.chcemy.czytać.Urbana.

– Hańbaaa!

Trochę mi się nudzi, bo strony sporu zaczynają się ze sobą oswajać, bohater pierwszego planu zbliżany ceremonialnie, u bohaterów drugiego planu hasła się powtarzają, więc wpisuję do Google’a zapytanie „jak załatwić sobie miejsce na Powązkach” i wyskakuje mi grobonet, aplikacja do poszukiwania grobów, i jeszcze sugestie, że jak chce się tu leżeć, to trzeba być ze starego warszawskiego rodu albo mieć ciotkę w urzędzie miejskim, albo wujka w Ministerstwie Obrony Narodowej, albo kasę, i to będzie nawet ze 20 tysięcy, i przypominam sobie, że eutanazja w Szwajcarii kosztuje jakieś 25 tysięcy, więc gdyby ktoś chciał teraz już, na Powązkach, to mu-

– A.teraz.proszę.państwa.rozpocznijmy.ostatnią.część.ceremonii.

SPYTAŁEM KIEDYŚ KOLEGĘ

Czarka Łazarewicz, dlaczego nie pogadał z Jerzym Urbanem, gdy pisał książkę o zabitym przez milicję Grzegorz Przemysku, bo dla mnie byłaby jeszcze ciekawsza, dostałaby piekielnych skrzydeł, ale Czarek powiedział, że to skurwysyn, którego się brzydził, że mu ręki nie mógł podać. Patrzę na moją książkę – faszyści, pedofile, mordercy, antysemita, w tym księża, no, ale do bra, każdy ma swój sposób na oswajanie zła. Czy jednak, męczy mnie, Urban był skurwysynem? Ustawił się najpierw w dupie, jak pisał o swoich Stefan Kisielewski, służył systemowi, ale do czasu, gdy został rzecznikiem rządu, trudno, jak zewsząd słyszę, znaleźć ludzi, którym zaszkodził. Jako rzecznik najniebezpieczniejszego okresu Polski Ludowej kłamał, a potem kłamał, mówiąc, że nie kłamał, i zostawiam to historykom i ludziom, którzy go znali bardziej i mniej.

A potem w tygodniku „Nie” rozbrajał kołtuństwo, bronił praw kobiet, szy-

banalnie chwala i uprawiają propagandę tak prymitywną, że Urbanowi musiały uszy opadać, gdy z lubością, jak słyszę, czytał prawicowe gazety.

- Szuja!
- Powązki dla bohaterów, nie dla kanalii!

Jak jesteś mały, gruby i brzydki, to zostaje ci dopierdalanie, mówi mi na pogrzebie jeden z dawnych podwładnych i kolegów Urbana, który musiał go jednak cenić, bo na pogrzeb przyszedł z takim wysiłkiem zdrowotnym, że w zasadzie mógłby przyjechać karetką.

A wiesz, mówi mi na pogrzebie dziennikarka Urbana, że napisałam do niego list, gdy byłam bardzo młoda, jako czytelniczka, a on mnie przyjął, wysłuchał, dał robotę i opłacił studia? Dlaczego? Może chciał młodych koło siebie. A gdy mu się podpadło, dodaje ta dziennikarka, to strasznie jebał, ale ściszał wtedy głos.

I tak słucham, że bardzo pomagał, że skapnął ze swoich milionów na leczenie raka, na nowy biznes, na życie, i nie mam pojęcia, czy Urban zmył z siebie tę smołę, w której unurzał się, zostając twarzą diabła, i czy w ogóle chciał ją zmyć, bo mam wrażenie, że jednak nie za bardzo. W końcu nigdy nie napisał, jak Jerzy Andrzejewski, „Wielkiego lamentu papierowej głowy”, czyli przeprosin za to, że był szmaciarzem na usługach piekła, a raz tylko, że kłamał w sprawie Przemyska, ale dopiero gdy Czarek w swojej książce obnażył w tym Urbana piekielną rolę. Przez tę smołę na twarzy bała się go po ’89 nawet lewica, no i nie został jej kapłanem i demiurgiem, nie był też intelektualistą, tak że Sławek Sierakowski wolał szukać ojca duchowego w Adamie Michniku, i w końcu młodą lewicę musiał usynowić właśnie 20-letni Sierakowski.

KOŃCZY SIĘ CEREMONIA NAWALANKI,

leczą ostatnie oskarżenia i pochwały.

- Trzeba mówić, ile krzywdy zrobił!
- Dbał.o.dobro.bezdomnych.ze.Stanów.Zjednoczonych.organizując.zbiórkę.śpiworów.

A teraz wyprowadzenie urny, i na to właśnie czekała straż narodowa ku pamięci, bo robi szpaler natarcia, by urnę przejąć, wykopać go z Powązek!, na co ochrona konduktu w białych rękawiczkach formuje kontrszpaler i przekazuje sobie urnę, jak rugbiści rozpychają się barami, robią coś w rodzaju gniazda obronnego, ale natarcie się wzmacnia, precz z Powązek!, i teraz kluczowe podanie urny do tego, który stoi najbliższej karawanu, mocniejsze zagęszczenie gniazda, szpaler ataku lekko odpuszcza i jest, urna w bagażniku karawanu, zaciśnięcie kordonu, auto rusza, raczej tempem szybszym niż żałobnym, zakręt, kolejny zakręt i stop. Miejsce pochówku, jak widzę, to piechotą jakieś 50 metrów od domu pogrzebowego, ale może lepiej, że Urban autem podjechał, bo gniazdo rugbistów mogło zostać przełamane gdzieś na 30. metrze.

I gdy wychodzę z Powązek, widzę w końcu obiekt, który jako jedyny nie będzie budził niczych kontrowersji i wszyscy się zgodzą, że ma pełne prawo tu przebywać, a jest to wielki czarny pojemnik z napisem „Remondis. Odpady zmieszane”. ●

***Marcin Kącki** – reporter, dramaturg, redaktor „Wolnej Soboty”, autor książek „Lepperiada”, „Maestro. Historia milczenia”, „Białystok. Biała siła, czarna pamięć”, „Plaża za szafą. Polska kryminalna”, „Poznań. Miasto grzechu”.

Co łączy Pospieszalskiego i Strzępkę

Nie jestem już kobietą, tylko osobą redaktorską socjalizowaną do roli kobiety.

Magdalena Czyż

Jeden zaburzony dzieciak potrafi wprowadzić destrukcję w całej klasie. Ministerstwo nie pomaga w zwalczaniu ideologii LGBT w szkołach, która niszczy dzieci, oferując im już nie tylko »kulturową zmianę płci«, lecz także amputację piersi i terapie hormonalne. To zagraża dla całego społeczeństwa”. To lead do tekstu Jana Pospieszalskiego „Transseksualność na siłę” w tygodniku „Do Rzeczy”. I jak to zazwyczaj bywa, po leadzie autor się rozkręca...

Szkoda mi miejsca na przytaczanie steku bzdur i „badań”, na które się powołuje. Wystarczy powiedzieć, że Pospieszalski wrzuca wszystko do jednego bębna pralki i włącza program „wirowanie”. Znacznie ciekawsza jest jego dedukcja.

Pospieszalski bowiem, powołując się na badania z Instytutu Gallupa, wnioskuje o epidemii LGBT albo nawet światowej pandemii, grzmiąc, jak to lawinowo rośnie liczba nastolatków z zaburzeniami seksualnymi. Pospieszalski nie wierzył w pandemię COVID (za co, zdaje się, wyleciał z TVP), ale wierzy w pandemię LGBT. Może problem Pospieszalskiego leży w tym, że na COVID w końcu sam zachorował, więc nie można wykluczyć, że teraz boi się, że zachoruje na LGBT (daj mu Boże zdrowie, chciałoby się powiedzieć).

To jednak nie wszystko. „Są dane, które wskazują na indukującą rolę kultury i mediów w przypadku zaburzeń płci. (...) Szwedzki psychiatra Sven Roman przypomina, że znane są fakty, iż np. zaburzenia jedzenia czy samookaleczenia bywają rozprzestrzeniane drogą społeczną, więc z dysforią płci może być podobnie. Ostatnio ukazały się przełomowe badania L. Littman, która opisała zespół nagłej dysforii płciowej (ROGD), sugerując, że może pojawić się pod wpływem internetu i mediów społecznościowych oraz poprzez sieć kontaktów koleżeńskich” – pisze Pospieszalski.

Okazuje się, że tym całym LGBT można się zarazić drogą kropelkową. Zupełnie jak COVID-em! Strach się bać!

Lustrzanym odbiciem szaleństwa Pospieszalskiego jest nowa, świeżo wybrana (w dziwnym i zrozumiałym chyba tylko dla niej i wiceprezidentki Warszawy Machnowskiej-Góry konkursie) dyrektorka Teatru Dramatycznego Monika Strzępka, która wystosowała do męskiej części zespołu aktorskiego pismo: „Serdecznie zapraszam chętne osoby aktorskie socjalizowane do roli mężczyzn do udziału w wystztatach poprzedzających pracę nad spektaklem (...)”.

Podążając za logiką pani dyrektor, nie jestem już kobietą, tylko osobą redaktorską socjalizowaną do roli kobiety.

Jeśli ludzie niebinarni chcą być nazywani osobami jakimiś tam socjalizowanymi do czegoś tam, to mają święte prawo. Ale wydaje mi się, że ani osoby niebinarne, ani pani Monika Strzępka nie powinni zwykłym kobietom i mężczyznom narzucać tego typu samookreśleń. Czuję się kobietą, odkąd wykształciła mi się samoświadomość, i to samo może powiedzieć za mną zdecydowana większość żeńskiej populacji. Byłam, jestem i umrę jako kobieta i cholernie mnie to cieszy. To samo dotyczy się większości mężczyzn. Dobrze by było, gdyby lewicowe środowiska tę prostą prawdę o świecie wreszcie zrozumiały.

Jednak nie to mnie najbardziej w tym naszym polskim oblędzie martwi. Problem zarówno Pospieszalskiego, jak i Strzępki polega na tym, że w swojej galopadzie poszli o jeden most za daleko. I teraz rozmowa nie ma już sensu.

Oby nas wszystkich to nie spotkało. ●

Jeśli pogrzeb jest momentem zadumy, to pogrzeb osoby publicznej, a już „wzbudzającej kontrowersje”, jest najgorszym miejscem do zadumy, lepszy byłby stadion

siałby być co najmniej Urbanem albo jego przyjacielem... I teraz, gdy podnoszę wzrok na straż narodową ku pamięci, dopiero teraz widzę, że co prawda jest kilku młodych, którzy trzymają obrus z napisem „Good night left side”, ale ton wściekłości nadają ci starsi, biedni, co widać po ubraniach, brakach w uzębieniu, to przecież porzuceni przez historię ludzie, którzy krzyczą o swoich emeryturach i porównują je do esbeckich, a ten krzyk „Dajcie nam żyć godnie, komuchy”, to ciągle ta nierozliczona historia z niesprawiedliwością dystrybucji wszystkiego. Nie ma tu Misiewiczów, bo oni w Orlenach, nie ma Dworczyków, bo już ładują gdzieś na spadochronach, została grupa ludzi, dla których nie starczyło, a w urnie leżą prochy po milionach, które dają po oczach, a pani w okularach Coco Chanel, być może znajoma Urbana, krzyczy do starszej pani w jesione z sezonu 1991/92, by uszanowała pamięć po zmarłym i „przestała drzeć mordę”.

I teraz, uwaga, wdowa po Urbanie nie chciała kwiatów, zamiast tego ogłosiła żrutzkę do szkatuły „Hospicjum dla dzieci” i oto wędruje ta szkatuła wśród straży narodowej ku pamięci, paraduje pełna setek od gości Urbana, aż podchodzę i pytam dziewczynę, która nieśie szkatułę, czy zawsze jest pełna setek, a ona mi spokojnie wyjaśnia, że „to, proszę pana, zależy od pogrzebu i od gości”. Tak że przejście tej szkatuły wokół straży narodowej ku pamięci wywołało chyba nową energię.

- Komuchy!
- Komuchy!

dział z każdych nieudolnych rządów, nawet go SLD zniechęciło, i chyba życzyłbym prawicy, by miała takiego skurwysyna jak lewica, nawet bym czytał prawicowe tygodniki, gdyby pisali tam tak inteligentni, a nawet wystarczyłoby, że skurwysyn, bo na bycie skurwysynem, ale takim magnetycznym, to jednak trzeba zaharować, nie wystarczy być wazeliniażem, koniunkturalistą, śliniakiem władzy, takie skurwysynstwo akurat magnetyzmu nie ma, a tylko banal ludzkich namiętności, dlatego życzę im takiego drapieżnika, że chcesz podejść w ryj dać, ale się boisz, że zamiast oddać pięścią, zabije cię ripostą. I tylko pytanie pozostaje, jak Jarosław Kaczyński zmarnował swój potencjał, by być magnetycznym skurwielem, a został tylko, w ocenie wielu, bo zostawiam to historykom oczywiście, tym drugim.

NO WIĘC, GDY PATRZĘ NA TYCH LUDZI,

którzy przyszli protestować, a którzy kopią w ziemi powązkowskiej, zapewne mają rację, szukając nierozliczonych sprawców systemowych mordów, no więc życzę im takiego magnetycznego, inteligentnego stwora, który spuściłby z nich ten wysiłek osobistej nienawiści, by mogli zostać w domu, włączyć z takim magnetycznym diabłem swój ulubiony kanał albo wziąć takiego książkę, felieton, ale oni tego nie mają, bo mają diabłów tak przeciętnych w swoich ripostach, że nawet medale i zaszczyty muszą sobie wychodzić u tych, których

FRANCISZEK MA RACJĘ

Tak, wszyscy jesteśmy winni tej wojnie. Pamiętacie jakieś manifestacje w Polsce w sprawie Donbasu, Krymu, Syrii?

Z **HALINĄ BORTNOWSKĄ***, PASTOREM **MICHAŁEM JABŁOŃSKIM**** I PROF. **STANISŁAWEM OBIRKIEM***** ROZMAWIA **MAGDALENA CZYŻ**

Przypominacie sobie pierwsze, jeszcze z dzieciństwa, skojarzenia z wojną?
HALINA BORTNOWSKA: Ja się nie nadaję do skojarzeń, bo wojnę przeżyłam. Pamiętam dokładnie jej początek. Ojciec poszedł na wojnę i nie wiedzialiśmy z matką, czy go jeszcze zobaczymy. To było dominujące uczucie. Miałam wtedy osiem lat.
STANISŁAW OBIREK: Znam wojnę przez pamięć mojej mamy, która jest mniej więcej rówieśniczką Haliny Bortnowskiej. Na Roztoczu do 1941 roku była granica hitlerowsko-sowiecka i przekazy rodzinne były o tym, kto mieszkał pod jedną okupacją, a kto pod drugą, kto kiedy zginął i z czyjej ręki. Dla mamy to było stracone dzieciństwo. Plus pamięć mordów Ukraińców na Polakach, ale też pamięć o Polakach mordujących Ukraińców. Teraz to mamie wraca, powtarza: „Teraz oni są biedni, tak jak myśmy byli biedni”.

A kiedy zaczęliście się uczyć odróżniać wojnę sprawiedliwą od niesprawiedliwej, czyli obronną od agresywnej?
MICHAŁ JABŁOŃSKI: U nas w domu nie mówiło się o wojnie sprawiedliwej i niesprawiedliwej, bo ewangelicy tak nie dzielą wojny. Wojna jest złem i koniec. Natomiast wiadomo było, że jest ktoś, kto się broni przed napaścią, i jest ktoś, kto napada. Już w szkołkach niedzielnych rozpatrywaliśmy fragment Listu św. Pawła do Efezjan, ten o zbroi chrześcijańskiej, która nie służy do agresji, tylko do obrony.
S.O.: To aż dziwne – całe studia teologiczne spędziłem we Włoszech i tam takich tematów nie podejmowano. Myśmy zajmowali się głównie Biblią. Oczywiście w Starym Testamencie wojen, pomsty Bożej, masakr w imię Pana było dużo i wykładowcy nam tłumaczyli, że to nie jest jakaś prawda wiary, że to trzeba rozumieć w kontekście historycznym.
H.B.: To, że ojciec idzie na wojnę, aby bronić innych i nas, wiedziałam. Ojciec załatwił sprawę szybko i twardo. Powiedział mamie: „Jedyne, co mogę dla was zrobić, to dostać bilet do pociągu ewakuacyjnego, później na nic nie będę miał czasu”.

Domyślacie się, do czego zmierzam, gdy pytam o wojnę sprawiedliwą. Franciszek idzie w poprzek tego, co wszyscy wiemy – że istnieje prawo do obrony.
M.J.: W moim Kościele to naturalne, że podchodzi się z wielkim krytycyzmem i do siebie samego, i do Kościoła. Czy to, że Franciszek powiedział to, co powiedział, zachwieje wiarą ludzi? Przecież to tylko powiedział człowiek. Dla mnie autorytetem jest Biblia i jeśli mam problem z wojną, to zaglądam do niej. Tam są strasznie krwawe wojny, zwłaszcza w pierwszych księgach Testamentu, ale potem jest Księga Micheasza, w której jest napisane, że musisz szanować i kochać jak swojego bliźniego wdowę, przechodnia i dziecko. I że Bóg nie jest twoim Bogiem plemiennym, tylko Bogiem wszystkich. A potem jest Jezus, który mówi o miłości nieprzyjaciół. I to jest dla mnie autorytet.

No dobrze, ale katolik już nie może tego samego sobie powiedzieć.

H.B.: Jako katolicka mam zupełnie taki sam pogląd. Dla mnie też nie konkretny człowiek ze swoim zdaniem jest najważniejszy. Chociaż z drugiej strony to bardzo ważne, jaki przykład dają konkretni ludzie.
Pytałaś, kiedy zrozumieliśmy, czym jest wojna. Ja zrozumiałam podczas powstania warszawskiego. Bandyci z RONA byliby mnie zgwałcili i zabili, ale mama zaczęła na nich wrzeszczeć po rosyjsku i facet zbaraniał, nie spodziewał się usłyszeć przekleństw w ojczystym języku i zostawił mnie. Pewnie znalazł sobie inną, niemniej to była nauka o tym, że należy się bronić. A dzieciaka nie tylko należy, ale wręcz musi się bronić.

Tym bardziej, jak po takiej nauce z wojny odbierasz słowa Franciszka o tym, że wszyscy jesteśmy winni?
H.B.: Rozumiem to tak, że nieszczęście, które nas spotyka, dotyka wszystkich i każdy ma jakiś kawałek odpowiedzialności za innych.

Sebastian Duda z „Więzi” opowiadał o koleżance, która uciekła ze wschodu Ukrainy do przyjaciół we Lwowie. Czterech Rosjan ją zgwałciło. Ona czyta słowa Franciszka o tym, że wszyscy jesteśmy winni, i pyta: „A czemu ja jestem winna?”
M.J.: Myślę, że Franciszek nie mówi do niej i do tych wszystkich ofiar, tylko do nas, którzy w swoim ciepłku i poczuciu bezpieczeństwa, sobkostwie i egoizmie uważali, że gdzie ten Donbas, jaki tam Krym, to gdzieś daleko. Nie przypominam sobie manifestacji w Polsce przeciwko wojnie w Donbasie ani przeciwko wojnie w Syrii. W 2014 roku Europa nie robiła nic, żeby to zatrzymać. A gdyby coś zrobiła, może nie byłoby tego gwałtu i całej reszty horroru. Myślę, że Franciszkowi chodzi o tę naszą obojętność.
S.O.: Na przykład Jan Paweł II nie wypowiedział się na temat stanu wojennego. Po 13 grudnia wszyscy w Polsce oczekiwali, że zabierze głos. Nie tylko nie zabrał, ale jeszcze później spotkał się z generałem Jaruzelskim. Pamiętam emocje wokół tego. Więc Franciszka trzeba zobaczyć w szerszym kontekście. Czy on jest papieżem, który zachowuje się w sposób dla nas niezrozumiały, bo ma wyższy cel, czy też jest po prostu człowiekiem, który nie rozumie pewnych sytuacji?

Czyli nie rozumiał też, kiedy Putin na wiecu na stadionie w Moskwie powołał się na Ewangelię i wypaczyl jej sens...
S.O.: ...gdy mówił, że nie ma większej miłości, niż oddać życie za przyjaciół. Ale tu zauważę coś, czego wielu katolików nie jest świadomych, że sam Franciszek i uruchamiając proces synodalności, i wprost, własnymi słowami zachęca: nie tylko możecie, ale wręcz powinniście krytykować swoich przełożonych, biskupów i mnie.

Podobnie jak Franciszek irytuje dzisiaj nas, irytował Latynosów Jan Paweł II, który w latach 80. wtrącał się w politykę w Ameryce Łacińskiej, bo miał obsesję antykomunistyczną i wszędzie widział bolszewicką piątą kolumnę. Na Franciszka też wpływa jego pochodzenie i biografia, jest dzieckiem swojego czasu i miejsca, nie rozumie nas, ludzi z Europy Wschodniej, ma perspektywę Latynosa, który widzi NATO i Amerykę jako gringo, który postanowił być szeryfem światowym i robi na tym swoje interesy.
No i Franciszek ma fatalnych doradców. W wywiadzie w „Corriere della Sera”, który tak oburzył wielu ludzi, powołał się na trzech kardynałów: Pietra Parolina, swojego ministra spraw zagranicznych, jałmużnika Konrada Krajewskiego i słowackiego jezuity zajmującego się uchodźcami Michała Czernego. Żaden z nich nie jest sowietologiem ani człowiekiem, który by mu wytłumaczył tutejszą geopolitykę.

Na szczęście dla tych, którzy chcą wierzyć we Franciszka, zgodnie z nauką Kościoła jego nieomyłność dotyczy tylko spraw wiary i obyczajów. A tu wypowiada się na tematy geopolityczne, o których nie ma pojęcia.

To po co to robi?
S.O.: Każdy z nas to robi.
M.J.: A ja uważam, że trudno rozgraniczyć kwestie wiary od codzienności. Reformatorzy pisali, odnosząc się do Kościoła katolickiego, że każdemu człowiekowi powinno przyswiecać hasło: „Jak żyjesz, tak wierzysz”. Jaka jest twoja wiara, takie jest twoje życie. Ona wpływa na każdy aspekt życia. Więc jeśli Franciszek mówi o wojnie i całej polityce, mówi też o losie ludzkim. Jak człowiek ze swoją wiarą ma się zmierzyć z problemem wojny, mordów i gwałtów.
To, że wyszło mu nieumiejętnie, to inna rzecz. Ale każdy element życia ludzkiego podlega prawu wiary.

Protestant broni papieża! Koniec świata!
M.J.: Nie bronię, tylko mówię, że chrześcijanie wszelkich wyznań powinni pomyśleć sobie: jak ja, już nie jako ewangelik czy katolik, ale jako uczeń Chrystusa, mogę reagować?
S.O.: Przyjmuję ten ewangelicki punkt widzenia. I gdy czytam tych publicystów, którzy komentują, że Putin ma w Watykanie swojego papieża, to myślę, że sięgają absurdu. Ja się mogę z Franciszkiem nie zgadzać, ale jeśli chce rozmawiać z Putinem, to jego prawo. Tym bardziej uzasadnione, że on zapewne ma zakodowane w DNA spotkanie Franciszka z Asyżu z sultanem Al-Kamillem podczas krucjaty. Tego typu nadzieje są płonne, ale mówienie, że „to papież Putina”, jest ferworem publicystycznym, który tylko zaciemnia sytuację.



„Babilon. Kryminalna historia Kościoła”

To historia Kościoła katolickiego żywiącego się poczuciem winy wiernych, zaleknionego wizją, w której – na równi z kapłanami – to oni decydowaliby o jego kształcie.

Opierając się na faktach, autorzy pokazują mafiijną naturę instytucji, która uparcie chce stać na straży jedynej słusznej recepty na życie. Wbrew pozorom to nie jest książka antykościelna ani antyreli-gijna.

„Babilon. Kryminalna historia Kościoła” Stanisława Obirka i Artura Nowaka już w księgarniach, na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl

M.J.: Ale też wyrazem pewnej rozpaczyny wszystkich katolików, którzy tak byli dumni z tego papieża.

To prawda, pokładano w nim wielkie nadzieje i nagle taka katastrofa.
S.O.: Najbardziej zawiedzeni są liberalni katolicy pokroju Jarosława Miłojewskiego, którzy bronili Franciszka przed katolikami konserwatywnymi czy lefebrystami.
Ale jako były katolik mogę się tylko uśmiechnąć, że pokładanie wszystkich nadziei w jakimś Wielkim Człowieku jest ryzykowną inwestycją, bo potem przeżywa się tym silniejszy dramat. Tak jak ci, co zainwestowali w Jana Pawła II.

To, że Franciszek nie zna się na geopolityce wschodniej, można zrozumieć. Ale to, że jako duszpasterz zmusza nas do pojednania się z kimś, kto gwałci i morduje, to nie jest geopolityka. I jak z tym sobie poradzić?
M.J.: Unikając nienawiści. Musimy starać się, żeby słuszny gniew nie zmienił się w zimną, kalkulowaną nienawiść. Bo jak jest nienawiść, to już nie ma żadnej drogi do tego, aby się kiedyś spotkać. Natomiast gdy jej nie ma, to może być, choć nie musi, szansa na pojednanie. A słowa „pojednanie” i „wybaczenie” w słowniku chrześcijanina są jednymi z najważniejszych. Bo od razu mają konotacje ze zbawieniem. Nie można nigdy zapominać o tych dwóch słowach.

Ale pod warunkiem, że agresja ustanie. A Franciszek pomija ten warunek.
S.O.: Pamiętajmy, że mówimy o jednym wywiadzie i pojedynczych wypowiedziach, a Franciszek mówił różne rzeczy i wielokrotnie zmieniał zdanie.

Mnie uderzyło coś, co w Polsce w ogóle nie wybrzmiało: na końcu tej niesławnej rozmowy Franciszek mówi, że polecił przedrukowanie tekstu Carla Marii Martiniego z grudnia 2001 roku, w którym kardynał komentuje 11 września 2001. Pyta o dwieście lat upokorzenia Arabów przez Europejczyków, zachęca do uważnego czytania Biblii i komentuje fragment Ewangelii Łukasza o tym, że Piłat zmieszał z krwią ofiar krew niewinnych. I co Pan Jezus mówi, czy oni byli winni, czy Piłat jest winny? Wszyscy jesteśmy winni! Nawróćcie się! I ja w tym Franciszkowi kibicuję.
H.B.: Czyli trzeba wiedzieć, co i jak mówić, żeby być słyszany. Bo to, o czym wspominaasz, trafia w pustkę...
S.O.: W Polsce trafia w pustkę. W Polsce generalnie Franciszek nie jest słuchany. A we Włoszech ten nieszczęsny wywiad był akurat bardzo pozytywnie przyjęty. Przez całe spektrum polityczne i religijne.

Czyli Włosi nie mają problemu, że Franciszek nie nazywa po imieniu agresora?
S.O.: Oni odpowiadają, że przecież on go nazywa, bez przerwy to mówi! Oczywiście, jeśli ktoś ma złą wolę, to słysząc wezwanie „przestańcie walczyć”, odpowiada: „A czemu on nie powie Putinowi, żeby skończył tę wojnę?”. Ale Franciszek to mówi, tylko po swojemu.

A jeśli jest źle rozumiany, to nie wina Franciszka, tylko całego Kościoła katolickiego. Bo nie nauczył wiernych myśleć krytycznie. ●

***Halina Bortnowska** – ur. w 1931 r., filozofka, teolożka i publicystka, przez wiele lat redaktorka „Znaku”. Współzałożycielka Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka.
****Michał Jabłoński** – ur. w 1967 r., proboszcz parafii ewangelicko-reformowanej w Warszawie, społecznik.
*****Prof. Stanisław Obirek** – ur. w 1956 r., antropolog kultury, teolog, historyk. Były jezuita.

STADTLUFT NADAL MACHT FREI

Wielkie miasto to kultura, styl życia, anonimowość, tolerancja, otwartość.

Kasper Kalinowski

Kryzys mieszkaniowy, z którym mamy do czynienia, nie jest tylko wynikiem napływu uchodźców z Ukrainy, wzrostu kosztów pracy, materiałów budowlanych czy cen energii. W Polsce mieszkań zwyczajnie brakuje. Według Ministerstwa Rozwoju w 2019 r. brakowało około 641 tys. mieszkań. Niektórzy eksperci mówią nawet o 3 mln lokali, zwłaszcza dla Polaków o średnich i niskich dochodach. W ostatnich latach pojawiało się za to wiele programów zachęcających do kupowania mieszkań, co przekładało się na masowe zaciąganie kredytów na wiele lat. Obecnie w wyniku podwyżek stóp procentowych i zaostrzenia kryteriów przyznawania kredytów rynek zamarł, a wielu osób nie stać na spłaty. Do tego ceny najmu w dużych miastach wzrosły niemal dwukrotnie.

– Mówi się o kryzysie, lecz to raczej dotkliwe konsekwencje kryzysu mieszkaniowego, który w Polsce trwa od kilku dekad – mówi dr hab. Marta Smagacz-Poziemska, prof. UJ, socjolożka zajmująca się tematyką miejską.

Mimo tanich i stosunkowo łatwo dostępnych kredytów sytuacja na rynku nieruchomości od wielu lat pozostawiała wiele do życzenia. Przed kryzysem odstawaliśmy od większości krajów Europy – polskie mieszkania były niewielkie i przeludnione.

– Warunki, w jakich żyją Polacy, wciąż są jednymi z najgorszych w Europie. Pokazują to dane Eurostatu. Na każdego mieszkańca naszego kraju przypada 1,2 pokoju. Gorzej lub podobnie jak u nas jest tylko w Rumunii, Chorwacji, na Słowacji i Łotwie. Innym miernikiem jest wskaźnik pokazujący odsetek populacji żyjącej w przeludnionych mieszkaniach. U nas jest jednym z najwyższych w UE i wynosi aż 36,9 proc. Gorzej jest tylko w Bułgarii i Rumunii – wylicza Marek Wielgo, ekspert GetHome.pl.

Sytuacja jest skomplikowana i trudno o proste rozwiązania. Nawet najlepsze programy rządowe (których wciąż się nie doczekaliśmy) nie wystarczą, potrzeba zmian na wielu poziomach.

Wielgo tłumaczy: – Programy wspierające zakup mieszkań, np. w formie dopłaty do kredytu, stymulują popyt. Problem w tym, że w sytuacji niewystarczającej podaży mieszkań kończy się to wzrostem cen. Przede wszystkim konieczne jest zwiększenie podaży gruntów w miastach, w których popyt na mieszkania jest największy. Deweloperzy skarżą się, że działek jest za mało, a od ich cen w coraz większym stopniu zależy to, ile kupujący zapłacą za mieszkania.

Lecz uwolnienie gruntów rolnych ma jedną zasadniczą wadę – prowadzi do nie-

kontrolowanego rozlewania się miast, co wiąże się m.in. z dewastacją środowiska naturalnego, a do tego słono kosztuje i wymusza budowę infrastruktury na obszarach o niskiej gęstości zaludnienia.

Nie tylko z przestrzenią jest problem. Połowę wydobywanych obecnie materiałów i około jednej trzeciej światowego zużycia wody pochłania budownictwo. Przyszłością budownictwa może być technologia druku 3D. Nie chodzi jedynie o środowisko – to równocześnie doskonałe rozwiązanie na kryzys. Domy drukowane w 3D to zmniejszone koszty transportu, mniejsze zużycie materiałów, niższe koszty pracy i samego projektu. Wynaleziony na początku lat 80. druk 3D w ciągu ostatnich lat stał się jedną z najszybciej rozwijających się technologii, wykorzystywaną w wielu dziedzinach – od medycyny przez badania kosmosu po budownictwo.

– W naszym kraju pierwszy domek 3D o powierzchni 7 m kw. powstał w podwarszawskich Otrębusach. Wydrukował go w ciągu 13 godzin przy użyciu około 6 ton betonu start-up Rebuild – opowiada Wielgo.

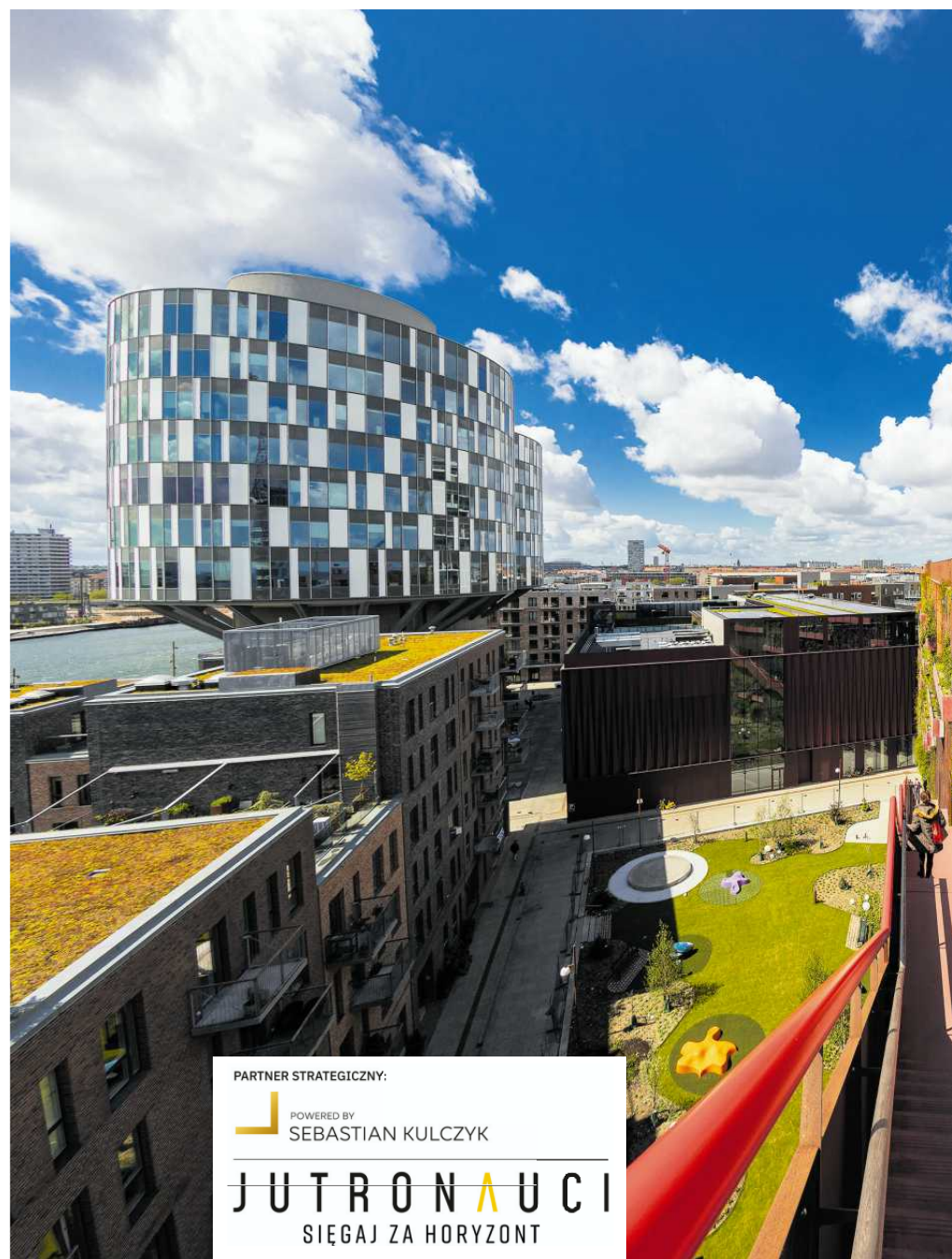
Główną niewiadomą pozostaje jednak to, czy rozwój druku 3D nie odbierze miejsc pracy tysiącom ludzi. Do tego technologia wciąż wiąże się z licznymi niedogodnościami – dostęp do materiałów jest utrudniony, wielkości budynków ograniczone, a projekty nie uwzględniają indywidualnych preferencji. Sceptycy wskazują również na potrzebę nowych regulacji dotyczących m.in. praw autorskich do projektów i łatwość, z jaką mogą być one powielane w internecie.



**Na każdego Polaka
przypada 1,2 pokoju.
Podobnie lub gorzej jest tylko
w Rumunii, Chorwacji,
na Słowacji i Łotwie**

Mimo obaw, które towarzyszą każdej nowej technologii, takie rozwiązania mogą stanowić nadzieję dla najsłabszych regionów świata. Druk 3D to nie tylko krótszy czas budowy, ale też niższe koszty. Organizacja charytatywna New Story, która dostarcza rozwiązania mieszkaniowe społecznościom żyjącym w skrajnym ubóstwie, wzniosła w ten sposób w Meksyku 500 domów. Budowa jednego zajmowała mniej niż 24 godziny, do tego konstrukcja jest bardziej odporna na wstrząsy sejsmiczne.

We wrześniu w Katalonii ukończono projekt TOVA. Według twórców to pomost pomiędzy architekturą przeszłości a przyszłością – technologią druku 3D na dużą skalę – który wyznaczy nowy standard w budownictwie i będzie również bardzo przydatny w obliczu kryzysu klimatycz-



nego i mieszkaniowego na całym świecie. TOVA została wzniesiona przy zerowej ilości odpadów i niemal zerowym śladzie węglowym. Podstawowym budulcem były wyłącznie lokalne materiały pozyskane w promieniu 50 m (uzupełnione o dodatki i elementy). To szczególnie istotne, jeśli weźmiemy pod uwagę, że budownictwo odpowiada za 36 proc. emisji dwutlenku węgla. To pierwszy tego typu budynek w Hiszpanii. Jak zapewniają twórcy, konstrukcja może być stosowana w dowolnym miejscu na świecie i okazać się pomocna w zaspokajaniu nagłych potrzeb mieszkaniowych powstałych np. na skutek katastrof naturalnych.

Hiszpański start-up Be More 3D skrócił już czas budowy jednego domu do 12 godzin. Przewiduje się, że do 2027 r. rynek druku 3D będzie wart 55,8 mld dol.

Zbrakiem mieszkań można też walczyć za pomocą starych rozwiązań. – Zakładam, że na potrzebę ludzi odpowie rynek, np. przekształcając istniejące biurowce na akademiki dla niestudentów. Takie rozwiązania znamy, bo przecież w wielu miejscach, zwłaszcza na obszarach przemysłowych, istniały hotele robotnicze prowadzone przez zakłady pracy. Coraz częściej mówi się w Polsce o co-housingu, czyli rozwiązaniu przypominającym spółdzielnie mieszkaniowe, tyle że w skali sąsiedztwa, i włączającym mieszkańców w prace na każdym etapie – od projektowania po codzienne dbanie o części wspólne. Jednak bez większego zaangażowania podmiotów publicznych i wpisania tego modelu do polityki mieszkaniowej to rozwiązanie nie jest osiągalne tylko dla osób względnie zamożnych. Myślę, że rozpowszechnią się również rozwiązania tymczasowe, np. dostosowywanie budynku dawnej szkoły czy szpitala do funkcji mieszkaniowych. Coraz popularniejsze może być budownictwo modułowe, zwłaszcza że jego technologia bardzo się rozwinęła i jest już przetestowa-

na przez wiele samorządów w budynkach użyteczności publicznej – wylicza Marta Smagacz-Poziemska.

Koncepcja wspólnego życia, określana jako co-living, to budynek, w którym mieszkanie można wyłącznie wynająć. Do dyspozycji mamy niewielkie mieszkanie z mocno rozbudowanymi częściami wspólnymi. Entuzjaści podkreślają, że dodatkowe części wspólne, takie jak kuchnia czy salon dzielone z innymi lokatorami, przyczyniają się do tworzenia wspólnoty. Złośliwi przypominają radziecką odpowiedź na porewolucyjny kryzys mieszkaniowy – „komunalki”. Takie mieszkania zazwyczaj zajmowało od dwóch do siedmiu rodzin. Każda miała własny pokój, ale wszyscy korzystali ze wspólnej kuchni, łazienki i telefonu.

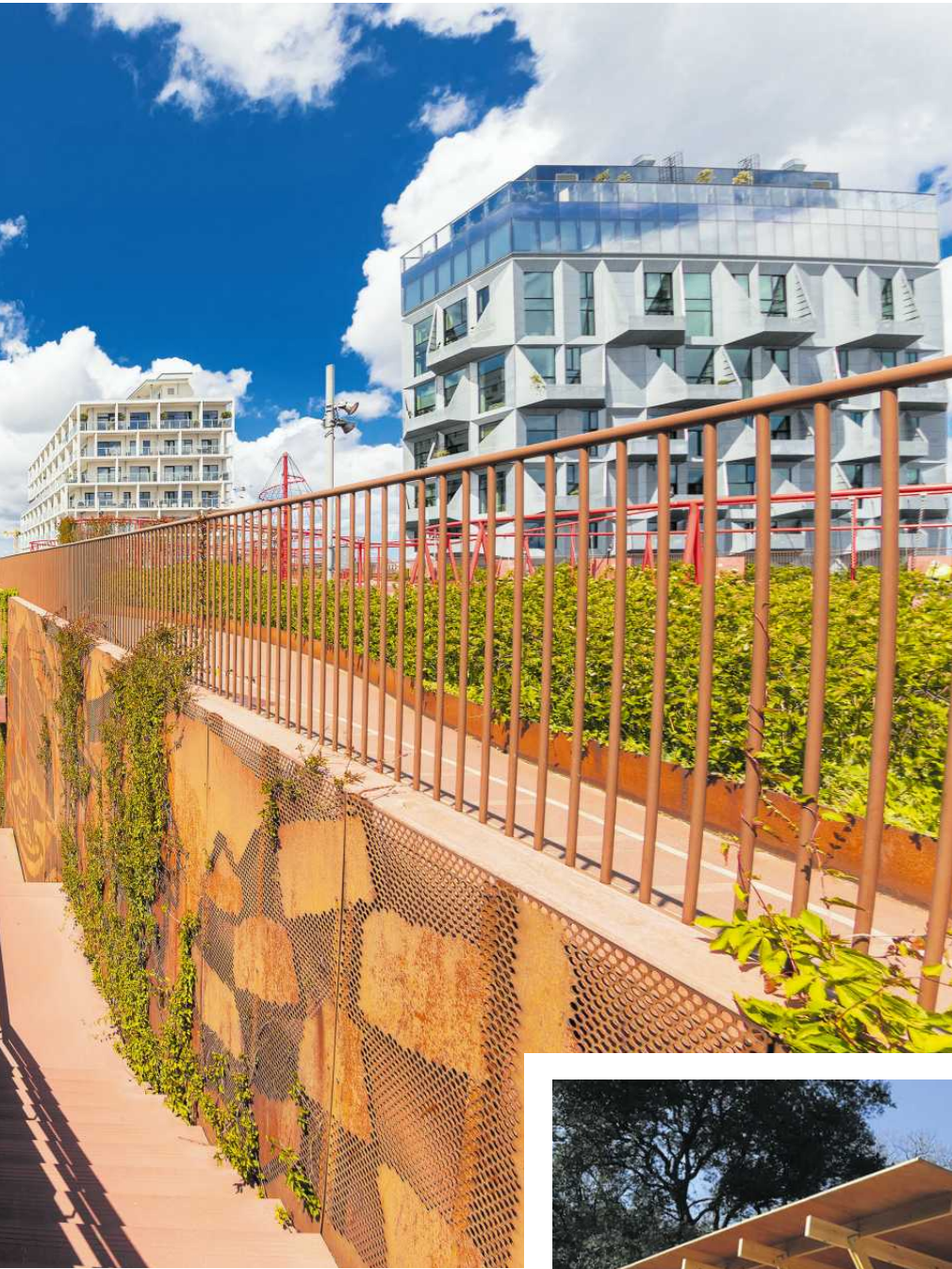
Dlatego eksperci zazwyczaj pozostają sceptyczni co do upowszechnienia się co-livingu. Własne mieszkanie to poczucie bezpieczeństwa i prywatności.

– Nie spodziewam się u nas rychłej rewolucji. Jeszcze długo marzeniem ogromnej większości Polaków będzie własny dom lub mieszkanie. W największych miastach, gdzie ceny są bardzo wysokie, będzie się rozwijał najem – twierdzi Marek Wielgo.

Kolejna nieunikniona zmiana wiąże się z demografią – Polska się wyludnia. Niektóre szacunki (opracowane przed napływem uchodźców z Ukrainy) prognozowały, że w ciągu trzech dekad liczba ludności zmniejszy się o prawie 3,9 mln osób, czyli o ponad 10 proc.

– Będziemy znacznie starszym społeczeństwem. Pod koniec lat 70. i na początku 80. urodziło się dość dużo dzieci po wojennego wyżu demograficznego. Teraz te osoby są w wieku produkcyjnym, a za 20-25 lat zaczną przechodzić na emeryturę. Ponieważ jednocześnie to pokolenie ma mało dzieci – poniżej 2,1, czyli wskaźnika zastępowalności pokoleń, dzięki której dwoje dzieci zastępuje rodziców – to za

FOT. GETTY IMAGES



• **U góry: Kopenhaga, osiedle przyszłości na terenie dawnej stoczni, obok: druk 3D na wielką skalę, czyli prototypowe osiedle TOVA w Katalonii**

chwilę mniej osób będzie wchodzić na rynek pracy, a efektem tych procesów jest starzenie się ludności – podkreśla demografka dr Anna Matysiak.

Polska się wyludnia, a jedynym wyjątkiem na mapie pozostaje stolica oraz miejscowości tworzące aglomeracje Gdańska, Poznania, Krakowa i Wrocławia. A liczba seniorów będzie rosła. To oznacza kolejne wyzwania – mieszkania dla seniorów wymagają innych rozwiązań.

– Mimo że społeczeństwo Europy gwałtownie się starzeje, to postęp w medycynie, wydłużenie średniej długości życia i lepsze wykształcenie powodują, że seniorzy będą dłużej aktywni, zdrowi i samodzielni. Dlatego kluczowa jest lokalizacja mieszkań w bliskości infrastruktury miejskiej, dostępność przestrzeni wspólnych i skomunikowanie z innymi dzielnicami. Wszystkie nasze inwestycje powstają w centrach miast, by mogły się wpisać w ideę „15-minute city” („miasta 15-minutowego”). Koncepcja nie jest nowa, ale stała się trendem za sprawą burmistrziny Paryża Anne Hidalgo, która uczyniła z niej oś kampanii wyborczej i wciela ją w życie. Wszystkie nasze podstawowe potrzeby powinny być zaspokojone w odległości 15 minut spacerem lub rowerem od naszego domu – opisuje Rafał Kula, prezes spółki NOHO Investment.

W zasięgu pieszego powinny być sklepy, przychodnie, tereny zielone, komunikacja miejska czy instytucje kultury. Kula: – Te warunki spełniają wszystkie nasze inwestycje, które powstają w Krakowie, Katowicach czy Wrocławiu. Poza wygodą chodzi

o pomoc techniczną 24h, transport, wizytę złotej rączki, fryzjera czy masażyści. Będzie też mógł sterować czujnikami dymu czy zarządzać systemem alarmowym.

W uruchomionym w Singapurze pilotażowym programie Community Care Apartments trzeba zapłacić za 15-letni wynajem. W zamian seniorzy mają do dyspozycji 24-godzinny monitoring i serwis, który reaguje w sytuacjach awaryjnych, podstawowe badania stanu zdrowia, proste naprawy domowe czy zajęcia w przestrzeniach wspólnych na terenie osiedla. Pozostałe usługi, takie jak sprzątanie, pranie, dostawa posiłków i wspólna opieka, są za dodatkową opłatą.

Ułatwienia oferowane przez budownictwo przyszłości oczywiście posłużą nie tylko seniorom. Od kilku lat w duńskim Nordhavnen trwa zakrojony na kilka dekad eksperyment na olbrzymią skalę – przekształcenie obszarów bylej stoczni w miasto przyszłości oparte na koncepcji



***Infrastruktura społeczna
oraz komunikacyjna
w mniejszych
miejscowościach
nieraz jest lepsza
niż na osiedlach na obrzeżach
największych miast***



FOT. GREGORI CIVERA

też o zmniejszenie zanieczyszczenia powietrza, bo możemy zrezygnować z jazdy samochodem bądź znacznie ją ograniczyć.

Zgodnie z ideą „age friendly living” miasta i budynki mają nie tylko ułatwiać osobom starszym utrzymanie aktywności i kontaktu z ważnymi dla nich ludźmi, ale też zapewnić – w razie potrzeby – odpowiednie wsparcie i bezpieczeństwo. Każdy z mieszkańców na wznoszonym w tym duchu osiedlu będzie miał aplikację, dzięki której łatwo zamówi sprzątanie, pranie,

„pięciu minut”. To poligon doświadczalny i urzeczywistnienie wizji miast przyszłości, jedno z największych przedsięwzięć urbanistycznych ostatnich lat z perspektywy zarówno budowlanej, jak i zrównoważonego rozwoju. Środki transportu, ognia słoneczne, przetwarzanie odpadów na energię, zużycie wody, transport, wydarzenia kulturalne i adaptacje do zmian klimatycznych będą tworzyć przestrzeń, która ma zaspokajać wszystkie potrzeby mieszkańców.

Jutronauci 2022

• Pandemia koronawirusa i wojna w Ukrainie poważnie zmieniły naszą rzeczywistość i wywołują wiele obaw o przyszłość. W tej, szóstej już, edycji programu Jutronauci, którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, duży nacisk położymy na przyszłość edukacji. Jak musi zmienić się szkoła, żeby przygotować dzieci na wyzwania przyszłości?

Gdzie młodzi mają się uczyć wartości, skoro w posadach trzęsą się ich dotychczasowe gwaranty: Kościół i rodzina? Zastanowimy się też, jak pod wpływem migracji zmienią się nasze społeczeństwo.

• W tym roku ponownie spojrzymy poza horyzont aktualności i spróbujemy zrozumieć, jak może wyglądać nasza przyszłość w naj-

rozmaitszych dziedzinach. Na Wyborcza.pl/jutronauci oraz na łamach „Wyborczej” czekają na Państwa eseje, analizy oraz podcasty. Zapraszamy Państwa też do oglądania debat z udziałem jutronautów oraz ekspertów.

PARTNER WSPIERAJĄCY:

FANUC

A może metropolie staną się mniej atrakcyjne? W pandemicznym lutym 2021 r. (nowszych danych brak) w Warszawie ubyto 12 tys. zameldowanych mieszkańców. Kryzys uderza szczególnie w młodych.

– Dla niektórych jedyną możliwością będzie mieszkanie z rodzicami, zapewne traktowane jako rozwiązanie tymczasowe. Decyzje o zamieszkaniu w miejscowościach, w których ceny mieszkań i wynajmu są stosunkowo niższe, będą mogły podejmować głównie te osoby, które znajdą miejsce na lokalnym rynku pracy albo mogą pracować zdalnie. Strategią, która jest już bardzo częsta, zwłaszcza u osób młodych i bezdzietnych, będzie wynajmowanie mieszkania – analizuje Marta Smagacz-Poziemska.

Być może obecny kryzys jest szansą dla miejscowości położonych w pobliżu metropolii. Niższe ceny w połączeniu z możliwością pracy zdalnej mogą przyciągnąć nowych mieszkańców.

– Już widać trend. W największych miastach ceny mieszkań osiągnęły poziom, który coraz mniej kupujących jest w stanie zaakceptować, i popyt zaczął się przenosić do miejscowości okalających metropolie. Do zmiany preferencji kupujących przyczyniło się także upowszechnianie się pracy zdalnej. No i infrastruktura społeczna oraz komunikacyjna w mniejszych miejscowościach nieraz jest lepsza niż na osiedlach budowanych na obrzeżach największych miast. Podmiejskie budownictwo mieszkaniowe rozwija się zwłaszcza tam, gdzie funkcjonuje kolej podmiejska lub jest trasa szybkiego ruchu – zauważa Marek Wielgo.

Jednocześnie w miejscowościach okalających największe miasta możliwości inwestycyjne są na ogół lepsze. I niższe są tam również ceny gruntów, a w efekcie ceny mieszkań.

Innego zdania jest Kuba Snopek, urbanista, badacz miast i Jutronauta 2022: – Niektórzy eksperci uważają, że wzrost cen spowodują zainteresowanie mieszkańców Warszawy, Trójmiasta czy Poznania mniejszymi miastami. Takie oczekiwania pojawiły się przede wszystkim podczas pandemii, gdy wiele osób odkryło pracę zdalną. Dziś widzimy, że praca zdalna nie do końca może zastąpić biuro, a przedmieście nie zastąpi miasta. Duże miasta pozostają najbardziej atrakcyjnymi miejscami do osobistego rozwoju, nauki czy kariery. Są atrakcyjne ze względu na rozwinięte usługi, kulturę i styl życia, względną anonimowość, wyższą tolerancję i otwartość. Nie wierzę, że proces urbanizacji się skończył; w średnim i długim okresie Polacy nadal będą się przenosić do dużych miast.

Wielu konsekwencji obecnej sytuacji nie jesteśmy w stanie przewidzieć. Kryzys w nieruchomościach połączony z wysoką inflacją może wymusić mobilność. W czarnym scenariuszu – podobnie jak w USA – to praca będzie decydować o miejscu zamieszkania, a częste przeprowadzki mogą stać się powszechniejsze.

– Na podstawie tego, jak z kryzysami ludzie radzili sobie w przeszłości lub jak radzą sobie w innych częściach świata, można wnioskować, że część ludzi będzie żyła „w drodze” – mam na myśli nie tylko zwykłe migracje międzymiejskie z zamiarem wynajęcia mieszkania i osiedlenia się na rok czy dwa, ale też dosłowne radzenie sobie z bezdomnością poprzez ciągłe przemieszczanie się do miejsc, w których można znaleźć dorywczą pracę. Taką rzeczywistość robotników sezonowych znamy z badań prowadzonych w USA na początku XX w., a książka i film „Nomadland” pokazały współczesne oblicze bezdomności ludzi, których praca jest tak nisko płatna, że stać ich jedynie na zamieszkiwanie w starych przyczepach czy samochodach – mówi Marta Smagacz-Poziemska. ●

weekendówka

23



Autorem wielu haseł jest **Radosław Czyż**

KOMIKSÓWKA

22 października 1957 roku, wtorek. Wystawę astronautyki odwiedza dwóch niepozornych chłopców. Jeden wysoki, z długą grzywką ciemnych włosów, drugi niższy, tęższy, krótko ostrzyżony na jeża, w okrągłych okularach w grubej czarnej oprawie. Ich uwagę przykuwa kosmorakietolot, do którego wnętrza prowadzi drabinka. Już w środku ten niższy, ze słowami „swędzi mnie, żeby nacisnąć”, odpala rakietę...

Ten od guzika – to A'Tomek, jego kolega, wysoki i chudy, to rzecz jasna Romek. 65 lat temu po raz pierwszy pokazali się światu na łamach, nomen omen, „Świata Młodych”. Tego trzeciego, najważniejszego, jeszcze z nimi nie było (komiks nosił tytuł „Romek i A'Tomek”). Henryk Chmielewski, czyli niezrównany Papić Chmiel, wprowadził go dopiero w kolejnym odcinku – chłopcy odnaleźli go na pokładzie rakiety, w kosmos poleciał jako małopka doświadczalna. Przy pierwszym spotkaniu przywalił zresztą Romkowi w nos, tłumacząc później, że wziął go za jakiegoś profesora, który znów chce mu zrobić zastrzyk.

Od tego czasu Tytus, Romek i A'Tomek pojawili się w setkach odcinków na łamach „ŚM”, ale przede wszystkim w 31 albumach o swoich przygodach. Ostatni ukazał się 28 stycznia 2021 roku, sześć dni po śmierci sławnego rysownika.

„Co to za lura!? Kawa powinna być czarna, mocna, ostra i aromatyczna. Zrób mi drugą”.

„Uciekajmy, tam jest szkielet! Żywy?”

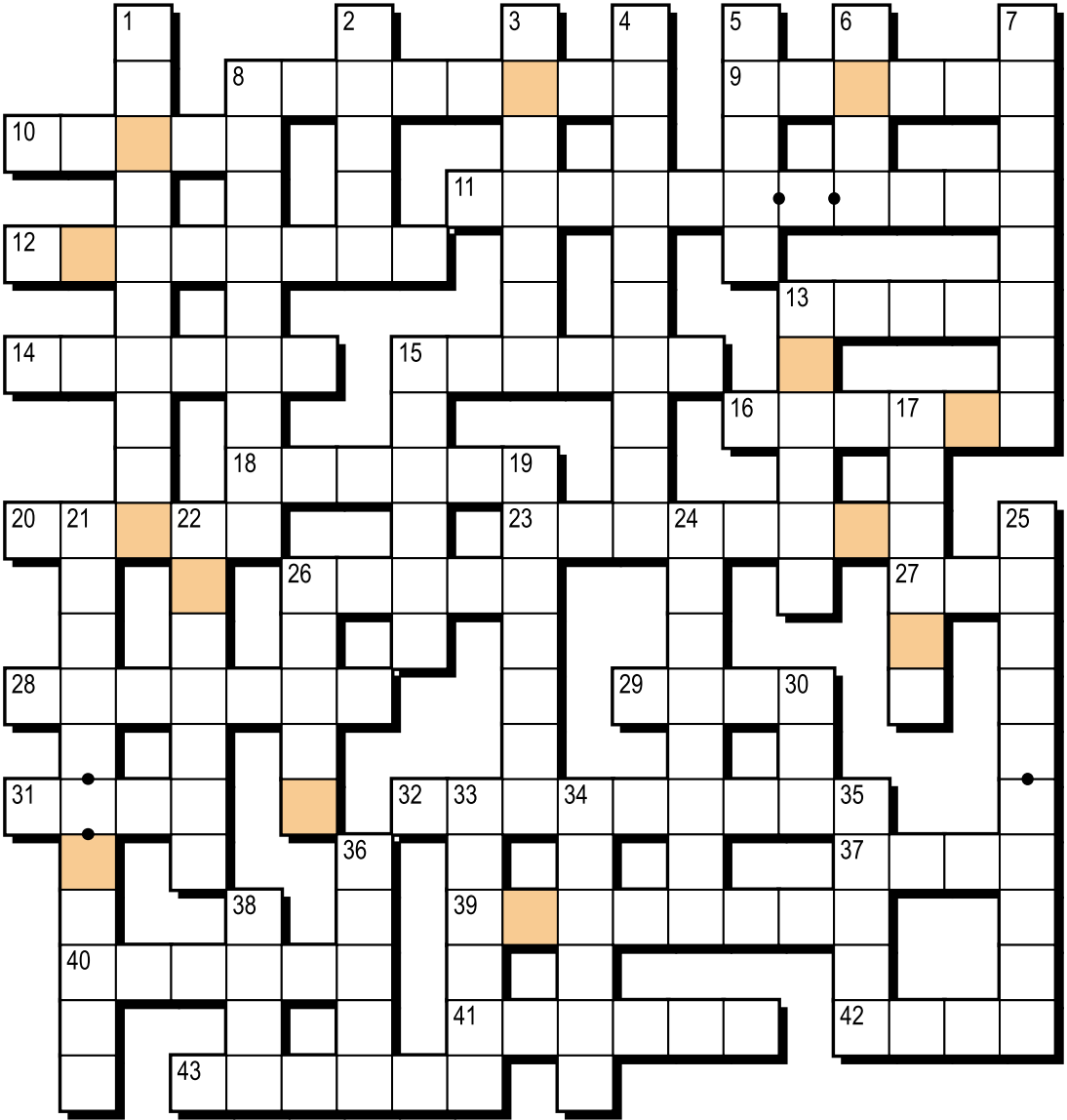
„Tratata, wylata woda z automata – jak by napisał słynny poeta”.

„Jak Zefiryn ciach, to Pafnucy bum! Wtedy Makary rymy, a Kapi-stran bęc...”

– ...i łupy nasze!

– A ja bym radził odwrotnie. Niech Kapistran rymy, a Makary bęc!”

Pamiętacie? No pewnie! Dlatego gorąco zapraszam Was do „Weekendówki – komiksówki”, w której hasła związane będą nie tylko z Tytusem, Romkiem i A'Tomkiem, ale i innymi sławami komiksu. A pomoc w wymyślaniu haseł okazał nam Radosław Czyż z „Wyborczej TV” – wielbiciel i znawca komiksowego świata. Do boju – stawką jest mistrzostwo Doliny Ciuciucacy! ●



Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl

Rozwiązanie „Weekendówki”
nr 22 z 15.10:

Poziomo: 7) Oda do rąk 9) robotki 11) oko 12) naręcze 13) bandyta 14) triceps 15) tryb 18) ramię 19) Piłat 21) gracz 23) Brodnica 28) podręczne bagaże 29) King 30) lenie 31) towar 34) chiromancja 37) ster 38) złota rączka 39) kwota 40) dusza 41) Anna

Pionowo: 1) Maradona 2) granat 3) prace 4) obietnica 5) stanie 6) piosenka 7) oklaski 8) karty 10) bokserzy 16) rękoczyn 17) Brunner 20) łapownictwo 22) rynek 24) ciało 25) drżenie 26) napad 27) mankiety 30) las rąk 32) pokład 33) kaktus 35) córka 36) akcja 37) sława

Hasło: **KACZKA**
DZIENNIKARSKA

KOMIKSY

Hasła Radosława Czyża oznaczono inicjałami (RC). Litera w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
8) ... Paweł, autorka komiksów o Jonce i Jonku 9) żona 15 pionowo 10) Henryk ... Chmielewski 11) „... w kosmosie”, seria komiksów Janusza Christy 12) pojazd z V książki przygód Tytusa, Romka i A'Tomka (z prysznicem) 13) komiks Andrzeja Nowakowskiego na motywach „Starej baśni” 14) Lucky Luke 15) „... zaginionego boga”, z serii „Thorgal”

16) ... smerfów, namierzana przez Gargamela 18) zbójca fajtapa 20) „... Młodych”, czasopismo drukujące komiksy w czasach PRL-u 23) maszynka do podróży w czasie (VIII księga przygód Tytusa) 26) kolekcja np. komiksów 27) „... Odyna” (przygoda Thorgala) lub „Kocie ...” (przygoda postaci z określenia 6 pionowo) 28) szef Kaprala i innych zbójców 29) ... Eisner, amerykański twórca komiksów 31) Myszkę ... 32) „Pióro kontra ...”, komiks autorki z określenia 8 poziomo 37) ... dialogowe, czyli komiksowy dymek

39) leniwy kocur, smakosz łazani 40) Papić ... 41) w dzieciństwie wpadł do kociołka Panoramixa (RC) 42) „... na półwysep Jork”, komiks o przygodach Gucka i Rocha 43) mroczny rycerz z Gotham City

Pionowo:
1) Tadeusz, twórca postaci Profesorka Nerwosolka, Kudłaczka i Bąbelka, Orient Mena 2) sprytniejszy niż Kokosz 3) mechaniczny koń z II książki przygód Tytusa 4) miesięcznik literacki, który wydawał m.in. komiksy o przygodach Rorka i Funky Kovala

5) atramentowy przyjaciel Jonki i Jonka 6) „Kapitan ...”, komiksowy milicjant 7) baza zbójców 8) pojazd z komiksu, w którym Tytus poznaje tajniki dziennikarstwa 13) Jolan i Louve dla Thorgala (RC) 15) desperujący kasztelan 17) „... latania”, komiks Janusza Christy 19) córka Gandalfa Szalonego, żona Thorgala 21) bohaterowie łódzkiego komiksu opowiadającego o czasach wojennych i powojennych 22) mniejszy i szczuplejszy niż 41 poziomo 24) Grzegorz, współautor komiksów z serii „Thorgal”, „Yans”

25) Lord ..., występuje m.in. w książeczce „Podróż smokiem Diplodokiem” (jak zaklęcie) 26) „... Alaski”, komiks Sz. Paweł 30) Stan, współautor m.in. postaci Spider-Mana, Hulka, Thora; wieloletni prezes 34 pionowo 33) mutant z zaburzeniami osobowości, bohater serialu z Danem Stevensonem (RC) 34) ... Comics, amerykańskie wydawnictwo 35) Parowski, Polch i ..., autorzy komiksu „Funky Koval” 36) ... polelum, powiedzonko zbója Łamignata 38) „... Sprawiedliwości”, z Supermanem i Batmanem (RC)

Byłe do

weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!





KRZYŻÓWKI
WYBORCZEJ